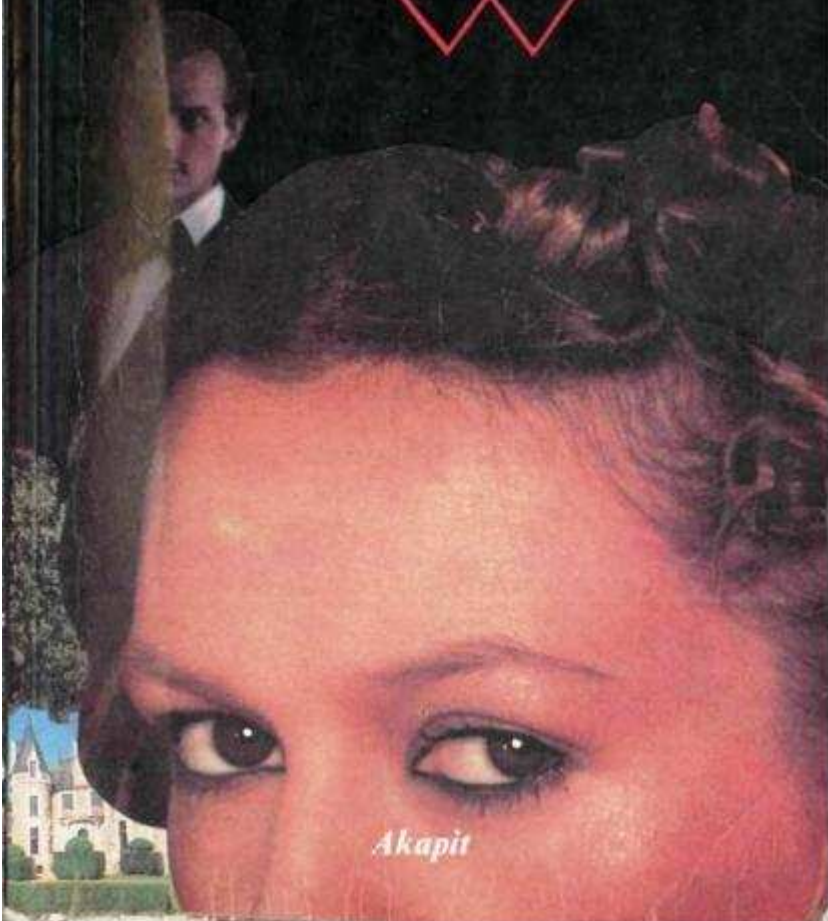


Jadwiga Courths · Mahler

**Hiszpański  
zalotnik**



*Akapit*



*Podczas uroczystego przyjęcia w salonach swego wuja Jolanta Warren porównuje dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich, Alfonso de Almadaia, arystokrata hiszpański od pewnego czasu stara się o jej rękę. Drugi, spotkany dziś po raz pierwszy, Gerd Rainsberg, jest młodym uczonym, który wrócił właśnie z podróży po Archipelagu Sundajskim. Prawie nikt nie wie, że odziedziczył niedawno bogate plantacje na Jawie.*

*Spotkanie Gerda i Jo sprawia, iż oboje czują, że są dla siebie stworzeni. Ale tego właśnie wieczoru Alfonso de Almadaia postanawia doprowadzić do zaręczyn z posażną, jak mówiono, panną. Uwikłana w dwuznaczną sytuację Jo zgadza się wbrew sobie zostać narzeczoną Hiszpana. Rainsberg zaczyna podejrzewać nieczystą grę. Wyjeżdża do Hiszpanii, by szukać dowodów przeciwko rywalowi. Jo sądzi, iż nigdy go nie zobaczy.*

*A data ślubu zbliża się bardzo szybko...*

*To dopiero początek intrygi, którą zawiązała autorka, aby po wielu perypetiach doprowadzić do szczęśliwego zakończenia.*

*Sympatycy książek Jadwigi Courths-Mahler będą z pewnością zadowoleni z powieści, którą Państwu prezentujemy.*

ISBN 83-85715-42-8



Powieści Jadwigi Courths-Mahler (1867—1950) niemieckiej pisarki, cieszą się wciąż ogromną popularnością. Czyż można się temu dziwić, skoro książki te zaspokajają elementarne potrzeby ludzkiego serca — tęsknotę do szczęścia, są ucieczką od szarego życia w świat pięknych ludzi i wzniosłych uczuć.

Sama pisarka знаła i rozumiała takie marzenia. Wywodziła się z warstw najuboższych. Bardzo wczesnie musiała sama na siebie zarabiać. Pierwszą powieść opublikowała w wieku 38 lat. Kolejne przysporzyły jej sławy i pieniędzy.

Jej córka — Frieda Birkner — po śmierci matki troskliwie zadbała o jej spuściznę literacką. Po wojnie założyła w Berlinie Zachodnim muzeum poświęcone pisarce, w którym zgromadzono pamiątki po tej, co „po prostu sercem pisała”.

JADWIGA COURTHS-MAHLER

# Hiszpański zalotnik



Katowice 1993

Tytuł oryginału: *Jolandes Heirat*

© Translation by Jan Koźbiał

Znak firmowy Oficyny Wydawniczej „Akapit”,  
znaki firmowe serii wydawniczych „Akapitu” — zastrzeżone  
ISBN 83-85715-42-8

Projekt okładki i strony tytułowej Marek Mosiński

Redakcja Elżbieta Kuryło

Redakcja techniczna Lech Dobrzański

Korekta Edmund Piasecki

Wydanie pierwsze.

Wydawca: „Akapit” Oficyna Wydawnicza

Sp, z o.o. Katowice 1993.

Ark, dr. 13,25 Ark, wyd. 14,1

Druk i oprawa:

Rzeszowskie Zakłady Graficzne

Rzeszów, ul. płk. Leopolda Lisa-Kuli 19.

Zam. 495/93

# I

Było to w roku 1927. Rzęsiście oświetlona willa w eleganckiej dzielnicy Berlina — Grünewaldzie. W wygodnie urządzonej pomieszczeniach — wesołe towarzystwo. Pomiędzy gośćmi przechadzało się dwóch mężczyzn. Wyższy z nich — interesująca, rasowa postać — zwrócił się do swego towarzysza ze słowami:

— Nasz miły gospodarz, profesor Rasmusen, świętuje dziś jeden ze swych licznych sukcesów zawodowych. Znów uratował życie osobie, której śmierć byłaby dla nas wszystkich niepowetowaną stratą. To dla niego ogromna satysfakcja. Podobno była to bardzo trudna operacja, życie pacjenta wisiało na włosku.

— To prawda. I jak na słynnego chirurga jest niezwykle skromny.

— Wszyscy naprawdę wielcy ludzie są skromni.

— Wprowadził mnie pan we wspaniałe i wytworne towarzystwo, panie doktorze!

— Doskonale pan do niego pasuje.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że ja też jestem wspaniały i wytworny?

— Tak, i to pomimo tego ironicznego uśmiechu.

— Proszę mi wybaczyć, ale nie wydaję się sobie ani wspaniały, ani wytworny. Zupełnie zdziżałem, nie nadaję się do salonów.

— Proszę zostawić innym ocenę własnej osoby; myślę, że nikt z zebranych nie wpadłby na pomysł, by nazwać pana człowiekiem zdziżałym. Jest pan horrendalnie bogaty, teraz, gdy wuj zostawił panu olbrzymie posiadłości na Jawie.

— Ale przedtem, jak pan wie, kochany doktorze, byłem biedny jak mysz kościelna. Uważam, że obowiązkiem bogaczy jest wydawać pieniądze, by inni też mogli z nich korzystać. Dlatego zaraz jutro obstatuję u krawca kilka ubrań z frakiem włącznie. Ale proszę pamiętać, co mi pan obiecał, i nikomu nie mówić, że odziedziczyłem duży spadek. Chcę uchodzić za ubogiego uczonego, wracającego z kilkuletniej ekspedycji naukowej po Archipelagu Sundajskim. Zresztą to prawda. A obcy ludzie nie muszą znać szczegółów mojego stanu majątkowego.

— Ma pan moje słowo. Ale jestem przekonany, że nawet jako ubogi badacz będzie się pan godnie prezentował na tle tutejszego towarzystwa.

— Na miłość boską, przeraża mnie pan! Nie jestem gwiazdorem.

— Ale mógłby pan nim być. Zrobi pan wrażenie na młodych... i starszych damach.

— Wcale się do tego nie palę. Bardzo pana proszę, by pan mnie zbytnio nie reklamował, inaczej ucieknę.

W tym miejscu obaj wybuchnęli śmiechem.

— Nie ma pan wyboru. Pani domu, dzielnie sekundująca mężowi, nakazała mi sprowadzić jak najwięcej interesujących osób. Wziąłem na ambit i naopowiadałem jej o panu takich rzeczy, że nie może się doczekać, kiedy pana pozna. Jak ją znam, upiększyła jeszcze te opowieści — na pewno zrobi pan dziś furorę w towarzystwie.

— Teraz to już ucieknę, doktorze! To za dużo!

— Cicho! Oto i pani domu. Proszę nie zapominać, że jest żoną sławnego człowieka.

— Do diabła, robi pan ze mnie pajaca!

— Przeciwnie — bóstwo! Proszę się trzymać roli, okazując uprzejmość i łaskawość.

Przestali się śmiać. Stali przed piękną blondynką — panią domu, obok której zjawiał się zaraz profesor. Gospodyni z zalotnym uśmiechem podała Gerdowi Rainsbergowi rękę.

— Och, jakże się cieszę, że pan doktor Gering dotrzymał słowa i przyprowadził pana do nas. Zależy mi na ciekawych gościach. Serdecznie pana witam w naszym domu.

— Łaskawa pani mnie zawstydzła — odparł Gerd Rainsberg, kłaniając się elegancko. — Obawiam się, że panią rozczaruję. Nie mam talentów towarzyskich. Doktor Gering musiał pani wspomnieć, że

wracam z zupełnej dziczy; odzwyczaiłem się od cywilizowanych spotkań.

— Och, zna pan tę uwagę Nietzschego: „Im gorzej mówią o sobie, tym bardziej są uroczy”.

Pani domu rzuciła te słowa z takim wyrazem twarzy, jakby codziennie czytywała Nietzschego. W rzeczywistości podchwyciła gdzieś ten kalambur, by zręcznie żonglować nim w rozmowie. Chciała się okazać godna swego wielkiego małżonka. Tym razem również osiągnęła cel: Gerd Rainsberg, zaskoczony, przyjrzał jej się uważnie. Ale dostrzegłszy kątem oka sarkastyczny uśmiech swego towarzysza, zorientował się natychmiast, jak sprawy stoją.

Doktor Gering przedstawił uczonemu lekarzowi, który przywitał go z prostotą, podczas gdy pani domu podeszła do młodej dziewczyny, rozmawiającej ze starszą damą, i biorąc ją pod ramię, pociągnęła ku nowemu gościowi.

— Chodź, Jo, poznasz tego badacza, o którym ci opowiadałam.

Jolanta Warren pożegnała się grzecznie ze swą rozmówczynią, której gospodyni skinęła niedbale głową, i podeszła ze swą ciotką do trzech panów.

Była córką zmarłej siostry lekarza, a przy tym wykształconą i miłą osobą, przydatną i chętną do pomocy, toteż ciotka zgodziła się ją przygarnąć, ulegając gorącym namowom męża. Młoda sierota nie miała lekkiego życia w domu wujostwa, ciotka była bowiem bardzo wymagająca. Jo mówiła płynnie po francusku, włosku i angielsku, i zatrudniana była przez panią domu jako tłumaczka, gdy zdarzali się zagraniczni goście. Jeśli zjawiali się Włosi, była też tłumaczką wuja, gdyż ten mówił tylko po francusku i angielsku.

Mimo iż Jolanta, sprawując w domu rozliczne funkcje, nie jadła darmo chleba, ciotka raz na zawsze uznała się za jej dobrodziejkę, oczekując od niej bezwzględного posłuszeństwa. Życie Jolanty nie było więc usłane różami. Mimo to była wdzięczna wujowi za opiekę. Co prawda, ten mało się nią interesował, pochłonięty swoją pracą.

Ciotka wbiła sobie do głowy, że wyda siostrzenicę świetnie za mąż. Oznaczało to w praktyce, że rozglądała się za bogatymi konkurentami. Dla pani profesorowej bogactwo było bowiem najwyższym dobrem.

— Zostaw to mnie, Jo; już ja ci znajdę bogatą partię — mawiała w chwilach dobrego humoru.

Toteż gdy tylko na horyzoncie pojawił się nieżonaty, młody mężczyzna, ciotka najpierw sprawdzała, czy jest bogaty, czy biedny. Od jakiegoś czasu u profesorostwa bywał polecony im przez kogoś wspaniały kawaler — señor Alfonso de Almadeia, uchodzący powszechnie za bogacza, mający podobno znaczne dobra w Hiszpanii. Jego to właśnie ciotka upatrzyła sobie na męża Jolanty. Był bowiem nie tylko bogaty, ale także przystojny, wręcz fascynujący. Nawet Jo nie mogła oprzeć się jego urokowi. Gdy po raz pierwszy spojrzała w jego ciemne, ogniste oczy, poczuła się nagle bezsilna i bezwolna. Tę zwykle chłodną i pełną rezerwy dziewczynę mężczyzna ów zniewalał od pierwszego słowa i jednego spojrzenia. Gdy zostawała sama, zastanawiała się zdumiona, co ją w nim właściwie urzekło. Nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie, ale gdy tylko się do niej zbliżał, znów ulegała jego czarowi.

Ciotka zatroszczyła się o właściwą oprawę dla swej siostrzenicy, rozpuszczając plotkę, iż ta dziedziczy olbrzymi majątek. A prawda była taka, że Jolanta dostała w spadku po rodzicach trzydzieści tysięcy marek, które wuj umieścił na procent w banku. To było wszystko, co zostało z ogromnego majątku ojca. Jolanta żyła z procentów od kapitału; starczało to na ubranie i drobne wydatki. Wprawdzie wuj chętnie przyjął sierotę do domu, ale był zadowolony, że przynajmniej nie musi jej ubierać — pani profesorowa wystarczająco dużo wydawała na stroje, zasłaniając się względami reprezentacyjnymi.

Małżeństwo to było bezdzietne i niezbyt zamożne, mimo iż profesor zarabiał nieźle. Toteż ciotka po cichu liczyła na bogaty ożenek Jo. Prowadząc ją teraz pod ramię, pytała:

— Gdzie jest señor de Almadeia? Widziałas go dzisiaj?

— Tak, ciociu, rozmawialiśmy przez chwilę, a teraz wita się ze znajomymi.

— Wygląda olśniewająco.

Jo przed chwilą czuła to samo, lecz znalazłszy się poza zasięgiem jego oczu, zadawała sobie pytanie, czy mężczyzna koniecznie musi być czarujący. Ale zdobyła się tylko na uwagę:

— Zawsze wygląda olśniewająco.



Właśnie podeszły do rozmawiających mężczyzn i ciotka przedstawiła jej Gerda Rainsberga. Przez chwilę oboje młodzi patrzyli sobie w oczy.

Szare oczy Rainsberga, świecące dziwnie jasno na tle ogorzałej twarzy, zdradzającej długi pobyt w tropikach, rozszerzyły się ze zdumienia, gdy jego wzrok spoczął na twarzy Jolanty. Ujęła go świeża dziewczęca twarzyczka, okolona bujnymi miedzianozłotymi lokami; w błyszczących łagodnym, jedwabistym blaskiem orzechowych oczach zapalały się złote iskierki. Gerd Rainsberg miał dziwne uczucie, jakby dopiero w tej chwili po długiej nieobecności wrócił do rodzinnego kraju. Nie zamieniwszy z dziewczyną jednego słowa, czuł, że spotkał pokrewną duszę.

Również Jolanta od razu poczuła sympatię do tego obcego mężczyzny. A więc to był właśnie ów uczony, który ostatnio badał obszary wulkaniczne na Archipelagu Sundajskim! I podczas gdy oczy señora de Almadei rzucały na nią przemożny czar, budząc w niej zarazem niepokój, spojrzenie szarych oczu tego obcego napełniało ją błogim spokojem. Miała takie uczucie, jakby ozdrowiała po długiej chorobie. Wprawdzie nie uświadamiała sobie tego dokładnie, ale czuła, że to wspaniale, iż poznała tego człowieka.

Przez chwilę toczyła się rozmowa, póki ciocia Mally nie spostrzegła wśród gości Hiszpana. Stanowczo wołała, by Jolanta poświęcała uwagę temu bogatemu i świetnemu kawalerowi niż młodemu badaczowi, który był wprawdzie postacią interesującą, ale będąc goły nie wchodził w rachubę jako kandydat do ręki Jo. Odciągnęła więc siostrzenicę na bok, choć ta nie miała ochoty porzucać towarzystwa Rainsberga. Ponownie spotkały się dwie pary oczu, jakby młodzi nie mieli siły się ze sobą rozstać, wreszcie jednak Jolanta musiała udać się za ciotką.

Gdy i pan domu oddalił się, Gerd Rainsberg i doktor Gering zostali sami; krążyli wśród tłumu gości. Gerd ścigał spojrzeniem Jo, która zatrzymała się wraz z ciotką obok wysokiego bruneta. Gerd przyglądał się z niesmakiem scenie powitania. Brunet ucałowawszy z nieopisaną gracją dłoń ciotki, która też zaraz poszła dalej, pochylił się nad Jolantą i rozmawiał z nią z czarującym uśmiechem na twarzy.

Gerd nieznacznie popychał przyjaciela w kierunku rozmawiających, tak iż wkrótce znaleźli się w pobliżu. Jo stała we framudze drzwi, brunet zaś poufałym gestem trzymał dłoń na jej ramieniu.

— Kim jest ten mężczyzna obok panny Warren? — spytał Rainberg doktora Geringa z mieszaniną niepokoju i żywego zainteresowania.

— A, Hiszpan!

Tu doktor Gering, zawsze świetnie poinformowany, mógł udzielić przyjacielowi szczegółowych wyjaśnień.

— Hiszpan?

— Zgadza się. Niejaki señor de Almadeia.

— Jest pracownikiem ambasady?

— Ależ skąd! Znajduje się w tym szczęśliwym położeniu, że nie musi w ogóle pracować, może za to do woli bujać po świecie. Jest bajecznie bogaty, posiada wielkie dobra w Hiszpanii i jakiś czas temu pojawił się jako gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie tutejszego towarzystwa.

Gerd, obserwujący krytycznie obcego mężczyznę, powziął do niego żywiołą antypatię. Nie mógł mu darować, że ośmiela się rozmawiać poufale z Jolantą, trzymać dłoń na jej ramieniu i patrzeć na nią, a właściwie pożerać płomiennym, uwodzicielskim spojrzeniem.

Uczucie do tej dziewczyny, które się w nim nagle zbudziło, sprawiło, że zazdrościł obcemu. Najchętniej przepędziłby go na cztery wiatry i zajął jego miejsce u boku Jolanty, by jej bronić. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że tej uroczej osobie o cudownych oczach i ujmującym uśmiechu, którym w tej chwili niestety obdarzała rywala, grozi ze strony tamtego wielkie niebezpieczeństwo.

— Czy może mnie pan przedstawić temu panu? Intryguje mnie — powiedział zniżając głos.

Doktor Gering roześmiał się.

— Pan też uległ jego urokowi? Wie pan, to nie do wiary, jak ten señor potrafi usidlić wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiety. Jestem zatwardziałym sceptykiem i dostrzegam w ludziach tylko wady. Ale temu człowiekowi nie mogę nic zarzucić, choć czuję podświadomie, że ma więcej wad niż zwykły śmiertelnik. Gdy jestem z daleka od niego, odzyskuję zmysł krytyczny i mówię sobie, że to hochsztapler. Ale gdy tylko stanę oko w oko z nim, gubię się i jedyne, co widzę, to to, że jest to czarujący, przemiły człowiek.

— Pozer! — zawyrokował ostro Gerd.

— To na pewno. Ale cóż pan chce? Bogacze zawsze fascynują biedaków, nawet jeśli nie są tak zajmujący jak ten pan. Chodźmy, przedstawię pana.

Podeszli do rozmawiających; Hiszpan wciąż trzymał dłoń na ramieniu Jo. Doktor Gering przedstawił sobie obu panów i wtedy stała się rzecz dziwna. Gdy tylko Jo spojrzała w oczy Gerda Rainsberga, znów zaczęła widzieć jasno, jakby uleczyła się z ciężkiej choroby, która odbierała jej siły, by bronić się przed magią zniewalających spojrzeń Hiszpana. Postąpiła chwilę w towarzystwie trzech panów, ale wnet odciągnęli ją inni goście. Gerd patrzył za nią oczarowany. Wreszcie opanował się i zaczął przyglądać się Hiszpanowi, który zwrócił się do niego z czarującym uśmiechem.

— Wraca pan z tropików, panie doktorze? — spytał.

Doktor Gering wymienił bowiem stopień naukowy Rainsberga, którego ten na ogół nie używał. Gerd skinął głową.

— Tak, z Archipelagu Sundajskiego.

— Interesująca okolica? — rzucił tamten zaskakując czystą niemiecką.

— To zależy, co kogo interesuje, proszę pana.

W tej chwili podszedł znajomy doktora Geringa, odciągając go na bok. I wtedy Gerda olśniła nagła myśl. Uderzyły go w wyglądzie i zachowaniu obcego niehiszpańskie rysy. Nie wiedział dokładnie, na czym to polega, ale spędziwszy kilka lat w Hiszpanii, dobrze poznał naturę tego narodu. Biegłe mówił po hiszpańsku, toteż zniemacka zagadnął tamtego w tym języku:

— Możemy rozmawiać w pańskim języku ojczystym, jeśli to dla pana wygodniejsze. Znam go nieźle.

Po pięknej twarzy tamtego przemknął cień. Przez chwilę zdawał się rozważać propozycję Gerda, wreszcie rzekł niepewnie po hiszpańsku:

— Chce pan ze mną rozmawiać po hiszpańsku, panie doktorze?

Ale powiedział to jakoś tak chropawo i z akcentem, który co najwyżej można spotkać w portach hiszpańskich, że Rainsberg od razu domyślił się prawdy. Jeśli ten człowiek twierdzi, że jest Hiszpanem, to na pewno kłamie. Gerd tylko to chciał wiedzieć.

— No właśnie! — odparł.

— Ach, nie — zawołał tamten — jestem tu po to, by doskonalić moją niemieczyznę. Proszę więc, by pan rozmawiał ze mną po niemiecku.

Gerd stwierdził że niemieczyzna tego pana jest o wiele lepsza od jego hiszpańskiego. Nie dał jednak nic poznać po sobie i obaj gawędzili jeszcze przez chwilę po niemiecku. Wreszcie Hiszpan oddalił się spieszenie pod jakimś pozorem. Gerd odprowadził go wzrokiem, widząc, że tamten znów lawiruje w kierunku Jolanty Warren.

Mimo całego uroku osobistego to obmierzły typ, stwierdził w duchu Rainsberg. W każdym razie na pewno nie jest Hiszpanem. Ale w takim razie kim jest? Trudno sobie wyobrazić, by obracał się w tak szacownych kręgach, żeglując pod fałszywą banderą. Może przebywa tu incognito w jakiejś tajnej misji i stąd ta cała maskarada? Może jest dyplomatą albo szpiegiem? A może to hochsztapler? W każdym razie trzeba go mieć na oku choćby ze względu na uroczą pannę Warren, która zdaje się przestawać z nim na poufalej stopie. Ale przecież pan domu musi wiedzieć, kogo u siebie przyjmuje. Chyba przesadzam. Co mnie zresztą ten człowiek obchodzi? Nic! Po prostu złości mnie, że znowu dorwał się do Jolanty. A jak ona patrzy na niego! Jak złowiony ptak na myśliwego. Jest taka bezradna, jak zahipnotyzowana. Mam ochotę udusić tego faceta!

Tak rozmyślał, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest po prostu zazdrosny. Tak, był zazdrosny o tego „señora”, zazdrosny o to, że tamten może dotykać jej ramienia poufałym gestem, że Jo patrzy na niego z oddaniem.

— No, co pan robi taką ponurą minę? — spytał doktor Gering, podchodząc do niego.

Gerd przejechał ręką po włosach.

— Nie wiem — odparł — chyba nie służy mi to towarzystwo!

— Jaki pan wybredny! Co by powiedziała nasza miła gospodyni, która jest przekonana, że urządza uroczę przyjęcia?

— Może innym się tu podoba, mnie nie.

— No, no, można tu spotkać naprawdę interesujące osobistości. Choćby ten Hiszpan. Czy to nie fantastyczny człowiek?

— Może i jest fantastyczny — roześmiał się drwiąco Gerd. — W każdym razie nie brak mu fantazji.

— Co pan ma na myśli?

Gerd rozejrzał się — byli sami. A doktorowi można było powierzyć każdą tajemnicę. Wszyscy wiedzieli, że nie był plotkarzem.

— Mam na myśli to, że ten człowiek nie jest Hiszpanem!

— Pan wybaczy! To chyba żart?!

— To nie jest żart. Wie pan, że mieszkałem kilka lat w Hiszpanii i znam doskonale kraj i ludzi.

— A prawda! Czy jest takie miejsce na ziemi, gdzie pan nie był? Ale co z tego?

— Ten pan mówi po hiszpańsku jak prości marynarze, nie zna podstawowych wyrażeń języka literackiego. A gdy go zagadnąłem po hiszpańsku, nie zgodził się rozmawiać ze mną w tym języku. Jest tu po to — stwierdził — by uczyć się niemieckiego.

— Do licha! To rzeczywiście ciekawe! Ale w takim razie musi mieć jakieś powody, by podawać się za Hiszpana. W domu profesora jest mile widziany; to faworyt pani domu. Między nami mówiąc, sądzę, iż tej pani marzy się związek siostrzenicy z tym señorem.

— Naprawdę?

— Sam pan widział, że ten pan zachowywał się dość poufale wobec panny Warren. Jeśli nasz słynny lekarz nie jest ślepy, to nie mogło to ujść jego uwadze. A jeśli to widzi, to znaczy, że akceptuje ten związek — a w takim razie z pewnością wie, komu oddaje swoją siostrzenicę. Być może ten grand przebywa tu w jakiejś misji politycznej i stąd ta cała maskarada. Takie rzeczy się zdarzają.

Gerd odetchnął głęboko.

— Możliwe! Mnie też to przyszło do głowy. A więc sądzi pan, że nie da się podjąć żadnych kroków przeciwko niemu?

— Wykluczone! Chce się pan narazić?

Gerd, targany niepokojem, spoglądał w zamyśleniu na Jolantę, która znów zdawała się ulegać przemożnemu wpływowi Hiszpana. Poczuł ukłucie w sercu — dotkliwy ból, którego źródła nie umiał sobie wytłumaczyć. Ta urocza dziewczyna wywarła na nim ogromne wrażenie. Nie dlatego, że była piękna — uczony spotykał w życiu piękniejsze kobiety i spoglądał na nie obojętnym okiem — lecz dlatego, że rzucała na niego dziwny czar, któremu nie mógł się oprzeć. Wiedział, że jego serce znalazło nareszcie spokojną przystań, jakiej dotąd na próżno poszukiwał. Miał zdecydowanie męski charakter i

pociągała go zwłaszcza delikatna bezradność dziewczyny. Należała do tych kobiet, które prawdziwy mężczyzna pragnie otoczyć opieką, by je uchronić przed brutalnym życiem. Gerd Rainsberg nie uległ dotąd urokom żadnej kobiety — i oto padł ofiarą przeznaczenia. Usiłyły go na zawsze te dziwne, lękliwe, zamglone orzechowe oczy i nieśmiały, słodki uśmiech. Czuł, że przepadł i na nic zda się jego gniewny opór. Obudziło się w nim pragnienie roztoczenia opieki nad tą dziewczyną, której — czuł to wyraźnie — groziło niebezpieczeństwo ze strony tamtego mężczyzny. Miał pretensję do losu, że odmawia mu okazji odegrania roli jej obrońcy.

— Czy panna Warren mieszka stale w domu wuja? — spytał doktora Geringa.

— Tak. Profesor przyjął ją do siebie po śmierci jej rodziców. Jest bratem jej matki. Zdaje się, że dziewczyna jest zamożna, obilo mi się o uszy, że jest bardzo bogata. Ma też wielu starających się, choć po raz pierwszy zdarza się tak wspaniały konkurent w osobie tego Hiszpana. Wcale się nie dziwię, że wuj i ciotka sprzyjają temu związkowi. Przynajmniej mają gwarancję, że siostrzenica nie będzie poślubiona wyłącznie ze względu na majątek.

— Oczywiście. Byłaby godna pożądania nawet i bez majątku — powiedział w zadumie Gerd.

Doktor przyjrzał mu się uważnie. Czyżby ten młody człowiek się zakochał? Jeśli tak, niechże staje w szranki z Hiszpanem. W końcu jest również bardzo bogaty i przystojny, nie mówiąc o innych jego zaletach. Nie dając nic po sobie poznać, rzucił niedbale:

— Cóż, to rzecz gustu; w każdym razie, jest nie w moim typie. Lubię kobiety rasowe i z temperamentem.

Gryząc wargi i przyglądając się ponuro Hiszpanowi, Gerd szybko zmienił temat rozmowy. Tego wieczoru został przedstawiony jeszcze wielu osobom, odbył wiele banalnych rozmów, wciąż szukając oczywiście Jolanty. Kilkakrotnie udało mu się zamienić z nią kilka słów i za każdym razem wydawała mu się bardziej niespokojna i skępowana. Wmawiał sobie, że błaga go o coś spojrzeniem. Ale co mógł zrobić? Czego ona od niego chciała? Może mu się to wszystko przyśniło? A potem nagle zniknęła mu z oczu i nie wiedział dokąd poszła. Zaniepokoiło go to. Chciał odejść, uwolnić się od czaru, który na niego rzuciła, ale nie mógł, musiał zostać.

Jolanta Warren nie po raz pierwszy czuła potrzebę uwolnienia się od przemożnego wpływu, jaki wywierał na nią señor de Almadaia. Ale wbrew sobie wciąż ulegała jego sugestywnemu zachowaniu; była pewna, że hipnotyzuje ją, by ją do siebie przykuć. Kilkakrotnie uwolniła oczy od jego magnetycznego spojrzenia, rozglądając się bezradnie dokoła. Gdy wzrok jej napotykał oczy Gerda Rainsberga, doznawała uczucia ulgi i wyzwolenia.

Widząc, że dziewczyna próbuje mu się wymknąć, że jego władza nad nią topnieje, Hiszpan podjął stanowczą decyzję: z dzisiejszego przyjęcia musi wyjść jako oficjalny narzeczony Jolanty Warren. Był pewien, że ciotka mu sprzyja, mógł też liczyć na przychyłność profesora. Wystarczyło więc pokonać opór Jolanty.

Nie miał wątpliwości, że dziewczyna odziedziczyła ogromny majątek. Udało mu się dyplomatycznie wyciągnąć z ciotki wyznanie, że Jolanta wkrótce będzie mogła rozporządzać majątkiem, gdyż za kilka dni stanie się pełnoletnia. Poza tym po ślubie jej małżonek i tak stanie się prawnym opiekunem Jolanty. Ciotka nie miała zielonego pojęcia, jak istotne są dla jej wymarzonego konkurenta sprawy majątkowe. De Almadaia dawał do zrozumienia, że wolałby starać się o rękę Jolanty jako biednej dziewczyny, zdanej całkowicie na jego opiekę.

Toteż Hiszpan czekał niecierpliwie okazji, by przypuścić generalny szturm i odciąć Jolancie możliwość odwrotu. Ona, przeciwnie, pragnęła się od niego uwolnić. Chciała jeszcze pogawędzić z Gerdem Rainsbergiem, który z pewnością mógł jej opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy.

Bawiąc się nerwowo koronkowymi aplikacjami delikatnej białej sukni, Jolanta rozerwała je niechcący. Odetchnęła z ulgą i wykorzystując okazję, by się uwolnić od natarczywego konkurenta, powiedziała:

— Jaka ze mnie niezdara! Muszę zaraz pójść do siebie i naprawić szkodę.

Hiszpan przeszył ją gorącym spojrzeniem.

— A więc muszę przez chwilę obyc się bez pani, Jolanto, choć każda minuta pani nieobecności to dla mnie ciężka próba — rzekł zniżonym głosem.

Dziewczyna instynktownie uniosła drżące ręce jakby w obronie przed tą nową poufałością, po raz pierwszy bowiem ten mężczyzna

zwrócił się do niej po imieniu. Ale nie miała siły protestować, odwróciła się szybko, by uciec w popłochu.

— Do zobaczenia, słodka Jolanta! — zdążył jej jeszcze szepnąć.

Zostawiła go, lecz zaraz zatrzymała ją jakaś dama. Almadeia miał więc czas zrealizować plan, który mu nagle przyszedł do głowy. Nadeszła sposobna chwila. Wyszedłszy szybko innymi drzwiami, przebiegł przez korytarz i udał się na pierwsze piętro, gdzie znajdował się pokój dziewczyny; jako stały gość znał dobrze rozkład domu.

Zyskawszy kilka cennych minut przewagi nad Jolantą, obejrzał się nerwowo wokoło, po czym wśliznął się do jej sypialni. Znalazłszy się w środku, odetchnął z ulgą i ukrył się za kotarą. Po chwili usłyszał lekkie kroki na korytarzu, drzwi się otworzyły i w progu stanęła Jolanta. Szybko zatrasnęła za sobą drzwi i stojąc na środku pokoju oddychała ciężko, przyciskając dłonie do serca. Wychodząc z salonu, zetknęła się z Gerdem Rainsbergiem; wskazując z uśmiechem rozdarciem, powiedziała:

— Muszę naprawić szkodę, skutek mojej niezręczności!

— Czy mogę pani towarzyszyć? Może będzie pani potrzebna pomoc? — spytał.

— Nie, nie — odparła kręcąc głową — nie może mi pan w tym pomóc. Zaraz wrócę.

— Czy mogę zatem liczyć na to, że zaszczyci mnie pani rozmową po powrocie?

Jolanta skinęła głową.

— Tak, jak tylko wrócę!

I teraz oto stała na środku pokoju z zamkniętymi oczyma i dłońmi przyciśniętymi do piersi, myśląc o Gerdzie Rainsbergu, nasłuchując jego głosu brzmiącego nadal w jej duszy, nie zdając sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo nad nią zawisło.

Już miała wejść do ubieralni, gdzie znajdowały się przybory do szycia, gdy Hiszpan wyskoczył zniemacka zza kotary i chwyciwszy ją mocno w ramiona, szeptał z namiętną czułością:

— Moja słodka Jo, dziękuję ci, że dałaś mi okazję do tego spotkania sam na sam. Od razu zrozumiałem, o co ci chodzi, i pobiegłem przed tobą, by oczekiwać cię tu z bijącym sercem. Nareszcie, nareszcie jesteś moja, słodka Jo! Usycham z tęsknoty za tobą!



Jolanta była jak sparaliżowana z przerażenia. Dopiero gdy poczuła na wargach jego gorące pocałunki, ocknęła się, próbując uwolnić się z jego ramion. Ale Hiszpan trzymał ją mocno. Strach dodał jej sił. Nie mogąc się wyrwać z jego objęć, ugryzła go w rękę. On tymczasem zdołał ją przegiąć, tak że dosięgnął ręką dzwonka umieszczonego obok drzwi, i niepostrzeżenie zadzwonił na służbę. Jolanta opierała mu się z całych sił i wreszcie udało jej się uwolnić.

Hiszpan popatrzył na nią z uśmiechem, który sprawił jej ból.

— Ależ Jo, jaka z ciebie dziczka!

A ona stała przed nim z potarganymi włosami i przerażonymi oczyma.

— Nie, nie, proszę tak nie mówić! Jak pan śmiał napaść na mnie w moim własnym pokoju?! To niesłychane! Proszę stąd natychmiast wyjść!

— Nie bądź taka nieprzystępna, moja słodka Jo. To wszystko na nic. Nie zauważyłaś, że nacisnęłaś dzwonek, broniąc się przed moimi pocałunkami? I dlaczego jesteś taka wstrząśnięta, ukochana? Przecież kochamy się, dawałaś mi to nieraz do zrozumienia, aż wreszcie straciłem panowanie nad sobą. Przepraszam cię, poniosło mnie. Ale nie mam wody w żyłach, tylko gorącą krew, która burzy się we mnie na myśl o tobie. Słyszysz? Nadchodzą ludzie, których wezwałaś. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak otworzyć drzwi i ogłosić nasze zaręczyny.

Jolanta poczuła ogromną niechęć do tego mężczyzny. Dopiero teraz, porównując go z Gerdem Rainsbergiem, zrozumiała, że jest to człowiek o złym charakterze. Spojrzała ze strachem na drzwi.

— Nie, nie, proszę nie otwierać, na Boga!

A on wbrew jej protestom znów porwał ją w ramiona, obsypał pocałunkami, wołając głośno:

— A więc nie otwierajmy drzwi, mój skarbie, tak nawet będzie lepiej. Nie mam nic przeciwko chwili pieszczot, nim ogłosimy nasze zaręczyny. Jo, nie bądźże taka przerażona!

Tymczasem służąca nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte, poczęła więc nasłuchiwać i prócz głosu Jolanty usłyszała głos mężczyzny. Spłoszona pobiegła na dół, ale w połowie schodów zetknęła się z panią domu. Jąkając się, służąca powiedziała o dziwnym odkryciu i

pani profesorowa natychmiast domyśliła się prawdy. Opuszczając salon señor de Almadeia szepnął jej bowiem:

— Idę złowić swoje szczęście!

Odprowadziła go wzrokiem, nie rozumiejąc, co ma na myśli. Zaniepokojona poszła wreszcie na górę. Na schodach pokojówka powiedziała jej, gdzie się znajdują „narzeczeni”. Ciotka uznała, że młodzi trochę przesadzili, umawiając się w sypialni Jolanty, ale cóż, zakochani nie myślą o takich drobiazgach. Zwróciła się więc z uśmiechem do służącej:

— Proszę się uspokoić, moja siostrzenica przed chwilą zaręczyła się z señorem de Almadeia. Właśnie idę do nich.

Bez pośpiechu weszła na górę i zapukała do drzwi pokoju Jo.

— To ja, Jo; otwórz, proszę.

Jolanta stała zdruzgotana. Nim zdołała podjąć jakąkolwiek decyzję, Hiszpan podskoczył do drzwi, otworzył je i złożył głęboki ukłon przed panią domu, wołając:

— Droga, ubóstwiana łaskawa pani, dziękuję, że przysłała pani udzielić nam błogosławieństwa.

Ciotka celowo zostawiła szeroko otwarte drzwi wiedząc, że na schodach zebrało się kilkoro służby. Wygląd Jo — potargane włosy, podarta sukienka — wprawił ją w zakłopotanie, ale uśmiechając się, rzekła:

— Dzieci, możecie być pewni mojego błogosławieństwa, a i wuj chętnie da pozwolenie. Ale czy musieliście się spotkać w sypialni Jo, by sobie wyznać miłość?

Jolanta wreszcie ocknęła się z odrętwienia.

— Ach, ciociu, droga ciociu, ja... ja wcale nie chcę... ja nie chcę zaręczyć się z panem de Almadeia!

Na to ciotka wyprostowała się, mówiąc surowo i z wyrzutem:

— Cóż ty sobie wyobrażasz, Jo? Przyjmujesz w sypialni mężczyznę, służba to widzi i plotkuje, a twój wygląd — włosy w nieładzie, podarta sukienka — mówi sam za siebie. Tylko twój narzeczoney miałby prawo przebywać w twoim pokoju. Bądź łaskawa o tym pamiętać. Chyba nie chcesz zwichnąć kariery wujowi, doprowadzając do skandalu? Señor de Almadeia kocha cię, nieraz dawał mi to do zrozumienia, a i ty chętnie przyjmowałaś jego starania. A więc co znaczą te fochy?

Hiszpan z uśmiechem podszedł do Jo, otaczając ją ramieniem.

— Proszę się nie gniewać, wielce szanowna ciotciu, Jo jest trochę wytracona z równowagi; wstydzi się, że nas tu przyłapano. Ale to minie. Prawda, moja słodka Jo? A teraz pójdiesz ze mną do wuja, a ja poproszę go, by ogłosił nasze zaręczyny. Proszę się nie denerwować, szanowna ciotciu.

Jo wyjrzała z przestrachem na korytarz. Rzeczywiście, stało tam kilka pokojówek, chichotając i nadstawiając uszu; ale nic nie rozumiały, gdyż rozmowa prowadzona była półgłosem. Lecz spojrzawszy w lustro, widząc swą toaletę w nieładzie, Jo z rozpaczą zrozumiała, że nie ma dla niej ratunku. Musi zgodzić się na te zaręczyny, nie może okrywać hańbą domu wujostwa, z których gościny korzysta.

— Proszę — szepnęła drżącym głosem — zostawcie mnie, tylko na dziesięć minut, muszę się doprowadzić do porządku.

Ciotka nie domyślała się, co się dzieje w duszy dziewczyny; po prostu wyobrażała sobie, że zakłóciła słodkie tête-à-tête narzeczonych. Była zadowolona, że wreszcie spełniły się jej pragnienia: Jo dostanie nie tylko przystojnego, ale i bajecznie bogatego męża.

— Dobrze, moje dziecko. My z Alfonsem poczekamy pod drzwiami, a ty szybko popraw toaletę.

Jo nie zdążyła odskoczyć w porę i Alfonso znów przycisnął ją do siebie, szepcząc:

— Wybacz, Jo, nie mogłem się oprzeć. Ale teraz już wszystko dobrze. Jesteś moja, moja! Co za szczęście!

A ona, bezwolna w jego ramionach, miała ochotę umrzeć na myśl o tym, że za chwilę stanie oko w oko z Gerdem Rainsbergiem jako narzeczona człowieka, który napawał ją lękiem, na którego łasce znalazła się bezpowrotnie. Wiedziała, że istniała tylko jedna droga do wolności — droga hańby.

Zostawszy sama, poczuła się zagubiona i bezsilna. Co mogła zrobić? Nie umiała walczyć, wiedziała, że musi zgodzić się na wszystko, jeśli nie chce okryć się hańbą, która spadłaby także na wuja i ciotkę. Wuj był na eksponowanym stanowisku i nie mógł sobie pozwolić na to, by jego siostrzenica przyjmowała mężczyzn w sypialni. Hiszpan dobrze o tym wiedział i dlatego zakradł się do jej pokoju. Czy rzeczywiście popełniła jakąś niezręczność i niechcący zachęciła go do takiego kroku?

Chciała umrzeć wiedząc, że w tym związku nie zazna szczęścia. Jej szczęście związane było z innym mężczyzną, lecz już na zawsze pozostanie dla niej nieosiągalne.

Zmęczona i wyczerpana podniosła się wreszcie i poprawiła włosy, doprowadziła suknię do porządku. Gdyby Gerd Rainsberg zobaczył ją w tym stanie — z obcym mężczyzną w sypialni — pogardziłby nią. Dziwne, że najważniejsze było dla niej, co powie obcy mężczyzna, którego przed chwilą poznała. Przedtem de Almadaia nie był jej tak wstrętny, opętał ją, omotał swoim czarem jak wszystkie inne kobiety, do których się zbliżał. Co prawda jego czar nad nią trwał tylko tak długo, jak długo był obok niej. Ale dziś po raz pierwszy wydał jej się niesympatyczny i jakiś sztuczny. Przedtem nie zastanawiała się nad tym. Dopiero dzisiaj poczuła chęć wyzwolenia się spod jego wpływu; i za każdym razem spoglądała na Gerda Rainsberga, jakby tylko on mógł ją wyrwać z zaczarowanego kręgu, w którym nie była wcale szczęśliwa. A teraz? Teraz temu Hiszpanowi udało się ją skompromitować; jego niezdrowa namiętność — sądziła iż to był właśnie powód wtargnięcia do jej pokoju — okryła ją hańbą i zmusiła do zgody na zaręczyny z nim.

Zaręczyny! Ileż kobiet zazdrościłoby jej tak pożądanego konkurenta! Ale nie znajdowała pociechy w tej myśli. Oczyma duszy widziała poważną, rasową twarz Gerda Rainsberga; jego szare oczy patrzyły na nią ciepło i serdecznie, przynosząc jej ukojenie i wolność. Zrozumiała, że tylko ze względu na niego odczuwa taką rozpacz z powodu owych wymuszonych zaręczyn. Dopiero teraz bowiem uświadomiła sobie uczucia, jakie można żywić dla mężczyzny, któremu oddaje się siebie na całe życie. Ach, wolałaby go nie spotkać!

Ale czyż chwila, gdy po raz pierwszy spojrzała w jego oczy, nie była najszczęśliwszym momentem w jej życiu? Od tej chwili była jak odmieniona. Pod wpływem tej myśli wyprostowała się nagle, jakby broniąc się przed nią. Nie wolno jej tak myśleć. Musi się tego wystrzegać.

Odetchnąwszy głęboko, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz jak baranek prowadzony na rzeź.

Tymczasem señor de Almadaia nie tracił czasu, wkradając się coraz bardziej w łaski ciotki. Opowiadał jej o swej gorącej miłości do Jo, błagał ją, by pomogła mu szybko doprowadzić do wesela, gdyż nie może już okiełznać swych zmysłów.

Tak rozmawiali, czekając na Jo, która tymczasem w swym pokoju toczyła beznadziejną walkę. Gdy otworzyły się drzwi, Alfonso podskoczył do niej, zagarnął ją w ramiona, opowiadając jednym tchem, że ciotka obiecała mu szybko urządzić wesele.

Jo była silna odwagą rozpaczy. W cichości ducha modliła się, by Bóg dał jej siłę i by Rainsberga nie było już na przyjęciu. Najbardziej bowiem ze wszystkiego przerażała ją myśl, że będzie musiała spojrzeć mu w oczy, stojąc u boku Alfonsa jako jego narzeczona. Czowała, że załamie się, gdy Gerd na nią spojrzy.

I tak wróciła do salonu pod ramię z Alfonsem. Ciotka odnalazła tymczasem męża i oznajmiła mu radosną wieść. Słuchał z roztarznieniem, ucieszył się zdawkowo, że jego siostrzenica robi tak świetną partię, ale zaraz zapomniałby o wszystkim, gdyby żona nie poprosiła go o ogłoszenie zaręczyn.

Zrobił to tym chętniej, że będąc człowiekiem ostrożnym już dawno, skoro tylko żona opowiedziała mu o pożądanym planach matrymonialnych, zasięgnął języka o señorze Almadei w ambasadzie hiszpańskiej. Dowiedział się, że ród Almadeiów należy do nielicznych już rodów hiszpańskich, które zachowały ogromne posiadłości, i że Alfonso de Almadeia jest jedynym spadkobiercą rodowej fortuny. Obecnie zaś bawi w podróży dookoła świata.

Te informacje wystarczyły profesorowi.

## II

Pierwszym człowiekiem, którego narzeczeni spotkali wchodząc do sali, był Gerd Rainsberg.

Stał na czatach w drzwiach, którymi, jak przypuszczał, będzie wracała Jolanta. Czekał niecierpliwie na jej powrót, licząc na dłuższą pogawędkę bez świadków. Tymczasem Jolanta weszła do sali pod ramię z Hiszpanem, którego Gerd nie uważał wcale za Hiszpana. Przeraził się, widząc jej pobladłą twarz i pochwyciwszy jej wzrok —

patrzyła na niego jak bezbronna, zraniona sarenka. Ciarki przeszły mu po grzbiecie na widok triumfującej miny idącego obok niej mężczyzny.

Co się mogło wydarzyć podczas nieobecności Jo? Czytał z jej oczu i kurczowo zaciśniętych ust, że zdarzyło się coś, co wstrząsnęło nią do głębi. Gdy spojrzenia ich się spotkały, twarz oblała się szkarłatem, ale natychmiast znów pobladła.

Nie rozumiał przyczyny tej gry kolorów, ale czuł instynktownie, że ta słodka, blada istota przeżywa tragedię.

Ale oto już go minęła. Patrzył w ślad za nią, sparaliżowany. Czy naprawdę nie miał prawa podejść do niej i spytać: co się stało? Jak mogę ci pomóc?

Długo stał tak samotnie przy drzwiach, pogrążony w rozmyśleniach. Jego towarzysz, doktor Gering, siedział nie opodal, gawędząc z przyjaciółmi. Nikt nie zwracał uwagi na uczzonego, nie próbującego z nikim nawiązać kontaktu. A on wciąż zastanawiał się, co mogło się przytrafić Jolancie.

Rainsberg nie zdołał dojść do żadnych wniosków, gdy wtem pan domu, wystąpiwszy na środek sali, poprosił o chwilę uwagi. Za jego plecami, pod ramię z Hiszpanem, stała Jo, wciąż jeszcze blada i bezradna. Gerd wyprostował się, czując, że coś się święci; widział tylko Jo. A jej wzrok znów skierował się ku niemu, malowała się w nim rozpacz i nieme błaganie o pomoc. Gerd zmusił się do zachowania spokoju. Ani jeden mięsień w jego twarzy nie drgnął, gdy lekarz ogłaszał zaręczyny swej siostrzenicy z señorem de Almadeią. Spostrzegł, że Jo przymyka oczy, slaniając się, bliska omdlenia. Zaraz się jednak opanowała i mężnie stawiała czoła natłokowi gratulujących. Ale twarz jej przypominała kamienną maskę. Gerd zbliżył się do niej wraz z innymi, nie spuszczać z niej oczu. Co ją popchnęło do tego związku? Na pewno nie miłość! Widział to, czuł wyraźnie. Tak nie wygląda kobieta szczęśliwie zakochana. A więc co ją popchnęło do tego kroku? Wtem jego wzrok padł na twarz ciotki, na której malowało się to samo uczucie, które już wcześniej uznał za stręczycielskie. Czyżby ta kobieta maczała palce w tych dziwnych zaręczynach? Wydało mu się to teraz całkiem pewne. A więc wywierano nacisk na to słodkie, blade stworzenie, i dziewczyna musiała się zgodzić — tak, musiała! Był pewien, że z własnego wyboru nie mogła zdecydować się na związek z

tym mężczyzną. Widać było po niej, że serce jej wzdraga się przed tym. Gerd coraz mocniej skłaniał się do przekonania, że ten człowiek jest hochsztaplerem. Czy Jolanta wiedziała o tym? Czy wiedział o tym jej wuj? Ach, że też Gerd wcześniej nie trafił do tego domu — na tyle wcześniej, by zmierzyć się z tym fałszywym Hiszpanem i zdobyć serce dziewczyny! Co jej zrobiono? W jaki sposób przykuto ją do boku tego człowieka?

Stojąc w ciżbie widział wyraźnie bolesny skurcz, wykrzywiający usta Jo. Ale co mógł dla niej uczynić? Nic, nic — wiedział o tym aż nadto dobrze. Na jakiej podstawie on, obcy w tym domu, mógłby sprzeciwić się tym zaręczynom? Nie miał wyboru, musiał spokojnie patrzeć na rozwój wypadków.

A Jo znów spojrzała na niego z wyrazem rozpaczyny na twarzy. Błądziła wzrokiem wokoło, jakby szukając drogi ucieczki. Gerd nie byłby teraz w stanie wyjąkać choćby jednego słowa gratulacji, wycofał się więc z wolna pomiędzy gości, zajmując swe poprzednie miejsce przy drzwiach.

Cóż mógł jej rzec, przyłączając się do grona rozentuzjasmowanych ludzi? Banalne frazesy nie przeszłyby mu przez gardło, a nie mógł jej przecież zdradzić nic z tego, co czuł. Widział, że co chwila rzuca mu rozpaczliwe spojrzenia, jakby chciała wezwać go na pomoc. Nie spuszczał z niej oczu, czując coraz większy niepokój.

Wreszcie ostatni gość złożył gratulacje. Jedynym, który tego nie uczynił, był Gerd Rainsberg, ale nikt tego nawet nie zauważył. Nikt z wyjątkiem Jo, która była z tego bardzo rada. Przynajmniej on jeden wiedział, że nie ma podstaw do gratulacji. Tak, on wiedział — Było to dla niej pocieszeniem.

Goście znów rozproszyli się po salonie omawiając podniecające wydarzenie. Pan domu poprowadził narzeczonego ku grupce mężczyzn, którzy zaczęli mu zachwalać uroki małżeństwa. Ciocia Mally udzielała bliższych wyjaśnień kilku zainteresowanym damom. Młode dziewczęta, zawistne i rozczarowane, również skupiły się we własnym gronie, dyskutując namiętnie. Dzięki temu Jo była wreszcie sama. Z ulgą wysunęła się do sąsiedniego pokoju.

Gerd Rainsberg szedł za nią jak urzeczony. Znalazł ją bladą i wyczerpaną, siedzącą w fotelu z zamkniętymi oczami, z rękoma

złożonymi jakby w żarliwej modlitwie. Gerdowi serce ścisnęło się z żalu. Podszedł do niej ze słowami:

— Proszę pozwolić, nie miałem dotąd okazji...

— Na miłość boską — zawołała Jo, podnosząc ręce rozpaczliwym gestem — przynajmniej pan niech mi nie gratuluje! Jestem raczej godna współczucia! — dodała w udręce.

— Wiedziałem o tym, czułem to — zawołał Gerd, zmieniając się na twarzy. — Zdradziły mi to pani oczy pełne rozpacz. Co pani zrobiono? Czy mogę pani pomóc?

— Nie, nie — mówiła z rezygnacją, opuszczając bezradnie ręce — nikt nie może mi pomóc. A najmniej pan.

— Ale ja proszę, błagam panią! Proszę przyznać, że została pani zmuszona do tych zaręczyn.

Jo popatrzyła na niego ze smutkiem.

— To dziwne — powiedziała wreszcie — że rozmawiam o tym z panem, znając pana zaledwie od kilku godzin. Nie wiem, dlaczego to robię, ale pan ma w oczach coś budzącego zaufanie. I dlatego... może wezwałabym pana na pomoc, gdyby... Ale teraz nikt nie może mi już pomóc. Być może sama nie jestem bez winy. Sprowadziłam na siebie nieszczęście przez swą bezwolność. Nie wiem; jakoś nie potrafiłam walczyć, bronić się... a teraz już za późno. Mimo to jestem taka szczęśliwa, że mogę panu o tym powiedzieć, właśnie panu. Pan jeden zrozumiał, czuję to, że przyjąłam dziś na siebie zobowiązanie, którego nie powinnam była przyjmować. Może pan myśli, że to sprawy materialne skłoniły mnie do tego kroku. Ale właśnie pan jeden ze wszystkich ludzi na świecie nie powinien tak o mnie myśleć!

— Nie, o nie, na pewno tak nie myślę! Czuję, że wywarto na panią presję. Na pewno się nie mylę, choć dopiero dziś panią poznałem. Zdaje mi się, jakbym panią znał od dawna; czuję, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Poznałem to od pierwszego spojrzenia w pani oczy. I dziękuję pani za zaufanie. A teraz, na Boga, proszę powiedzieć, że jest sposób, bym pani pomógł!

Jo zaprzeczyła zmęczonym ruchem głowy.

— Nie, nikt nie może mi pomóc. Ale ma pan rację, działałam pod presją wydarzeń. Dopiero teraz to zrozumiałam. Myślę, że już od dawna byłam poddana naciskom, nie wiedząc o tym. Powiedziłam już panu wszystko, co mogłam. A teraz proszę mnie zostawić!



Potrzebuję spokoju. I proszę nie myśleć o mnie źle... Potrzebowałam pocieszenia, a rozmowa z panem dała mi ukojenie. Pan jeden, mimo iż znamy się tak krótko, zrozumiał, co czuję! Dziękuję panu! Teraz proszę, niech pan już idzie! — mówiła, a jej wzburzenie było wymowniejsze od słów.

Gerd wahał się jeszcze, walczył ze sobą. Ale widząc, że dziewczyna jest u kresu sił, zdecydował się ją zostawić.

— Jeśli będzie pani potrzebować człowieka, który gotów jest oddać za panią życie, proszę mnie wezwać! — nalegał. — Może mnie pani zawsze znaleźć przez doktora Geringa. On prowadzi moje interesy i moja poczta przychodzi na jego ręce. Nie chcę pani dłużej męczyć, ale proszę, niech pani pamięta, że tylko czekam na wezwanie, by pani pomóc. Gdy mi to pani obieca, odzyskam spokój ducha.

Jolanta podniosła oczy na niego. Na jedną krótką chwilę zapomnieli o wszystkim, co ich dzieli. Ich spojrzenia zdradzały to, czego nie mogły wyrzec usta. Wreszcie dziewczyna zdobyła się na słowa:

— Obiecuję wezwać pana, gdy... gdy będę miała do tego prawo, gdy nie będę mogła sobie poradzić. Muszę dźwigać ten ciężar, który dziś włożono na moje barki. Ale... ale będę się bronić przed dalszymi ofiarami. To panu mogę obiecać. Żegnam pana — i życzę szczęścia!

Tu głos jej się załamał.

— Oby Bóg pani dopomógł, skoro nie pozwala mi pani lub nie może pozwolić sobie pomóc — powiedział Gerd ze ściśniętym sercem.

Uklonił się i wyszedł z pokoju. Nie miał odwagi dotknąć jej dłoni, bojąc się, że straci panowanie nad sobą. Przez głowę przebiegła mu myśl, że może powinien jej wyznać, iż jest bogaty, na wypadek, gdyby do tych zaręczyn popchnęły ją jednak względy materialne. Ale przypomniał sobie, co mówił doktor Gering, że dziewczyna odziedziczyła duży spadek. A więc pieniądze nie mogły jej pomóc. Nie zdradziwszy przeto swej tajemnicy, Gerd wolno wrócił do salonu.

Jo odprowadziła go spojrzeniem; serce ścisnęło jej się z bólu. Zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, by ten mężczyzna, którego dziś ledwie poznała, stał się jej od razu tak drogi i bliski, że zawierzyła mu swe najintymniejsze uczucia. Bratnie dusze! Tak, miał rację, ciągnęło ją do niego, tak jak jego ciągnęło do niej, jakby się znali od bardzo, bardzo dawna. Ale to minęło! Teraz musi z odwagą przyjąć na siebie swój los.

Zaledwie kilka godzin temu Gerd Rainsberg wkroczył w jej życie, ale te krótkie godziny były dla niej jak wieczność. Nigdy o nim nie zapomni, nawet gdyby nigdy więcej nie miała go widzieć. A na pewno już go nie-zobaczy, nie wolno jej nawet o tym myśleć. Zresztą odjedzie daleko stąd, gdy zostanie żoną Alfonsa. Bardzo dobrze! Z pewnością nigdy go nie wezwie, choćby najbardziej potrzebowała pomocy. Właśnie jego nie może prosić o pomoc, choćby jej dusza się do niego wyrывała.

A Gerd Rainsberg wiedział, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by uwolnić Jolanę od tych strasznych więzów. Pojedzie najpierw do Hiszpanii, by dowiedzieć się czegoś bliższego o Alfonsie de Almadei. Z tym człowiekiem było coś nie w porządku, mimo że profesor uzyskał o nim zadowalające informacje.

Gerd odnalazł pana domu, chcąc go wybadać, i udało mu się przez kilka minut rozmawiać z nim na osobności. Od razu skierował rozmowę na zaręczyny, gratulując profesorowi i wypytując dyplomatycznie o osobę narzeczonego. A gdy lekarz powtórzył informacje, uzyskane w ambasadzie hiszpańskiej, Gerd zdobył się na kurtuazyjną uwagę:

— W takim razie wypada panu rzeczywiście szczerze pogratulować.

Profesor popatrzył na niego w zamyśleniu.

— No, tak, co się tyczy zewnętrznych okoliczności. Ale związek dwojga ludzi różnych narodowości jest zawsze sprawą ryzykowną. Zwykle między małżonkami pojawiają się przeszkody, których nie da się tak łatwo usunąć. Miejmy nadzieję, że w tym przypadku wielkie uczucie pokona wszelkie trudności.

A więc wyglądało na to, że profesor nic nie wie o tym, że Jolanę siłą zmuszono do zawarcia narzeczeństwa. Ale Gerd nie zdradził się z tym, co myślał o tej sprawie. Zamiast tego rzekł:

— Jeśli obie strony żywią gorącą miłość, to wyrównanie przeciwnieństw leży w granicach możliwości.

— Moja żona zapewniła mnie — odparł z uśmiechem profesor — że obie strony pałają gorącą miłością. Ja sam nie miałem jeszcze okazji przekonać się o tym. Ale kobiety mają w tych sprawach szósty zmysł.

— To prawda! — przyznał Gerd Rainsberg.

Słowa profesora umocniły go w podejrzeniu, iż ciotka Jo odegrała główną rolę w doprowadzeniu do tych zaręczyn. Wyglądało na to, że

wprowadziła swego małżonka w błąd. Tylko dlaczego? Oczywiście po to, by skłonić profesora do akceptacji związku. W takim razie musiała mieć szczególne powody, by życzyć sobie tych zaręczyn. Jakie? Po chwili milczenia spytał mimochodem:

— Czy po ślubie młodzi zamieszkają w Hiszpanii?

— O ile wiem, moja siostrzenica ma towarzyszyć mężowi w podróży dookoła świata. Dopiero potem wyjadą do Hiszpanii, gdzie señor de Almada ma rozległe dobra w okolicy Barcelony.

Gerdowi ta informacja wystarczyła. Teraz już wiedział, od czego zacząć poszukiwania. Wprawdzie Jo powiedziała mu, że nie może jej pomóc, ani on, ani nikt inny. Ale może będzie w stanie pomóc jej wbrew jej wiedzy i woli. Może zdoła uzyskać jakieś informacje, które pomogą jej rozwiązać węzły, które wbrew sobie zadzierzgnęła. Postanowił jak najszybciej wyjechać do Hiszpanii.

Zamieniwszy jeszcze kilka zdawkowych słów z profesorem, pożegnał się z nim. Po czym, odnalazszy doktora Geringa, stwierdził, że jest zmęczony i pragnie opuścić przyjęcie.

— Ale pan niech sobie nie przeszkadza, nie chcę panu psuć zabawy.

— To przyjęcie przeradza się stopniowo w rodzinną idyllę — roześmiał się doktor Gering. — To nie dla mnie. Idę z panem, drogi doktorze. Ale może usiądziemy gdzieś jeszcze przy buteleczce wina?

Gerd zgodził się, nie chcąc psuć przyjacielowi wieczoru. Zresztą i tak by nie mógł spać, chodziło mu tylko o to, by nie oglądać znienawidzonej twarzy Hiszpana. Błada, zastygła w bólu twarz Jolanty nie dawała mu spokoju.

Zaraz też obaj panowie pożegnali się. Pani profesorowa z łaskawym uśmiechem zachęciła Gerda do bywania u niej na czwartkowych herbatkach. Rainsberg wymówił się planowaną podróżą zapewniając, iż po powrocie nie omieszką skorzystać z pozwolenia. Profesor również rozstał się z nim przyjaźnie. Pozostało tylko pożegnać się z Jo.

Dziewczyna impulsywnie wyciągnęła do niego rękę. Ujął jej dłoń czując, że jest zimna i lekko drży. Poprzestali na kilku obojętnych zdaniach, gdyż obok Jo stał Alfonso z chełpliwym uśmiechem. Gerd miał ochotę dać mu w twarz. Z przymusem skłonił się przed nim lekko,

zamieniając ostatnie spojrzenie z Jo. Jej oczy wyrażały smutek i zmęczenie. Mimo iż bardzo się starała, nie udało jej się wyglądać jak szczęśliwa narzeczona.

Gdy Rainsberg wraz z doktorem Geringiem opuszczał salon, Jo zdawało się, że nigdy więcej go nie zobaczy. Mówiła sobie, mimo bólu, jaki ta myśl jej sprawiała, że tak będzie lepiej. Kiedy zniknie jej z oczu, łatwiej jej będzie znieść smutny los. Jednego była teraz pewna: jej serce należało do Gerda, dochowa mu wierności, choć inny zmusi ją, by została jego żoną.

Jej serca strzegł obraz Gerda; nie pozwoli wkraść się doń innemu mężczyźnie. Tego była pewna, tak jak i tego, że Alfonso udaremniał jej osiągnięcie wielkiego szczęścia, jakim byłoby dla niej małżeństwo z Rainsbergiem. To jedno bowiem stało się dla niej jasne po rozmowie z nim: że równie szybko oddał jej serce, jak ona jemu.

Patrząc teraz w twarz Alfonsa, nie rozumiała, jak mogła kiedyś uważać ją za piękną, jak mogła dać się owładnąć jego czarowi. Wydawała jej się teraz odpychająca i pospolita, a spojrzenie jego ciemnych oczu — nieczyste. Nie, nigdy nie będzie do niego należała.

Słowa Gerda, skierowane do ciotki, iż wybiera się w podróż, powiedziały Jo, że chce być z dala od niej. Przynęcała, że wezwie go w razie potrzeby. Ale ona nigdy tego nie zrobi. Nie powinien wiedzieć ani nawet się domyślać, jak oplakany jest jej los. A ona musi się z nim pogodzić.

Była zadowolona, że goście zaczynają się rozchodzić; miała nadzieję wkrótce zostać sama. Wreszcie salon opustoszał i przyszła pora na Alfonsa. Żegnając się, wziął ją w ramiona, chcąc ją pocałować. Ale Jolanta udaremniała ten zamiar. Alfonso puścił ją, zły. Nie dlatego, że jej nie pocałował — gdyż nie kochał jej wcale, podobnie jak ona jego — lecz dlatego, że uraziła jego próżność, nie rzuciwszy się w jego objęcia. W oczach zapaliły mu się niebezpieczne błyski. Odplacę ci jeszcze za to, pomyślał. Ale zaraz uśmiechnął się krzywo, szepcząc jej do ucha:

— Jeszcze się boczysz? Bądź dobra! Jutro pokaż mi zadowoloną buzię.

Jolanta nic nie odpowiedziała i Alfonso poszedł.

Ciotka i wuj cofnęli się dyskretnie, lecz gdy Hiszpan oddalił się, podeszli do Jo z radosnymi minami. Przytulając ją do siebie, profesor rzekł:

— Kochana Jo, jeszcze raz z całego serca życzę ci szczęścia. Mam nadzieję, że zaznasz go w tym związku. Tego się nigdy nie wie z góry; on jest Hiszpanem, ty chłodną mieszkanką Północy. Ale miłość zwycięża wszystko.

Jo chętnie wypłakałaby się na jego piersi, lecz jedno spojrzenie w surowe oczy ciotki odwiodło ją od tego zamiaru. Zrozumiała, że gdyby odważyła się pisnąć słówko, ciotka nie omieszkła powiedzieć wujowi, w jak kompromitującej sytuacji ją zastała. A wtedy wuj — bo jakżeby inaczej! — również będzie obstawał przy małżeństwie.

Profesor poszedł zaraz do siebie, czując się zmęczony. Pani Mally położyła dłoń na ramieniu Jo, mówiąc:

— Przyznaj, że przez cały wieczór bałaś się, że powiem wujowi, iż przyłapałam cię z Alfonsem? Głupia Jo, jestem wyrozumiała, wiem, co to znaczy być młodym i zakochanym. Ale bądź rozsądna; nie pozwalaj sobie, póki nie masz obrączki na palcu. Powinniśmy się cieszyć, że Alfonso ma uczciwe zamiary i nie zostawił cię na lodzie, skompromitowawszy przedtem, prawda?

Jolancie chciało się krzyczeć z bólu. Ale musiała milczeć. Co mogła powiedzieć tej kobiecie, która zawsze była jej obca, która jej nigdy nie zrozumie? I tak może mówić o szczęściu, że ciotka jej się nie wyrzekła. Wszystko wskazywało na to, że jest przekonana, iż Jolanta naznaczyła Alfonsowi potajemną schadzkę w swej sypialni. Miała mu za złe, że jej nie bronił. Jak mógł dopuścić, by padł na nią choć cień podejrzenia? Nie powinien był milczeć; powinien stanąć w obronie jej honoru, nawet gdyby naprawdę rozdarła sukienkę po to, by go zwabić.

Gdy Jolanta szła do siebie, ciotka odprowadziła ją wzrokiem, kręcąc głową ze zdumienia. Jolanta zawsze była dziwna, ale dziś zachowywała się jak kompletna wariatka. Czemuż była taka błada i poważna jako świeżo upieczona narzeczona? Czyżby między nią i Alfonsem sprawa zaszła dalej, niż myślała? W takim razie ślub musi się odbyć jak najprędzej. To, że Alfonso spieszył się, by kontynuować swą podróż dookoła świata, może posłużyć za wiarygodny powód tego pospiechu. Już ona się postara, by wszystko poszło jak z płatka!

Gdy Jo wreszcie została sama w swym pokoju, siadła bez sił na fotelu, patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma. Nagle poderwała się. Broń! Może kiedyś będzie jej jeszcze potrzebować, by uświadomić Alfonsowi, że nie na żarty się przed nim wzbrania. Pobiegła do biurka i jęła przetrząsać szuflady. Wreszcie znalazła browning — pamiętkę po ojcu. Jak to dobrze, że ma ten rewolwer! Wprawdzie nie był naładowany — zresztą Jolanta nie umiała wcale strzelać — ale może posłuży jej kiedyś jako straszak, chroniąc przed natręctwem mężczyzny, do którego za żadne skarby świata nie chciała należeć. Nie wiedząc, że broń nie jest nabita, nie odważy się do niej zbliżyć.

Przycisnęła rewolwer do serca niby drogiego, wiernego przyjaciela. Wzburzenie podsuwało jej najdziksze myśli. Ona tak zwykle łagodna i bezwolna, była jak odmieniona. Och, potrafi się bronić! Pokaże Alfonsowi Almadei, że można podstępem skompromitować kobietę, ale nie można jej pojąć wbrew jej woli.

Stopniowo ustępował ciężar przygniatający duszę. Zdawało jej się, że zmarły ojciec posyła ten rewolwer, by miała się czym bronić.

I wreszcie z oczu jej trysnęły łzy, przynosząc ulgę. Położyła się i po jakimś czasie zasnęła.

Gerd Rainsberg i doktor Gering siedzieli w kameralnej winiarni przy butelce wina „na sen”, jak się wyraził doktor Gering. Przez chwilę przyglądali się w milczeniu napojowi, mieniącemu się złościście w kieliszkach. Nagle Gerd rzekł:

— I co pan myśli o tych zaręczynach?

Doktor wzruszył ramionami.

— Spodziewałem się ich, ale sądziłem, że przyniosą one szczęście wszystkim zainteresowanym. Tymczasem dziś wieczór narzeczona była doprawdy dziwna. Na Boga, nie wyglądała wcale na szczęśliwą! A teraz pan jeszcze twierdzi, że ten człowiek podszywa się pod Hiszpana. Nie wiem, ale coś mi się wydaje, że te zaręczyny pociągną za sobą wiele komplikacji.

— Ma pan rację — odparł Gerd, wzdychając. — Wydaje mi się, że zostały one zawarte tylko na życzenie pani profesorowej.

— Już wcześniej zauważyłem, że ona pali się do tego. Ale do tej pory sądziłem, że panna Warren też tego chce.

— Nie, bynajmniej! — wykrztusił Gerd.

Gering spojrział na niego zdumiony.

— Mówi pan tak, jakby pan to wiedział na pewno.

— Bo wiem!

— Hm! Rozumiem, że pan nie zechce nic więcej powiedzieć.

— Wiem, że można na panu polegać, doktorze — rzekł Gerd, ujmując dłonie przyjaciela. — Dał mi pan wiele dowodów na to. Jest pan dobrze zorientowany w moich sprawach, gdyż powierzyłem panu najważniejsze sekrety mego życia i nie rozczarowałem się. Dlatego powiem panu, co mi przyniósł dzisiejszy wieczór.

— Wie pan dobrze, że wszystko, co pan mi zdradzi w zaufaniu, zostanie na zawsze między nami.

— Wiem. A więc, drogi doktorze: dziś wieczór straciłem serce!

— O, la, la!

— Tak, bez ratunku i na zawsze. Wie pan, że zachowuję daleko idącą rezerwę wobec kobiet. Do tej pory moje kontakty z nimi były bardzo powierzchowne, ponieważ wiedziałem, że jeśli sobie na to pozwolę, stracę zupełnie głowę. A teraz stało się: kocham pannę Warren, narzeczoną tego señora de Almadei.

Gering osłupiał.

— Do diabła!

— Prawda, co za pech? Zakochać się w kobiecie, która w tej samej godzinie zaręcza się z innym! A w rzeczywistości wygląda to jeszcze tragiczniej. Chodzi o to, że jakoś bym się z tym pogodził, gdybym był przekonany, że ona kocha tamtego. Ale tak nie jest. Panna Warren zadzierzgnęła te więzy bynajmniej nie z miłości ani nawet nie z wolnej nieprzymuszonej woli. Zmuszono ją do tego.

Doktor Gering nie wierzył własnym uszom.

— Ale skąd pan to wie?

— Sama mi powiedziała.

— Panu? Właśnie panu?

— Tak. Spytałem ją o to, widząc równie dobrze jak pan, że jest błada i strasznie nieszczęśliwa. Zapytałem, czy mogę jej pomóc. Byłem niespokojny pod wpływem podejrzania, jakie zrodziło się we mnie wobec tego Hiszpana, na co zresztą nie mam jeszcze dowodów. A ona przyznała, że działała pod wpływem presji wydarzeń. Nie chciała lub nie mogła mi zdradzić, kto wywierał na nią presję. Ale

podejrzewam, że pani profesorowa i ten Hiszpan działali ręka w rękę. Jednym słowem, wiem, że dziewczyna, którą kocham, jest nieszczęśliwa. I choć spotkaliśmy się dziś po raz pierwszy w życiu, wiem, że nie tylko ja ją kocham, ale i ona też zapalała do mnie szczerą sympatią. Któż zgadnie, jakie to tajemnicze siły skłaniają ku sobie serca dwojga ludzi? Wiedziałem od pierwszej chwili, że jesteśmy bratnimi duszami — i ona też o tym wiedziała. Jest pan mądry i inteligentny, zna pan kulisy tutejszego życia towarzyskiego. Może potrafi pan rozwiązać zagadkę tych zaręczyn?

Doktor Gering przygładził mocno przerzedzone włosy i patrząc na Gerda w zadumie, rzekł spokojnym, pewnym siebie głosem:

— Znajduję tylko takie wytłumaczenie tego faktu. Hiszpan, będącymy go tak chwilowo nazywać, pojawił się dwa miesiące temu w tutejszych kręgach towarzyskich i zdołał oczarować — lub może z czarować — wszystkie nasze panie. Możliwe, że zarzucił sidła i na pannę Warren. Gdyby nie był tak bogaty, jak się utrzymuje, pomyślałbym, że dybie na spadek panny Warren, który jest podobno znaczny. Swoją drogą, zauważyłem, że pani profesorowa dopuszcza do swej siostrzenicy wyłącznie bogatych młodzieńców. Może chce ją w ten sposób ustrzec przed niebezpieczeństwem, że ktoś poślubi ją wyłącznie dla pieniędzy. Ale może są inne powody, o których nie wiem. Krótko mówiąc, miałem wrażenie, że zjawienie się Hiszpana było na rękę pani profesorowej i że popiera jego starania. Łatwo to było zauważyć, gdy ktoś, tak jak ja, grzeszy nadmiernym krytycyzmem. Inna rzecz, że panna Warren wydawała mi się tak samo zafascynowana Hiszpanem jak reszta pań. W każdym razie widywało się go często w jej towarzystwie; należał do najściślejzego grona przyjaciół domu. Profesor jest człowiekiem ostrożnym, nie wątpię więc, że zasięgnął języka w ambasadzie hiszpańskiej. Dlatego byłem tak zdziwiony, gdy pan wyraził wątpliwość, czy ten człowiek jest w ogóle Hiszpanem. Jeśli pan ma rację, a profesor mimo to przyjmował go życzliwie w swoim domu, mamy tu zapewne do czynienia z jakąś tajemnicą dyplomatyczną. Jeśli tak, to nie sposób niczego zarzucić temu señorowi. Ale swoją drogą, to nieprzyjemny typ.

— Nie mogę patrzeć — ciągnął dalej doktor — na te jego namiętnie umizgi do kobiet. Zwłaszcza że gra komedię, bo w rzeczywistości



jest zimny i wyrachowany; przejrzałem go na wylot dzięki mojemu darowi obserwacji. Być może panna Warren nareszcie zrozumiała, że to pozer. Może właśnie dziś porównała go z panem; na jej miejscu też nie miałbym wątpliwości, kogo wybrać. Nie wykluczam, że pańskie zjawienie się zrobiło tak piorunujące wrażenie na panie Warren, że związek z Hiszpanem przestał być dla niej atrakcyjny. Może zresztą nigdy nie był. Czy to można wiedzieć, co dzieje się w sercu takiej młodziutkiej dziewczyny? A więc przyjmijmy, że wuj i ciotka — albo tylko ciotka — życzyła sobie tego związku, a młoda dama dała wiążące obietnice. I dziś przypominano jej o tych zobowiązaniach. Ciotka niewątpliwie wtrąciła swoje trzy grosze, by zaręczyny doszły do skutku. A panna Warren nie mogła się już wycofać, choć może właśnie dziś, w ostatniej chwili, otworzyły jej się oczy na prawdziwy charakter Hiszpana. Może spotkało ją to, co i pana: zakochała się od pierwszego wejrzenia; tak silne uczucia bywają tylko obopólne. Zdała sobie sprawę, że związała się z niewłaściwym mężczyzną, ale było już za późno. To by wyjaśniało jej zachowanie, nie sądzi pan?

Gerd słuchał z brodą opartą na dłoniach.

— Sprytnie pan to wykombinował. Bardzo możliwe, że ma pan rację, doktorze. Załóżmy, że tak jest. Czy mam się przyglądać bezczynnie, jak moja ukochana pędzi wprost w ramiona nieszczęścia? Uważam, że ten człowiek ją unieszczęśliwi, choćby ta jego maskarada była podyktowana względami dyplomatycznymi. Mam przecucie, że to nie jest dobry człowiek.

— Niech pan przyzna, że przemawia przez pana zazdrość.

— Zgoda. Ale o ile miłość zaślepia, o tyle zazdrość czyni człowieka jasnowidzem. Nic na to nie poradzę, że ten Hiszpan wydaje mi się typem wysoce podejrzanym. Skąd można wiedzieć, czy nie wśliznął się do tutejszego towarzystwa pod maską, którą zdobył na drodze przestępstwa? Miałem ochotę powiedzieć profesorowi, że to nie żaden Hiszpan, ale nie odważyłem się. Nie mam jeszcze żadnych dowodów. To, że mówi po hiszpańsku slangiem marynarskim, niczego jeszcze nie dowodzi.

— To prawda. Tu, w Berlinie, słyszy się wytwornych ludzi posługujących się żargonem złodziejskim, gdyż ich to bawi.

— Mnie też to przyszło do głowy i dlatego nie wspominałem profesorowi o moich wątpliwościach. Ale nie zamierzam się bezczynnie

przyglądać, jak kobietę, którą kocham, wpycha się w nie chciane małżeństwo.

— Ale co pan zamierza zrobić?

— Powiem panu. Jutro rano najwcześniejszym pociągiem wyjeżdżam do Hiszpanii. Posiadłości pana Almadei leżą podobno w pobliżu Barcelony. Znam dobrze Hiszpanię, odwiedzę przy okazji starych znajomych i spróbuję się dowiedzieć, czy ten człowiek jest tym, za kogo się podaje. Kiedy tylko zdobędę dowody, wracam do Niemiec, melduję się u profesora i opowiadam mu, co i jak. Wtedy wszystko się wyjaśni i może uda mi się uratować pannę Warren przed tym związkim.

Doktor patrzył przed siebie zamyślony. Wreszcie skinął głową.

— W każdym razie będzie pan mógł sobie powiedzieć, że niczego pan nie zaniedbał. Dla pana pojechać do Hiszpanii to tyle, co dla mnie na przedmieścia Berlina. Pańskie sprawy majątkowe są na tyle ułożone, że mogę nimi kierować bez pana.

Omówili jeszcze parę szczegółów związanych z wyjazdem Gerda. Zamierzał on spędzić przynajmniej rok w Europie, by dojść do siebie po długim pobycie w tropikach. Plantacje, odziedziczone na Jawie, były w dobrych rękach — dyrektorem majątku zrobił dawnego kolegę ze studiów. Był więc zupełnie wolny i mógł swobodnie dysponować czasem. Miał nadzieję w ciągu kilku tygodni załatwić swoją sprawę w Hiszpanii. A wtedy wróci czym prędzej do Berlina, by zapobiec małżeństwu Jolanty.

Nie podejrzewał, że ślub nastąpi bardzo szybko. Sądził, że do wesela upłynie co najmniej kwartał, gdyż samo sporządzenie wyprawy ślubnej zajmie ze dwa miesiące. Myśl o tym, że nie musi się beczynnie przyglądać, jak poświęca się szczęście Jolanty, przyniosła mu ulgę. Może będzie mógł coś dla niej zrobić.

Następnego ranka wyjechał, poprosiwszy uprzednio doktora Gerdinga, by w jego imieniu posłał Jolancie bukiet róż z jego biletem wizytowym. Na bilecie dopisał tylko słowa: *Szczerze Pani oddany!* Jolanta na pewno zrozumie, że myśli o niej, i jak o niej myśli. Więcej nie mógł napisać. Ale jej to na pewno wystarczy.

### III

Jolanta spędziła okropną noc i wstała niewyspana. Zrobiła poranną gimnastykę, ubrała się i zeszła na śniadanie. W tej samej prawie chwili do jadalni wszedł wuj z ciotką. Z przerażeniem przyglądali się bladej, wymęczonej twarzy Jo; wyglądała, jakby była chora. Wuj położył jej rękę na głowie.

— No, jak tam nasza mała narzeczona? Wyglądasz jakbyś źle spała. Dobrze się czujesz?

— Możesz być spokojny, wuju. Naprawdę, nic mi nie jest, po prostu źle spałam.

— No cóż, wczorajszy dzień przyniósł ci wiele emocji. Trzeba będzie urządzić przyjęcie zaręczynowe. Omów to potem z ciotką, ja się na wszystko zgadzam. Możecie się naradzić z twoim narzeczonym. Wiesz, że nigdy nie mam czasu na sprawy rodzinne.

— Oczywiście, wuju, nie musisz się o nic martwić. Masz ważniejsze sprawy na głowie.

— Jesteś rozsądną dziewczyną, Jo. No, to szybko filiżankę kawy...

Profesor jadł zawsze śniadanie w wielkim pośpiechu. Ten człowiek nie miał ani odrobiny czasu dla siebie. Obie panie były do tego przyzwyczajone. Pomagały mu, jak mogły; Jo szybko obrała jajko i zmusiła go do zjedzenia, by nie opadł z sił.

Ciotka z siostrzenicą zostawały zwykle dłużej przy stole, chcąc w spokoju spożyć pierwszy posiłek. Tak było i tego dnia. Ciotka kilkakrotnie zmierzyła Jolantę krytycznym spojrzeniem, wreszcie rzekła prawie z wyrzutem:

— Wyglądasz jak półtora nieszczęścia, Jo. Co powie narzeczony na twój widok? Ma przyjść o jedenastej na naradę.

Jo zacisnęła usta. Po chwili milczenia rzekła, siłąc się na spokój:

— To zrozumiałe, że jestem trochę zmęczona po wczorajszych emocjach.

— Nie wiem, Jo, wydaje mi się, że jeśli komuś tak jak tobie spełniło się wielkie marzenie, to ma się wręcz obowiązek być szczęśliwym.

Jo zbladła jeszcze bardziej.

— Uważasz, że moim życzeniem było zaręczyć się z Alfonsem de Almadeią? — spytała z goryczą.

— Ależ, dziecko, która młoda dama nie życzyłaby sobie tego, nie byłaby bezgranicznie szczęśliwa, gdyby jego wybór padł na nią?

Jo zmęczonym ruchem potarła czoło. Nie miało najmniejszego sensu próbować wyprowadzić ciotkę z błędu. Powiedziała więc tylko:

— Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek pragnęłam zaręczyć się z tym panem.

— Ależ, głuptasku, wiesz przecież, że szczęście, gdy się ziści, wydaje się pospolite. Ale gdyby się o ciebie nie starał, na pewno byłabyś nieszczęśliwa.

Jo pomyślała, że nie wyobraża sobie, by mogła być bardziej nieszczęśliwa niż w tej chwili. Tymczasem ciotka, biorąc ją za rękę, przyjrzała jej się podejrzliwie, mówiąc:

— Byliście oboje bardzo wzburzeni. Jesteście młodzi, a Alfonso wydaje mi się namiętym mężczyzną...

— Możesz być spokojna, ciociu — odparła Jo, prostując się z dumą. — Zachowałam się wobec pana Almadei tak, jak przystoi młodej damie dbającej o swą reputację. Nigdy mu tego nie zapomnę i nie wybaczę, że swym zachowaniem rzucił na mnie cień podejrzania, iż było inaczej. Tylko od niego zależało, czy uwolni mnie od tego mniemania, które powstało bez mojej winy. Ale on tego nie zrobił. I tylko dlatego zgodziłam się na te zaręczyny. Nie chciałam okazać się niewdzięczna, przysparzając wujowi kłopotów. Zrozumiałam, że się na to zносиło, gdy usłyszałam chichocące pokojówki. Wtedy już nie miałam wyboru.

W tych słowach było tyle rozpaczy, że nawet ciotkę to zastanowiło. W istocie bała się tylko, by Jo się nie wycofała.

— Ależ, dziecko, na miłość boską, masz w zupełności rację. Po tym wszystkim w grę mogły wchodzić tylko natychmiastowe zaręczyny. Ale jeśli tak podchodzisz do tej sprawy, to dlaczego, na wszystkie świętości, przyjmowałaś go w swojej sypialni?

Jo wyłamywała palce, patrząc smutno na ciotkę.

— Wcale go nie „przyjmowałam” — sprostowała. — Rozdarła mi się sukienka, więc powiedziała mu, że muszę się na chwilę oddalić, by naprawić szkodę. A on uznał to — jak mi się później zwierzył — za

zachętę, by mnie odwiedzić w mojej sypialni. Gdy weszłam i zamknęłam drzwi, wyskoczył z ukrycia, rzucił się na mnie i o mało mnie nie udusił, ściskając mnie i całując. Broniałem się i przypadkiem nacisnęłam dzwonek, który was zaalarmował. Możesz sobie wyobrazić, jak okropnie się czułam w tej sytuacji. Ale co miałam robić? Wiedziałam tylko jedno: że ze względu na wuja i oczywiście na własną reputację muszę się zgodzić na te zaręczyny. Od tego czasu nienawidzę Alfonsa de Almadei, po prostu nienawidzę. Ciociu Mally, czy nie możesz mi pomóc wyplątać się z tych sidła?

Był to krzyk z dna duszy, lecz ciotka Mally nie należała do ludzi zdolnych to zrozumieć. Roześmiała się z przymusem, biorąc Jo za rękę.

— Ty mały głuptasku, nawet o tym nie myśl. Zresztą, wmawiasz sobie, że go nienawidzisz. Przeraziła cię jego gwałtowność. Ale kobieta musi wybacząć mężczyźnie wszystko, co czyni z miłości. Wierz mi, to wielkie szczęście dla kobiety, gdy mężczyzna tak namiętnie ją kocha. Wkrótce się o tym przekonasz. Dawniej go bardzo lubiłaś, byłaś nim oczarowana — jak wszystkie panie. Ten czar powróci, zobaczysz, że będziesz z nim bardzo, bardzo szczęśliwa. Tylko spokojnie. Możesz jeszcze przez jakiś czas dać mu odczuć, że zachował się niestosownie, ale nie przeciągaj tego zbyt długo i przebacz mu. On ci da nawet gwiazdkę z nieba. Bądźże rozsądna. W końcu dałaś mu jasno do zrozumienia, że jesteś nim oczarowana, a nawet więcej.

Tak, to prawda, myślała Jo, raz mi się to rzeczywiście zdarzyło. Gdzie ja miałam oczy? No, tak — wtedy nie znałam jeszcze Gerda; odkąd go znam, wszystko się zmieniło. Obudziłam się z głupiego zaślepienia i nareszcie widzę jasno. Ale to się na nic nie zda. Muszę odpokutować za grzechy: straciłam wolność. Nikt i nic nie jest w stanie mi pomóc.

Wiedziała, że na nic tłumaczyć ciotce, iż to małżeństwo będzie dla niej nieznośnym jarzmem. Westchnęła ciężko, opuszczając bezradnie rękę.

— Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca, Jo, to wszystko bzdury — mówiła ciotka. — Wierz mi, wygrałaś los na loterii, można ci pozazdrościć. A teraz przebierz się i nałóż nieco różu na policzki, inaczej narzeczony przerazi się twoją bladością. Pomyśl, jakie to

szcęście, że zechciał zaręczyć się z tobą, by cię zrehabilitować. Mogło być inaczej. Nie wszyscy mężczyźni są tak szlachetni.

Jo drgnęły usta, lecz nie odrzekła nic. Wstała i poszła do swojego pokoju. Chciała choć przez chwilę jeszcze być sama, uspokoić się i zebrać myśli, o ile to możliwe.

Wchodząc do pokoju, ujrzała na stoliku kosz pełen przepięknych pąsowych róż. Przysłał je Alfonso z zaleceniem, by wstawiono kwiaty do sypialni panny Warren. Jo przyglądała się różom rozgorączkowanym wzrokiem, wreszcie dostrzegła bilecik. Z odrazą otworzyła kopertę i przeczytała: *Mojej słodkiej narzeczonej serdeczne dzień dobry od Alfonsa.*

Zgrzytając zębami podarła list na drobniotkie kawałki i wrzuciła do kosza. Po czym zadzwoniła na służącą i kazała jej wynieść kwiaty do salonu. Po wyjściu pokojówki rzuciła się z rozpaczą na kanapę. Chciała umrzeć!

Leżała tak godzinę. Wreszcie podniosła się, zboląła. Czas grać dalej tę żalosalną komedię. Zaczęła się przebierać; ręce odmawiały jej posłuszeństwa. Akurat kończyła toaletę, gdy rozległo się pukanie do drzwi; weszła ta sama służąca, niosąc bukiet cudownych róż z wetkniętą w nie kopertą.

Jo porwała list i serce na moment przestało jej bić, gdy poznała bilet wizytowy Gerda Rainsberga. U góry, ponad nazwiskiem, dopisano wyraźnym, zdecydowanym pismem: *Szczerze Pani oddany!*

Tylko tyle.

Ale Jo odgadła z tych wyrazów tysiąc innych słów i zadrżała. Szybko wzięła od służącej kwiaty i kryjąc w nich twarz, powiedziała z udanym spokojem:

— Te proszę wstawić do wazonu, nie pachną tak mocno. A jeśli będą jeszcze jakieś kwiaty, proszę wszystkie zatrzymać w salonie.

Pokojówka zniknęła za drzwiami. Wzruszyła ramionami. Róże to róże, wszystkie pachną tak samo. Ale panienska strasznie dziś kaprysi, co jej się nigdy przedtem nie zdarzało.

Jo stała na środku pokoju, przyciskając bukiet do piersi i całując płatki róż. Błędym wzrokiem patrzyła na te trzy słowa wypisane jego ręką: *Szczerze Pani oddany!* Tysiąc innych ludzi mogło było napisać do niej te słowa, ale to nie to samo. Czuli, że w tej banalnej

formułce zawierała się dla niej pociecha i ukojenie, że ich autor był jej naprawdę oddany. To nie był wyświechtany frazes, lecz wyraz jego współczucia, nie — to było coś więcej, czuła to.

I znów poczuła piekący ból w sercu. Oto na jej oczach pierzchno szczęście, nim zdążyła wyciągnąć po nie rękę. Przepadło na wieki. Alfonso de Almadaia spustoszył jej życie! Przycisnęła kartę do serca, do ust, wreszcie ukryła ją w dekolcie sukienki. Będzie to jej talizman, pomagający znieść nieodwracalny los.

Nie wiedziała, że w tym samym czasie Gerd Rainsberg był już daleko, próbując przedsięwziąć coś w jej obronie. Wprawdzie mówił wczoraj, że wybiera się znów w podróż, ale nie przypuszczała, że nastąpi to tak szybko; nie mogła się też oczywiście domyślić, że podjął ją dla niej. Gdyby o tym wiedziała, nie zaznałaby chwili spokoju.

Ledwie skończyła toaletę — nie uróżnowała policzków, nie zależało jej bowiem na tym, by spodobać się narzeczonemu lub udawać przed nim szczęśliwie zakochaną — zameldowano jej, iż przybył don Almadaia i czeka na nią wraz z ciotką w salonie.

Zastała ich pogrążonych w ożywionej rozmowie. Na jej widok Alfonso podniósł się, podchodząc do niej z promiennym uśmiechem. Bez ceregieli wziął ją w ramiona, próbując ją pocałować. Ale dziewczyna i tym razem uchyliła się, odginając głowę daleko w tył.

— Wciąż jeszcze zła? — szepnął Hiszpan.

Ciotka Mally zauważyła wstrzeźliwość Jo; ponieważ siostrzenica wyspowiadała się przed nią, rozumiała sytuację przynajmniej na tyle, by jej przyjść z pomocą. Nie pojmowała tylko, jak Jo potrafi się oprzeć takiemu kawalerowi. Była święcie przekonana, że to się wkrótce odmieni; cóż znaczą kaprysy młodej dziewczyny wobec takiego mężczyzny? Chcąc zatuszować niemiłe wrażenie, odezwała się szybko:

— Droga Jo, Alfonso nalega, by wesele odbyło się jak najszybciej, chce bowiem kontynuować podróż wraz z tobą. Rozumiem go doskonale. Wuj zostawił mi wolną rękę w kwestii terminu ślubu jak i wszystkich przygotowań, uzgodniliśmy więc z Alfonsem, że ślub odbędzie się możliwie szybko. Jeśli zaraz zgłosimy to w urzędzie stanu cywilnego, za trzy tygodnie może odbyć się wesele. Wiem, że to bardzo krótki czas, lecz Alfonso nie może zbyt długo odwlekać wyjazdu. Myślę, że jest to dostateczna motywacja.

— Ach, nie, tak szybko, to niemożliwe, nie mogę — zawołała Jo, cofając się z przestrachem. — Niech pan Almadeia najpierw skończy swą podróż, a potem weźmiemy ślub!

Alfonso ujął jej dłoń i całując ją, patrzył na dziewczynę uwodzicielskim spojrzeniem.

— Ach, ty moja słodka ruszałeczko, dla ciebie jestem Alfonso. Chcesz mnie skazać na tak długą rozłąkę? Nie jestem w stanie kontynuować podróży bez ciebie.

Tym razem mówił prawdę. Jeśli zapłaci rachunek w hotelu i parę innych drobnych sprawunków, zostanie bez grosza przy duszy. Jedy-  
nym ratunkiem dla niego było wejść jak najszybciej w posiadanie majątku przyszłej żony. Majątku, który szacował o wiele wyżej, niż on wynosił w rzeczywistości.

Ciotka Mally poparła Alfonsa, a Jo, nie mogąc słuchać słodkich słówek Hiszpana i jego namiętnych nalegań, zgodziła się w końcu na wszystkim. Wiedziała przecież, że tylko z nazwiska będzie żoną tego człowieka.

Ale postawiła jeden warunek.

— Nie życzę sobie ślubu kościelnego, wystarczy cywilny — powiedziała stanowczo.

W małżeństwie tym widziała bowiem tylko czczą formalność, która miała przywrócić jej cześć. Poza tym nic nie miało jej wiązać z tym człowiekiem.

— To nie wypada, Jo, to wprost niemożliwe! — zawołała ciotka z przerażeniem. — A poza tym ślub cywilny jest tam mało uroczysty. Ze względu na wuja trzeba urządzać wielkie przyjęcie, a tego się nie da bez ślubu kościelnego.

Jo upierała się przy swoim. Niespodziewanie Alfonso przyszedł jej z pomocą.

— Szanowna, droga ciociu, tym razem zgadzam się z Jo. Lepiej będzie, jeśli na razie poprzestaniemy na ślubie cywilnym. Uroczystość kościelną urządzimy później w Hiszpanii. Proszę nie zapominać, że jestem katolikiem, a Jo luteranką. Poza tym, będzie mi miło, gdy przynajmniej ślub kościelny odbędzie się w moich hiszpańskich posiadłościach. Możemy to podać jako powód chwilowej rezygnacji ze ślubu kościelnego.



Jo odetchnęła z ulgą. Do tej pory nie pomyślała o tym, że Alfonso jest katolikiem. Widocznie wyobrażał sobie, że ona w Hiszpanii przejdzie na katolicyzm. Znając siebie, Jo wiedziała, że tego nie zrobi. Ale do tego czasu wszystko się między nimi wyjaśni i w końcu Alfonso będzie zadowolony, że nie wzięli ślubu kościelnego. Może — ach, Boże, dopomóż! — rozwiedzie się z nią, gdy mu powie, że wyszła za niego tylko po to, by naprawić swą reputację, i nigdy nie będzie naprawdę jego żoną. Drżała na myśl o tej rozstrzygającej rozmowie; ale przecież to on swym zachowaniem zmusza ją do takiego działania. Jest człowiekiem bez czci i honoru i sam będzie winien temu, co ona zrobi po ślubie.

Jolanta nie zdawała sobie sprawy z tego, że zachowuje się nierozsądnie. Ale cóż, została tak wychowana, że nie mogła postąpić inaczej. Nie miała wyboru, już choćby ze względu na wuja, którego bała się okryć hańbą.

Powiedziała więc spokojnie i stanowczo:

— Sama widzisz, ciociu, że będzie lepiej, gdy nie urządzimy uroczystości kościelnej. Ludzie zaczęliby mówić, że jesteśmy różnych wyznań. Poprzestańmy na ślubie cywilnym. Alfonso nadrobi to w Hiszpanii.

— Ale co to będzie za uroczystość bez ślubu kościelnego?

— Jak najskromniejsza, jeśli wolno prosić.

— Ach, Jo, pozbawiasz mnie przyjemności wyprawienia ci wspańskiego wesela!

— Odbijesz to sobie na uroczystości zaręczynowej, ciociu. Może urządzimy to pojutrze, na moje dwudzieste pierwsze urodziny?

— No, cóż, widzę, że jestem przegłosowana. Niech więc będzie tak, jak chcecie. Ale w takim razie czeka mnie mnóstwo pracy. Pozwolicie, że zaraz pójdę do siebie. Aha, został jeszcze jeden ważny punkt. Jakże my w tak krótkim czasie przygotujemy dla ciebie wyprawę, Jo?

Alfonso, łypiąc ognistymi oczami i całując dłoń pani domu powiedział z emfazą:

— Ależ, najdroższa, ubóstwiana ciociu, wystarczy zwykły strój podróżny. W moim domu Jo znajdzie wszystko, czego dusza zapragnie, niepotrzebna jej wyprawa. Proszę zatroszczyć się tylko o rzeczy osobiste dla niej na podróż, wszystko inne uzupełnimy po powrocie do Hiszpanii. Z tego też powodu, najdroższa Jo, wstrzymam się od

darowania ci jakiegokolwiek biżuterii, otrzymasz bowiem takie klejnoty rodowe, jakich nie ma żadna kobieta na świecie.

Tak więc i ta sprawa została załatwiona. Gdy ciotka zabierała się do odejścia, by zająć się przygotowaniami do przyjęcia zareczynowego, Jo spojrzała na nią z taką rozpaczą, że ta postanowiła nie zostawić narzeczonych samych. Ta naiwna dziewczyna mogła narobić głupstw. Toteż wzięwszy Alfonsa pod ramię, rzekła żartobliwie:

— Niestety musimy pana teraz odesłać, drogi Alfonso; skoro mamy się spieszyć, będę potrzebowała pomocy Jo. Musimy zaraz jechać do miasta, by zorganizować na czas odpowiednie stroje dla panny młodej.

Alfonso, o dziwo, nie protestował, zaklinając tylko panie, by z nadto nie obciążały bagażu Jo; po drodze — w wielkich miastach portowych — dostaną wszystkim w najlepszym gatunku. Chce ubierać Jo według własnego gustu.

Jo było wszystko jedno, ciotka Mally zaś uznała za rzecz niesłychanie nobliwą, iż Alfonso niejako osobiście chce zafundować pannie młodej wyprawę. Zgodziła się tedy chętnie, by Jo zabrała tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Nazajutrz Jo pojechała do banku, gdzie był zdeponowany jej majątek. Wuj dał jej czek na kilka tysięcy marek — jako że jeszcze do jutra był jej opiekunem prawnym. Reszta majątku, stwierdził, zgodnie z prawem zostanie wypłacona jej małżonkowi natychmiast po ślubie.

— Dla niego to drobnostka. Ale może tobie będzie przyjemnie, że nie bierze cię zupełnie gołej.

Jo przytaknęła. Była zadowolona, że ma do dyspozycji kilka tysięcy marek. Zamierzała wydawać je oszczędnie i zostawić sobie w rezerwie trzy tysiące. W ostatnim czasie nie kupowała nowych toalet, toteż zebrało się jeszcze kilkaset marek odsetek. Jolanta umiała ubierać się elegancko, nie wydając zbyt dużo pieniędzy na stroje. Również i tym razem udało jej się zaopatrzyć w porządne stroje podróżne, nie naruszając żelaznej rezerwy. Zamierzała zabrać ze sobą tę gotówkę i strzec jej dobrze, jej przyszłość była bowiem niepewna. Jeśli uda jej się uwolnić od Alfonsa, za nic w świecie nie powróci do domu wuja. Nikt w Berlinie nie dowie się, co się z nią stało. Trzeba się więc było liczyć z tym, że będzie musiała zarabiać na swoje

utrzymanie; jeśli Alfonso się z nią rozstanie, nie weźmie od niego ani grosza. Miała nadzieję, że potrafi zarobić na chleb dzięki swej znajomości języków obcych.

Tymczasem Gerd Rainsberg, nie zatrzymując się po drodze, dotarł do Barcelony. Tu odwiedził znajomego, z którym zaprzyjaźnił się podczas podróży morskiej. Señor Antonio Candaro był właścicielem księgarni nakładowej. Przyjął Gerda z otwartymi ramionami nalegając, by zamieszkał w jego domku w górach na czas pobytu w Barcelonie. Jego żona od razu poczuła sympatię do smukłego, przystojnego Niemca o jasnych, szarych oczach. Kazała przynieść jego rzeczy z hotelu Majestic, gdzie się zatrzymał, i wesoło krzątała się po domu pragnąc, by gość czuł się tu jak najlepiej. Panowie zostali sami. Najpierw omówili sytuację polityczną w Hiszpanii.

— Szczęściarz z pana, doktorze — mówił pan domu — gdy się panu ziemia zacznie palić pod stopami w Europie, ucieknij pan do swych posiadłości na Jawie.

— A czy to wiadomo, jak długo tam będzie panował spokój? — wzruszył ramionami Gerd. — Lecz zostawmy politykę. Muszę panu wyznać, że nie oddałbym panu tak szybko obiecanej wizyty, gdyby nie sprowadziła mnie tu szczególna okoliczność. Przyjechałem do Barcelony w nadziei, iż pan odpowie mi na kilka bardzo ważnych pytań. Przypuszczam, że zna pan dobrze tutejsze stosunki.

— Myślę, że tak. Proszę pytać.

— Pierwsze pytanie: czy zna pan niejakiego Alfonsa de Almadeię, który tu w okolicach Barcelony ma podobno rozległe włości?

Zaskoczony gospodarz zatopił spojrzenie swych ciemnych oczu w jasnych oczach Niemca, po czym rzekł z kpiącym uśmieszkiem:

— W istocie, znam go bardzo dobrze, panie doktorze, w zeszłym roku wydał u mnie tomik liryki. Wiersze były takie sobie, ale jemu bardzo zależało na ich wydaniu. Nawet dobra liryka sprzedaje się kiepsko, toteż nie wydałbym tych wierszy, gdyby mnie nie zapewnił, że zakupi sam trzy tysiące egzemplarzy. Wziął sobie za punkt honoru, że książeczka będzie wydana na koszt wydawcy, musiałem mu dać słowo. W zamian za to zobowiązał się nabyć trzy tysiące egzemplarzy dziełka. Myślę, że leżą do dziś w lochach zamku, należącego do tego sławnego niegdyś rodu. Jeśli o mnie chodzi, to wyszedłem na

swoje, sprzedałem bowiem dodatkowo jakieś tysiąc egzemplarzy; prawdopodobnie kupili je przyjaciele i znajomi autora.

— A ten jego zamek, to pewnie znakomity zabytek? — spytał Gerd ostrożnie.

Gospodarz roześmiał się wesoło.

— Ach, teraz już rozumiem! Zapewne słyszał pan o paru znakomitych obrazach, które znajdują się na zamku Mandrilla?

Gerd potwierdził ten fałszywy domysł, nie mrugnawszy nawet okiem.

— W istocie jest to powód mojego przyjazdu tutaj — skłamał.

— Nie wiedziałem, że pan się interesuje sztuką. Nic dziwnego, tak mądry i odczytany człowiek musi znać się także na sztuce. Ale jeśli liczy pan na kupno jakiegoś murilla lub velasqueza, to muszę pana rozczarować: pan de Almadeia wolałby umrzeć z głodu, niż pozbawić się któregoś ze swych skarbów.

— Poznałem dobrze tę właściwość hiszpańskich grandów podczas mojego wielokrotnego pobytu w tym kraju. Nie mam zamiaru kupować tych płócien, ale przyznaję, że chciałbym je obejrzeć. Czy sądzi pan, że może mi pan wyrobić pozwolenie pana Almadei na obejście zamku i malowideł?

— Pan Almadeia znajduje się w tej chwili w podróży dookoła świata. Oczekuje się go dopiero z końcem roku. A teraz mamy kwiecień.

— A więc nie będę mógł zwiedzić zamku? — zasmucił się Gerd.

Był rozczarowany. Jeśli spodziewał się znaleźć tu coś, co mogłoby pomóc Jolancie, to szanse na to zmalowały. Skoro bowiem pan Almadeia znajduje się w podróży dookoła świata, to może istotnie bawić w Berlinie.

— Dlaczego nie? Myślę, że wyrobię panu pozwolenie, o ile da mi pan gwarancję, że nie zwędzi pan żadnego obrazu czy innych skarbów.

— Myślę, że mogę panu dać taką gwarancję, señor Antonio — odparł Gerd ze śmiechem.

— Ja też tak myślę. Jestem zaprzyjaźniony z kustoszem, który opiekuje się zbiorami. Zawiozę pana do zamku Mandrilla i wstawię się za panem.

— Będę panu niezmiernie zobowiązany, tym bardziej, że do tej pory nie miałem okazji zwiedzić żadnego z tych zabytkowych hiszpańskich zamków. Trudno się tam dostać, o ile mają jeszcze lokatorów. A te, które są już nie zamieszkałe, to przeważnie kompletne ruiny.

— Dobrze, dobrze, poproszę kustosza, by pana oprowadził po zamku. Zresztą jest mi dłużny drobną grzeczność, przypuszczam więc, że chętnie skorzysta z okazji, by się zrewanżować.

— Jest pan bardzo uprzejmy!

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o tym i o owym. Gerd próbował dyplomatycznie dowiedzieć się czegoś bliższego o Almadei, ale nie powiodło mu się. Don Candaro opisał mu pana na zamku Mandrilla jako przystojnego młodego człowieka, wysokiego, szczupłego ciemnowłosego i czarnookiego. Opis ten pasował z grubsza do wyglądu narzeczonego Jolanty, nie potwierdzając ani nie obalając podejrzania Gerda. To, że ma dwadzieścia parę lat, też o niczym nie świadczyło.

Na razie nie udało się więc Gerdowi dowiedzieć niczego bliższego. Musiał powściągnąć swą ciekawość do chwili przybycia na zamek Mandrilla.

Los chciał, że odwiedziny na zamku trzeba było odłożyć. Przysłowiową złośliwość przedmiotów martwych wykazała tym razem skórka od pomarańczy, na której Gerd pośliznął się nazajutrz rano, ledwie wyszedł na ulice Barcelony. Skręcił nogę tak mocno, iż dwa tygodnie przeleżał plackiem w gościnnym domu swego gospodarza. Chciał się przenieść do szpitala, by nie sprawiać kłopotu pani Candaro. Ale ta zacna dama nie chciała nawet słyszeć o tym. Twierdziła, że skoro nieszczęście wydarzyło się niejako przed drzwiami jej domu, skorzysta z okazji, by cieszyć się dłużej obecnością tak interesującego gościa.

Gerd był niepokieszony. Dwa tygodnie zwłoki! Gospodarze tańczyli koło niego dogadzając mu, jak mogli. Ale Gerd męczył się strasznie, nie mogąc w tym czasie niczego przedsięwziąć dla dobra Jolanty.

Jedna tylko rzecz posunęła w tym czasie do przodu jego poszukiwania. Przypadkiem wpadł w jego ręce list pana Almadei, który ten napisał do wydawcy przy okazji pertraktacji na temat wydania zbioru wierszy. Charakter pisma granda był niezwykle uderzający — zdawało się, że to nie litery, lecz żołnierze jak struny wyprostowani w szereg. Takie pismo łatwo rozpoznać, myślał Gerd, starając się

dobrze zapamiętać jego cechy charakterystyczne. Zresztą, w razie potrzeby, z pewnością będzie mógł list obejrzeć ponownie. Nie chcąc być skazany na zupełną bezczynność, wysłał do doktora Geringa telegram następującej treści:

*Muszę mieć koniecznie próbkę pisma A, de A. Proszę się o to postarać za wszelką cenę. Wysyłam ekspresem.*

*Rainsberg*

Telegram był napisany po niemiecku, mógł go więc spokojnie powierzyć służącemu, by go nadał na pocztę. Było to trzeciego dnia po wypadku. Liczył się z tym, że może długo czekać na żadaną próbkę. Doktor musi się zabrać do dzieła bardzo ostrożnie.

Mimo to cieszył się, że udało mu się przedsięwziąć coś, co mogło zbliżyć go do spełnienia planu. Dzięki Bogu, był jeszcze czas; Gerd sądził, że wesele odbędzie się najwcześniej za kilka tygodni, a do tego czasu... Gdyby wiedział, w jakim pośpiechu czynione są przygotowania do ślubu, jego stan wydałby mu się nie do zniesienia.

Już dwunastego dnia choroby Gerd wstał z łóżka, próbując chodzić ostrożnie po pokoju. Obrzęk znikł i Gerd następnego dnia chciał koniecznie wyjść. Lecz wtedy przesądna pani Candaro założyła protest, zaklinając Rainsberga na wszystkie świętości, by nie wychodził z domu trzynastego dnia po chorobie, gdyż to na pewno przyniesie nieszczęście! Ona na to nie pozwoli. Tak prosiła i nalegała, że Gerd musiał się w końcu zgodzić.

Zdołał uzyskać tylko tyle, że na czternasty dzień choroby zaplanowano podróż do zamku Mandrilla. Dłużej Gerd nie zamierzał czekać. Skłamał, że musi wkrótce opuścić Hiszpanię, że z powodu wypadku i tak już przedłużył pobyt ponad miarę. Pani Candaro przyrzekła, iż pojutrze rano będzie czekał samochód, który zawiezie Rainsberga na zamek.

Pierwszego dnia, gdy wyszedł na miasto po chorobie, nabył u jubiera na Rambla de las Flores bardzo ładny klejnocik, który podarował pani Candaro za troskliwą opiekę w chorobie. Czuł jeszcze ból w nodze, ale liczył na to, że wkrótce będzie po wszystkim.

Gerd wciąż nie miał wiadomości od doktora Geringa, w każdej chwili spodziewał się jednak telegramu.

## IV

Z dnia na dzień rósł niepokój Jo. Toczyła boje z ciotką podczas zakupów. Pani profesorowa denerwowała się, że Jo zamawia same proste i tanie stroje. Przychodziło jej to tym łatwiej, że rachunki były płacone z konta siostrzenicy. Ale Jo pozostała niewzruszona; za żadne skarby nie naruszyłaby trzech tysięcy marek, które postanowiła zostawić sobie jako rezerwę. Okazało się przy tej okazji, że cały pozostały majątek dziewczyny wynosi dwadzieścia pięć tysięcy marek. Pieniądze te profesor zamierzał wręczyć po ślubie mężowi Jo. Alfonso zdawał się nie przykładać wagi do tego, czy Jo ma w ogóle jakieś pieniądze. Gdy rozmowa zbaczała na te tematy, machał tylko ręką lekceważąco. Szczegóły go nie interesowały, wystarczyło mu zapewnienie, że otrzyma te pieniądze w dniu ślubu. Profesor zapewnił go, że w porę rozliczy się z bankiem.

W rzeczywistości Alfonso nie pogardziłby kilkoma tysiącami marek już przed ślubem, lecz nie mógł się z tym zdradzić przed teściami. Musi się jakoś pomęczyć.

Jo było jakoś na rękę, że przez wszystkie te dni narzeczeni ani razu nie byli ze sobą sam na sam. Ciotka bała się, że Jo mogłaby przy tej okazji popełnić jakieś głupstwo, które doprowadzi do zerwania zaręczyn. Dlatego nigdy nie zostawiała młodych samych. Gdy raz Alfonso robił jej żartobliwie wymówki, iż jest zbyt surowa, pani profesorowa rzekła przekornie, klepiąc go po ręce:

— Musisz być cierpliwy, mój drogi. Taki namiętny kochanek wymaga surowszej ręki.

Alfonso posłał jej czarujące spojrzenie.

— Cóż można poradzić na swój temperament, najdroższa ciociu? Ciotka wzdychając odparła:

— Ach, Alfonso, rozumiem cię, ale już niedługo Jo będzie twoja.

A Alfonso godził się z losem tym łatwiej, iż w rzeczywistości Jo ani trochę go nie pociągała. Przyznawał, że jest uroczą, ale jej ostentacyjny chłód mroził go coraz bardziej. Zresztą od początku chodziło mu tylko o majątek Jo. Gdy zawitawszy do Berlina, rozpoczął poszukiwania kury znoszącej złote jajka, wskazano mu pannę Jolanę Warren jako najbogatszą partię w mieście. Plotka o majątku Jo, którą rozpuściła ciotka, by jak najszybciej pozbyć się dziewczyny z domu, krążąc w towarzystwie urosła niesłychanie. Wiedzano przecież, że ojciec Jolanty był bardzo bogaty. Nikt się nie domyślał, że majątek jego — jak tylu innych posiadaczy — pożarła inflacja. Nie mówiło się o tym, ukrywając wstydliwie powszechny los. Alfonso istotnie zamierzał po ślubie kontynuować podróż po świecie, lecz szczegóły zależały od wysokości majątku Jo. Liczył przynajmniej na pół miliona.

Zaręczyny obchodzono hucznie w dniu dwudziestych pierwszych urodzin Jolanty. W pośpiechu rozesłano zaproszenia, ale mimo krótkiego terminu nikt nie odmówił.

Wśród zaproszonych był również doktor Gering. Rzecz jasna nie obyło się bez fotografów, którzy chcieli uwiecznić wielkie wydarzenie towarzyskie w domu profesora. Alfonso dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy w sali bankietowej rozstawiono aparaty i przeraził się nie na żarty. Miał ochotę czmychnąć i zostawić narzeczoną samą, ale to nie wchodziło w grę. Pocieszał się więc myślą, że w odpowiednim momencie ukryje twarz za olbrzymim bukietem, który podarował Jo, a który narieczona położyła obok na krzeselku. Wziął do ręki kwiaty, bawiąc się nimi od niechcienia, i urządził się tak, że na zdjęciach prawie nie widać było jego twarzy.

Gdy fotografowie zwinęli aparaty, Alfonso przeprosił na chwilę narzeczoną i wyszedł z sali. Udało mu się złapać w holu dyrektora firmy fotograficznej.

— Kochany panie dyrektorze — rzekł zatrzymując go — chcę zrobić niespodziankę moim bliskim w Hiszpanii. Niechże pan mi nie psuje szyków i nie zdradzi przed czasem mojego ożenku. Może się przecież zdarzyć, że dotrą do nich gazety ze zdjęciami, które pan zrobił. To się nie może stać, rozumie pan? Mam zamiar sprawić moim bliskim niespodziankę, przywożąc im do domu moją młodą żonę. Tym bardziej, że ślub kościelny odbędzie się dopiero w Hiszpanii.



Byłbym panu zobowiązany, gdyby pan opuścił moje nazwisko pod zdjęciem. W zamian za to obiecuję przysłać fotografie ze ślubu kościelnego na zamku Mandrilla wraz ze wszystkimi podpisami.

Dyrektor zapewnił o swojej lojalności i obiecał, że nazwisko Almadei nie pojawi się w gazecie. Alfonso wrócił zadowolony do salonu; kamień spadł mu z serca. Jo nawet się nie domyślała, jakie to sprawy oderwały narzeczonego od jej boku.

Przyjęcie zaręczynowe przebiegło bez zakłóceń, a biedna ofiara uroczystości musiała wytrwać do końca. Prócz doktora Geringa także paru innych gości zauważyło niezwykłą bladość i zmęczenie narzeczonej.

W kilka dni później doktor Gering udał się z wizytą do domu profesora. Otrzymał właśnie telegram od Gerda Rainsberga i zdawał sobie sprawę, jak niecierpliwie czeka on na próbkę pisma Hiszpana. Zastanawiając się nad sposobem zadośćuczynienia prośbie przyjacielki, doktor Gering doszedł do wniosku, że najprędzej wskóra coś w domu profesora. Narzeczeni często korespondują ze sobą, nawet gdy przebywają w tej samej miejscowości. Może panna Warren udostępni mu jakiś list Almadei.

Przyszedł mu też do głowy pewien pomysł, jak może skuteczniej pomóc Gerdowi. Przypomniał sobie o miniaparacie fotograficznym, który już raz oddał mu nieocenione usługi w pewnym procesie. Trzymając w kieszeni aparacik gotowy do użycia, upolował stosowną chwilę i zrobił zdjęcie przeciwnika swego klienta w procesie. Zdjęcie było malutkie, ale bardzo ostre. Miał zamiar posłużyć się teraz tą samą metodą, by po kryjomu zrobić zdjęcie Hiszpanowi. Każe je powiększyć i wysłać Rainsbergowi. Na pewno jest to równie ważne, jak próbka charakteru pisma. Wyglądało na to, że Rainsberg trafił na jakiś ślad potwierdzający jego domysły.

Tak więc uzbrojony w aparacik i dobrej myśli wszedł do saloniku. Nikt nie podejrzewał, w jakim celu przybył. Miał szczęście. Przy stole siedział señor Almadeia, rozmawiając z panią domu. Zajęci byli sporządzaniem jakichś notatek. Prawdopodobnie chodziło o wyprawę panny młodej. Każde z nich miało przed sobą notatnik i pisało w nim. Obok bloczka Alfonsa leżało kilka zgniecionych zapisanych kartek.

Doktor Gering żartobliwie zaproponował swoje usługi, na co pani domu odparła z uśmiechem, że pomoc by się przydała, gdyż niestety wszystko muszą robić sami.

— A na dobitkę pan Almadeia jest tak roztargniony, że wciąż popełnia błędy. Odrzuciłam już dwie listy — dodała wskazując pomięte karteczki.

Doktor Gering wpił wzrok w zgniecione kulki papieru. Czyżby miał w tak prosty sposób wejść w posiadanie żądanej próbki pisma? Posłuszny skinieniu ręki pani domu, zajął miejsce przy stoliku w taki sposób, iż miał pana de Almadeię na wprost obiektywu aparaciku, który miał w kieszeni.

— Wybaczy pan, drogi doktorze — zwróciła się do niego pani Mally — że nie zajmiemy się panem. Zaraz wróci moja siostrzenica, a wtedy narzeczony zupełnie już nie będzie miał głowy do tych suchych notatek. A musimy to dziś koniecznie załatwić.

— Proszę sobie nie przeszkadzać, przyszedłem spytać o zdrowie państwa po tym wspaniałym przyjęciu zaręczynowym. Nawiasem mówiąc, miałbym za złe narzeczonemu, gdyby w obecności swej narzeczonej miał głowę do takich spraw.

— Widzisz, szanowna ciociu, że pan doktor ma dla mnie więcej zrozumienia niż ty.

— No, cóż, jest mężczyzną.

— Zapewne uzgadniają państwo szczegóły wesela. Czy wolno spytać, jak szybko odbędzie się ślub?

Ciotka Mally i Alfonso wymienili spojrzenia. Było postanowione, że nikt nie powinien wiedzieć o dacie ślubu prócz paru osób, które miały wziąć udział w uroczystości. Doktor Gering do nich nie należał. Toteż pani Mally rzekła dyplomatycznie:

— Nie ustaliliśmy jeszcze daty ślubu, panie doktorze. Ale nie będziemy robić wielkich przygotowań, gdyż — jak to ogłosiliśmy w czasie przyjęcia zaręczynowego — w Berlinie odbędzie się tylko ślub cywilny. Pan Almadeia życzy sobie, by uroczystość kościelna miała miejsce na zamku Mandrilla. To zrozumiałe, prawda? Chciałby, aby w ceremonii wzięli udział jego krewni i znajomi. Ale najpierw młoda para dokończy wspólnie podróż dookoła świata.

— Rozumiem — odparł doktor Gering z ukłonem. — Przypuszczam, że pojedzie pani do Hiszpanii na tę uroczystość.

— Z pewnością, jeśli tylko mój mąż znajdzie chwilę czasu. To się jeszcze zobaczy.

Doktor Gering nie dowiedział się więc niczego konkretnego, wszystko jednak wskazywało na to, iż ślub odbędzie się niebawem. Na razie bardziej zajmowały go karteczki leżące w zasięgu jego ręki. Jak wejść w ich posiadanie?

W tej chwili do salonu weszła Jolanta. I dziś, podobnie jak podczas uroczystości zaręczynowej, była blada i zmęczona. Na widok jej drobnej, wymizerowanej twarzyczki i zgasłych orzechowych oczu doktor Gering poczuł litość i zapragnął jej pomóc. Jo przywitała się z nim uprzejmie wiedząc, że jest przyjacielem Gerda Rainsberga i prowadzi jego interesy.

Pani domu odsunęła bloczek mówiąc:

— Skończymy już na dziś, Alfonso, jesteś zupełnie rozkojarzony. Jo, weź tę karteczkę, jest tu zapisane, co trzeba jeszcze załatwić. Nie te zgniecione, te są nieaktualne, trzeba je wyrzucić do kosza.

Doktor Gering miał szybki refleks.

— Gdzie jest kosz na śmieci? Ja też chciałbym się na coś przydać.

— Skoro tak, to musi się pan pofatygować do sąsiedniego pokoju, panie doktorze! — roześmiała się pani Mally, wskazując na drzwi.

Doktor Gering nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Chwycił kartki i zniknąwszy za drzwiami włożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po czym spokojnie wrócił do saloniku.

Jo zamieniła z nim kilka uprzejmych słów. Po czym pani domu spytała:

— Pański przyjaciel, doktor Rainsberg, znów wyjechał, jak słyszę?

— Tak, zaraz na drugi dzień po przyjęciu u państwa. Mówiłem o tym panie Warren podczas uroczystości zaręczynowej.

Nikt prócz doktora Geringa nie zauważył, iż po twarzy Jolanty przebiegł rumieniec. Rzeczywiście, na przyjęciu pytała go o Rainsberga.

— Kiedy wróci do Berlina? — pytała dalej pani Mally. — Bardzo się ucieszyłam, iż nasze kółko poszerzyło się o tak interesującą osobistość. Ale nie zdążyłam z nim nawet dłużej porozmawiać.

— Odbije to sobie pani po jego powrocie. Myślę, że zostanie dłużej w Berlinie, choć to jeszcze nie jest do końca postanowione. On łatwo podejmuje decyzje i gdy coś go zainteresuje w innym miejscu,

bez namysłu wyjeżdża. Ta jego obecna podróż nawet mnie zaskoczyła.

— A gdzie on teraz jest? — zainteresowała się pani Mally.

Doktor Gering o mało się nie zdradził; już miał na końcu języka słówko: w Hiszpanii, ale w porę powstrzymał się i dokończył spokojnie:

— W Holandii!

Pan Almadeia wykorzystał obecność obcych, by okazywać swą władzę nad Jolantą. Dziewczyna nie mogła mu się bowiem wówczas tak ostentacyjnie opierać. Toteż wiedząc, że Jo nie może znieść jego dotyku, co chwila podnosił jej rękę do ust lub też pod wpływem udanego wzruszenia otaczał ją ramieniem. Daleki był od tego, by sądzić, że Jo czuje do niego wstręt; wydawało mu się, że jej rezerwa podyktowana jest lękiem, iż on mógłby się posunąć za daleko. Próżność nie pozwalała mu sądzić, że jakkolwiek kobieta mogłaby się wzdragać, gdy chce ją wziąć w ramiona. Sprzeciw Jo stopniowo budził w nim coraz silniejsze pragnienie, by zdobyć tę nieprzystępną dziewczynę i zmusić ją do uległości.

Doktor Gering był zbyt bystrym obserwatorem, by nie zauważyć, że Jolanta za każdym razem cofa się nieznacznie, gdy Hiszpan się do niej zbliży, a w jej oczach maluje się żalność. Ale osiągnąwszy cel swej wizyty, zaczął się zegnąć.

Jo miała ochotę wypytać go szczegółowo o Gerda, ale nie miała odwagi. Przy pożegnaniu uściśliła mocno dłoń doktora czując, iż jest on łącznikiem między nią a Rainsbergiem.

Zdążyli jeszcze zamienić ze sobą kilka słów, gdyż Hiszpan i pani domu wyszli przed nimi do przedpokoju. Jolanta rzekła drżącym głosem:

— Jeśli będzie pan pisał do doktora Rainsberga, proszę go ode mnie pozdrowić. Mieliśmy... bardzo dobrą rozmowę i... czuję do niego wielką sympatię.

— Zapewniam panią, iż on odwzajemnia pani uczucia i bardzo się ucieszy z tych pozdrowień... w oczekiwaniu na ponowne spotkanie.

Jo zmętniały oczy. Wiedziała, że nie zobaczy nigdy więcej Gerda. Nie rzekła jednak ani słowa i pożegnała się szybko, słysząc wołanie ciotki.

Wróciwszy do domu, doktor Gering natychmiast udał się do

ciemni, gdzie wywołał zdjęcie zrobione po kryjomu Hiszpanowi. Fotografia była wyjątkowo udana. Powiesił ją, by wyschła, i jeszcze tego samego dnia kazał zrobić odbitkę.

Nie zwlekając napisał do Gerda obszerny list, dołączył obie kartki pisane ręką Hiszpana, a w dzień później zdjęcie, i wysłał to wszystko pocztą poleconą.

Z ostrożności zachował duplikat fotografii. Martwił się, że zmarudził sporo czasu, wykonując polecenie przyjaciela. Miał nadzieję, że poczta hiszpańska działa sprawnie i list dojdzie wkrótce do adresata.

## V

Gerd Rainsberg i pan Candaro dotarli do zamku Mandrilla już po dwóch godzinach jazdy, choć kierowca jechał wolniutko, zgodnie z upodobaniami swego pana. Gerd nie żałowałby tej wycieczki, nawet gdyby nie wiodła go tu określona potrzeba. Zamek, położony na wzgórzu górującym nad okolicą, już z daleka prezentował się wspaniale. Gdy osiągnęli szczyt wzniesienia, samochód zatrzymał się przed okazałym portykiem. Na dźwięk dzwonka otwarło się w portalu niewielkie okienko; po jego głębokości poznać było można grubość murów. W okienku ukazała się głowa starego służącego, skąpo pokryta włosami. Widocznie poznał pana Candaro, który bywał kilkakrotnie na zamku, gdyż spytał go życzliwie, co go sprowadza.

— Chciałbym mówić z kustoszem, José; czy go zastałem?

— Tak, señor Candaro, jest w bibliotece. Porządkuje książki, które jaśnie pan przysłał z podróży. Proszę chwilę zaczekać, zaraz otworzę bramę i zaprowadzę pana doniego.

— Bardzo proszę.

Widocznie José musiał zejść po schodkach ze swego punktu obserwacyjnego, by ich wpuścić. Po chwili otwarła się mała boczna brama obok wielkiego portalu. Panowie wysiedli z auta; José patrzył podejrzliwie na Gerda, toteż pan Candaro pospieszył z wyjaśnieniem:

— Ten pan jest moim przyjacielem, José, przyjechał tu z Niemiec specjalnie po to, by obejrzyć słynne obrazy w zamku. Ponieważ jaśnie

pan wyjechał, poradziłem memu przyjacielowi, by zwrócił się do pana kustosa o pozwolenie obejrzenia zamku i zbiorów. Ponoście oczywiście wszelką odpowiedzialność, również przed panem de Almadeią. To oczywiste, że doktor Rainsberg byłby niepokieszony, gdyby na darmo podjął tak daleką podróż. Sława waszych obrazów dotarła aż do Niemiec.

Stary sługa z dumą skinął siwą głową, jakby to on był właścicielem tych słynnych malowideł.

— Rozumiem to doskonale, proszę pana. Jeśli tylko pan kustosz się zgodzi, chętnie pokażemy zamek temu niemieckiemu seńorowi. Proszę iść za mną.

Ruszyli przed siebie, gdy tylko służyący zamknął bramę, krzyknąwszy przedtem kierowcy, by wstawił samochód do garażu na tyłach zamku, a sam zameldował się w kuchni.

Gerd rozglądał się z nabożeństwem po wysoko sklepionym holu, który właśnie przemierzali, a który sprawił na nim wrażenie nawy kościelnej. Ich kroki odbijały się głośnym echem od sklepienia, gdy szli po kamiennej mozaikowej posadzce, ułożonej w kunsztowne ornamenty. Podobną mozaiką wyłożone były dwa długie korytarze, prowadzące do bocznych skrzydeł, biorące początek u podestu potężnych kamiennych schodów, którymi wchodziło się na pierwsze piętro.

Poszli za służyącym w prawo korytarzem w głąb rozległego zamczyńska. Wreszcie sługa zatrzymał się pod wysokimi, rzeźbionymi drewnianymi drzwiami i zapukał. W środku ktoś powiedział: „proszę” — służyący otworzył drzwi i zaanonsował gości.

Kustosz, mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, z ciemnymi włosami i brodą lekko przyprószoną siwizną, wyszedł im na spotkanie, z radością ściskając dłoń pana Candaro. Ten przedstawił swą prośbę. Kustosz zgodził się chętnie udostępnić zwiedzającemu skarby, jakie znajdowały się w zamku. I on, podobnie jak przedtem służyący, z dumą przyjął wzmiankę o rozgłosie, jakim rzekomo cieszyły się zgromadzone tu malowidła.

— Jestem przekonany — rzekł — że jaśnie pan zgodziłby się na to z radością, gdyby był obecny. Jest panu bardzo zobowiązany, podobnie jak ja. Ale zwiedzanie zamku zajmie kilka godzin, proponuję panom najpierw coś na orzeźwienie. José, proszę przynieść przekąski

i coś do picia dla naszych gości i powiedzieć kucharce, że zostaną na obiedzie.

Po wyjściu Joségo kustosz posadził gości przy dużym stole, umieszczonym pośrodku obszernej biblioteki; wokoło stały regały pełne książek.

— Właśnie otrzymałem od jaśnie pana tom, który znakomicie wzbogaci nasze zbiory. Proszę spojrzeć na te chińskie woluminy; niestety nie potrafię ich odcyfrować, a bardzo chciałbym poznać wiek i pochodzenie tych okazów.

Gerd rzucił okiem na stare księgi, które tak podniecały wyobraźnię kustosza, po czym jego wzrok jak magnes przyciągnął papier leżący obok książek, w który były zawinięte. Oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia: na papierze dostrzegł dobrze sobie znane chińskie znaczki. W gardle mu zaschło z wrażenia; musiał przełknąć ślinę, nim odezwał się nienaganną hiszpańszczyzną:

— Czy wolno spytać, panie kustoszu, gdzie panu de Almadei udało się znaleźć tak wartościowe księgi?

Kustosz uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Oczywiście w Chinach; paczka została nadana na pocztę w Szanghaju.

Gerd najpierw zbladł, po czym jego twarz okryła się rumieńcem.

— W Szanghaju? — powtórzył.

— Tak. Jaśnie pan znajduje się obecnie w podróży dokoła świata i właśnie przybył do Chin. To znaczy, był w Chinach w momencie, gdy nadawał ten pakiet. Możliwe, że pojechał już dalej. Tak, tak, nasz pan napatrzy się na różne dziwy tego świata; towarzyszę mu w duchu, znam bowiem dokładnie trasę jego podróży na wypadek, gdyby trzeba było do niego napisać.

Gerdowi zdawało się, że pokój kręci się wraz z nim w zawrotnym tempie. Jeśli Alfonso de Almadeia jest teraz w Chinach, a przynajmniej był tam nadając ten pakiet, to nie mógłby być w tym samym czasie w Berlinie. Jego podejrzenie otrzymało niespodzianie mocną podstawę. Z trudem ukrywał podniecenie pytając:

— Jaśnie pan już pewnie od dawna w podróży?

— O tak, ponad dwa miesiące. Oby Najświętsza Panienska miała go w swojej opiece. Martwiłem się, gdyż ta podróż zaczęła się pod złym znakiem; ale jaśnie pan kpi sobie z takich przesądów. Oby miał rację.

Gerd nadstawił uszu.

— Czy pańskim zdaniem wyjazdowi temu towarzyszyły złe znaki?  
— zainteresował się.

— Proszę oszczędzić samemu! Otóż najpierw spadł po schodach wielki kufer podróżny, gdy go znoszono ze strychu, i utracił ramię posągowi Madonny, stojącemu przy ścianie na konsoli. Potem nasz pan po ciemku uderzył się tak mocno w głowę, że trzeba było robić okłady. Wreszcie, w przeddzień wyjazdu, w niewyjaśnionych okolicznościach zginął portfel pana. Pan twierdzi, że położył go na biurku w swoim gabinecie. Miał w nim paszport i kilka tysięcy peset wraz z pewną ilością dewiz, a prawdopodobnie jeszcze dodatkowe pięć tysięcy peset — suma, jaką zamierzał wykorzystać w pierwszym okresie podróży. Jak powiedziałem, pan twierdził najpierw, że położył portfel na biurku. Ale jest bardzo roztargniony, więc nie wiadomo, czy przypadkiem nie zgubił go na przejażdżce konnej. Jestem pewien, że Najświętsza Paniienka chciała go powstrzymać od tej podróży. W każdym razie trzeba było czekać na nowy paszport i podjęcie pieniędzy z banku. Wreszcie pan mógł wyjechać. I dlatego cały czas martwię się o niego.

Gerd nerwowo splatał dłonie pod stołem. Tajemnicze zniknięcie portfela poruszyło jego wyobraźnię, zwłaszcza iż znajdował się w nim paszport. Był już teraz prawie pewien, że señor Almadeia, z którym zetknął się w Berlinie, był oszustem. Prawdopodobnie ukradł lub znalazł portfel prawdziwego pana de Almadei i następnie podał się za niego, wyjechawszy do Berlina. Mógł przecież być w Hiszpanii akurat wtedy, gdy wydarzyło się nieszczęście. Może znał nawet dokładnie plan podróży granda i wiedział, że w Berlinie nie może się z nim spotkać. Jak to wszystko sprawdzić?

Gerd z najwyższym trudem zachował spokój, ale oczy płonęły mu gorączkowo, gdy zwrócił się do kustosa ze słowami:

— Niechże się pan pocieszy tym, że Najświętsza Paniienka osiągnęła swój cel, opóźniając o kilka dni wyjazd pana de Almadei. Kto wie, czy gdyby wyjechał w zaplanowanym terminie, nie spotkałoby go jeszcze większe nieszczęście.

Kustosz wyprostował się szybko i chwyciwszy dłoń Rainsberga, uściskał ją gorąco.



— Ach, jakże jestem panu wdzięczny za to wyjaśnienie! Nie przyszło mi to do głowy. To jasne, że Najświętsza Paniienka wiedziała, co robi, i nie zatrzymała się w pół drogi. Dziękuję panu z całego serca za to pocieszenie.

— Nie ma za co. Ale ciekaw jestem, czy portfel się później odnalazł?

— Niestety, nie! Służba jest godna zaufania, na nikogo więc nie mogło paść podejrzenie. Zaczynam wierzyć, że pan naprawdę zgubił portfel podczas przejażdżki. Pewnie leży do tej pory gdzieś w krzakach lub znalazł go jakiś włóczęga. Gdyby bowiem natknął się na niego ktoś z okolicznych mieszkańców, z pewnością odniósłby go właścicielowi, będąc pewny sowitej nagrody.

— A więc mówi pan, że to nie mógł być nikt ze służby? Zapewne wszyscy są od dawna w zamku?

— W większości. Mieliśmy wprawdzie akurat w tym okresie młodego służącego do osobistych posług gości, obsługiwania przy stole i temu podobnych prac, lecz musieliśmy go zwolnić kilka dni przed wypadkiem, gdyż służące skakały sobie z jego powodu do oczu. Był bardzo przystojny i panie były nim oczarowane. Także w okolicy zalecał się do znanych ze swej cnotliwości dam, przygotowując rogi ich mężom. Krótko mówiąc, ciągle się na niego skarżono i jaśnie pan musiał go oddalić, choć był bardzo zręczny do posług. Jeśli już, to podejrzenie o kradzież mogło paść tylko na niego, gdyż pozostali służą u nas od bardzo dawna. Ale ja nie wierzę w kradzież. Myślę, że jaśnie pan zgubił portfel. A jeśli Najświętsza Paniienka chciała go w ten sposób ustrzec przed nieszczęściem, to nie ma czego żałować.

Gerda chętnie dowiedziała by się czegoś bliższego na temat tego młodego służącego, ale rozmowa urwała się, gdy wniesiono posiłek. Później też nie udało mu się uzyskać więcej informacji. Może zresztą był to fałszywy trop? Tak czy owak, mógł być zadowolony z wyników tej wizyty. Jedno było bowiem pewne: pan Alfonso de Almadeia przebywał aktualnie w Chinach, a nie w Berlinie, i wobec tego narzeczony Jolanty nie mógł być tym, za kogo się podawał. Serce Gerda przepełniała nadzieja, że uda mu się za pomocą tego odkrycia uratować Jo.

Gerd spożył posiłek, lecz nie umiałby powiedzieć, co jadł i co pił. Nie poświęcił też dostatecznej uwagi interesującym dziełom sztuki zdobiącym zamek. Na szczęście zdołał okazać na zewnątrz należyty podziw — ku satysfakcji kustosza i starego służącego.

Po zwiedzeniu zamku do połowy spożyto w małej jadalni obiad. Kustosz wiedział, co jest winien gościom swego pana, toteż posiłek był znakomity, a do tego podano doskonale miejscowe wino. Po obiedzie zwiedzano dalej zamek. Około piątej po południu Gerd i jego towarzysz pożegnali się i wrócili do Barcelony. Żegnając się, Gerd, dręczony wyrzutami sumienia, iż nie docenił należycie skar-bów sztuki, pokazanych mu w zamku, począł rozplýwać się nad nimi przed kustoszem, aż ten rzekł z uśmiechem:

— Może znajdzie pan czas, by przed wyjazdem raz jeszcze wpaść do nas? By należycie ocenić wartość tych dzieł, trzeba je oglądać spokojnie.

Chętnie pokażę je panu jeszcze raz. A jeśli pan Candaro nie znaj-dzie czasu, by panu towarzyszyć, proszę przyjechać samemu. José i ja znamy już teraz pana i chętnie przyjmiemy.

Gerd nie był pewien, czy ponowny pobyt na zamku może wnieść coś nowego w wiadomej sprawie. Co najwyżej mógłby się dowiedzieć czegoś bliższego o tym młodym służącym, który uwiódł tyle hiszpań-skich dam. Może wpadnie mu do głowy jeszcze jakiś inny pomysł. W końcu więc rzekł uprzejmie:

— Trzymam pana za słowo, panie kustoszu, zobaczymy. Na razie bardzo panu dziękuję. Wyświadczył mi pan ogromną przysługę, ogromną.

Kustosz nawet się nie domyślał, jaką to przysługę oddał młodemu Niemcowi; sądził, że ten aż tak bardzo sobie ceni uprzejmość poka-zania mu zamku.

Staremu Josému Gerd dał tak królewski napiwek, iż ten odpro-wadził go nabożnym spojrzeniem.

Tego samego dnia, gdy Gerd uzyskał cenne informacje na zamku Mandrilla, Jolanta kończyła pakowanie rzeczy do walizek. Za kilka dni miał odbyć się ślub — tak, jak Jo sobie tego życzyła — cichy, i tylko cywilny. Skończywszy przygotowania do podróży, usiadła wy-czerpana w fotelu, patrząc smętnie na wypchane walizy. Alfonso po-wiedział jej, że spędzą najpierw jakiś czas w Szwajcarii, na przełęczu

Maloja, gdzie o tej porze roku trzymał się jeszcze śnieg, po czym udadzą się do Włoch i w Genui wsiądą na statek, który powiezie ich dalej w świat. Alfonso wydawał się niezdecydowany co do dalszych planów. Jolantę interesowało to tylko o tyle, iż miała nadzieję do tego czasu uwolnić się od niego. Wiedziała, że na dłuższą metę Alfonso nie pogodzi się z odmową pożycia małżeńskiego z jej strony. A ona nie miała najmniejszego zamiaru zostać naprawdę jego żoną, widząc w tym małżeństwie jedynie sposób na zmazanie hańby, którą się okryła za jego sprawą. Musiała więc być przygotowana na najgorsze. Gdyby mimo odmowy współżycia życzył sobie zatrzymać ją przy sobie, będzie musiała się podporządkować. Nigdy jednak nie zgodzi się na pożycie małżeńskie z nim.

Była niedoświadczona i naiwna. Nie zdawała sobie sprawy, że Alfonso jako jej małżonek zyska prawa, wobec których jej opór nie zda się na nic. Jednego tylko była pewna: zmarnowała życie, wiążąc się wbrew woli z mężczyzną, którym pogardzała.

Jeśli Alfonso odepchnie ją, gdy ona odmówi współżycia, wtedy będzie zdana całkowicie na siebie. Nie wróci do domu wuja. Po pierwsze dlatego, by nie budzić sensacji, a po drugie dlatego, że wuj by jej nie przyjął. Ciotka na pewno by się temu sprzeciwiła. Będzie musiała się jakoś przebić przez życie. Miała trzy tysiące marek, które jej pozwolą przetrwać pierwszy, najtrudniejszy okres. Wiedziała, że nie będzie jej łatwo stanąć samodzielnie na nogi, ale nie miała wyboru. Miliony kobiet były w podobnej sytuacji; ona też sobie poradzi. Pan Bóg jej dopomoże.

I nagle myśli jej pobiegły ku Gerdowi. Gdzie on teraz jest? Czy tylko dlatego wyjechał z Berlina, by zejść jej z oczu? A może jest mu zupełnie obojętna i lituje się tylko nad nią, gdyż zwierzyła mu się, że zmuszono ją do tych zaręczyn? Ale nie. Przypomniała sobie dobre, ciepłe i serdeczne słowa, które jej mówił, wyraz jego oczu, ton głosu, który wydawał się nieśmiałą pieszczotą. Nie, nie była mu obojętna, podobnie jak on jej. Ta pewność, że on cierpi tak samo jak ona, napawała ją goryczą i słodyczą zarazem. Za późno go spotkała. Ach, może tylko o kilka dni za późno!

Oddała się marzeniom. Jak cudownie i wspaniale byłoby należeć do niego, gdyby ten drugi mężczyzna, który wywarł na niej tak zgubne wrażenie, nie był stanął na drodze jej życia! Nie wypierała się tego,

że początkowo Alfonso ją oczarował. Jak długo był obok niej, nie potrafiła mu się oprzeć. Ale zawsze odczuwała to jako męczący przymus i nieszczęście. I dopiero jasne spojrzenie szarych oczu Gerda wyzwoliło ją spod władzy tamtego.

Ale, ach, nie mógł jej uwolnić od sideł, które na nią zastawiono! Musiała w oczach świata zostać żoną Alfonsa, by jej cześć pozostała niesplamiona, a nazwisko jej wuja nieunurzane w błocie. Nie mogła uchylić się od tej ofiary.

Może i Gerd odwróciłby się od niej ze wzgardą, gdyby się dowiedział, że przebywała z obcym mężczyzną w swej sypialni za zamkniętymi drzwiami. Któż by jej uwierzył, że nie była niczemu winna? Służące, które widziały ją w tej hańbiącej sytuacji, od tamtego czasu na jej widok nie mogą powściągnąć się od drwiących uśmiezków, tak iż ona oblewa się rumieńcem wstydu. Na pewno wie o tym cała służba, a takie plotki rozchodzą się szybko. Nikt nie mógł uwolnić jej od tej hańby, tylko narzeczony, dając jej swe nazwisko.

Z jękiem zerwała się z fotela, jakby chciała uciec od własnych myśli. W chwilę później ciotka poprosiła ją na dół. Trzeba było zrobić ostatnie zakupy.

Idąc na dół, Jo zastanawiała się gorączkowo, o jakie zakupy może chodzić ciotce. W żadnym wypadku nie może naruszyć rezerwy trzech tysięcy marek. To jedyny majątek, jaki jej pozostał. Najchętniej podjęłaby ze swego konta także pozostałe dwadzieścia pięć tysięcy, ale wuj zaraz by się o tym dowiedział. A zresztą, Alfonso będzie wydawał na nią pieniądze, a ona nic od niego nie chce. Nich ta suma będzie dla niego odszkodowaniem. Nie będzie od niego zależna.

Przygotowując się do wyjazdu do miasta, po raz kolejny zastanawiała się, w jaki sposób będzie zarabiać na życie, gdyby Alfonso zwrócił jej wolność. I tym razem doszła do tego samego wniosku: może liczyć tylko na swą znajomość języków; jest to jedyna wiedza i praktyczna umiejętność, którą posiada. Nie będzie to łatwe. Wuj stunkowo często korzystał z jej usług jako tłumaczki, podobnie ciotka; ale czy ktoś może ją zatrudnić w tym charakterze?

Całe szczęście, że ma metrykę urodzenia i paszport na swe panińskie nazwisko. Kazała sobie wydać te papiery po zarejestrowaniu się w urzędzie stanu cywilnego. Miała bowiem zamiar, skoro tylko uwolni się od Alfonsa, wrócić do swego panińskiego nazwiska. I dlatego paszport, który jej wuj załatwił, ważny na pięć lat, był w tej

chwili jej najcenniejszym dokumentem. ...

Szybko zbiegła po schodach, gdyż ciotka bardzo nie lubiła czekać i potrafiła być bardzo przykra dla spóźnialskich. Łapiąc oddech, usprawiedliwiała się przed rozgniewaną damą.

Po chwili wsiadły obie do samochodu, a potem robiły zakupy, jeżdżąc od jednego sklepu do drugiego.

## VI

Po powrocie z wizyty na zamku Mandrilla Gerd Rainsberg zastał w domu swego gospodarza ekspres polecony od doktora Geringa. Podekscytowany zamknął się w swym pokoju i pośpiesznie otworzył list. Z koperty wypadła najpierw fotografia Alfonsa de Almadei; Gerd spojrzął na nią z nienawiścią. Odłożywszy ją ze złością na bok, wyjął dwie karteczki z notatnika. Domyślił się od razu, że ma przed sobą próbki pisma Hiszpana, i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. To na pewno nie było pismo prawdziwego Alfonsa de Almadei, widać to było już na pierwszy rzut oka. Z kolei przeczytał długi list. Doktor Gering donosił na wstępie, jaką drogą zdobył kartki zapisane ręką Hiszpana i jego fotografie, a następnie ciągnął:

*Przypuszczam, drogi Doktorze, że poczynił Pan odkrycia na temat naszego Hiszpana, toteż pomyślałem sobie, że prócz próbek pisma przyda się też Panu załączona fotografia. Przyznaję, że ucieszyłoby mnie, gdyby udało się Panu odkryć coś, co uchroniłoby pannę Warren przed poślubieniem tego osobnika.*

*Zarażony Pańską nieufnością, wietrzę wszędzie szalbierstwo, a ta biedna młoda dama wygląda tak nieszczęśliwie, że nawet bez pańskich insynuacji poznalbym, iż nie idzie w to małżeństwo po dobroci. Spostrzegłem, że dreszczem ją przejmują każde dotknięcie narzeczonego, a gdy ją objął, miała minę bardzo nieszczęśliwą. O jej oczach zgąsłych i smutnych wolę nie wspominać, by nie rozdzierać Panu serca, ale mam wrażenie, że ta młoda dama coraz rozpaczliwiej szuka sposobności do ucieczki. Coś więc musi być nie w porządku z tymi zaręczynami.*

*W każdym razie, wydaje się, że panna Warren wpadła w sidła, z których nie umie się wyplątać. Niech Pan nie zwleka z odsieczką. Nie udało mi się wprawdzie dowiedzieć daty ślubu, ale widzę, że na gwałt przygotowuje się wyprawę panny młodej. Pozna Pan to po notatkach Hiszpana, które udało mi się zwędzić, gdy naradzał się z ciotką nad koniecznymi zakupami. Zamierza kontynuować podróż dookoła świata w towarzystwie swej młodej żony. Jeśli zdoła się Pan dowiedzieć czegoś, co wysadzi z siodła naszego pana młodego, to wyświadczy Pan pannie Warren nieocenioną przysługę. Zresztą, zrobi Pan to we własnym interesie.*

*Nie pisałbym tak obszernie, gdyby nie to, że i tak muszę czekać do jutra na zrobienie powiększenia fotografii. Chcę ją Panu koniecznie wysłać, mam bowiem przeczucie, że okaże się Panu bardzo pomocna. Mój mały aparacik już raz pomógł mi wygrać proces. Może i Panu wyświadczy podobną przysługę. Powiem Panu, co mnie naprowadziło na tę myśl. Otóż na uroczystości zaręczynowej zjawili się fotografowie, by zrobić do prasy zdjęcie młodej pary. Zdjęcia udały się, tyle tylko, że na żadnym z nich nie można było rozpoznać twarzy narzeczonego. Widać uznał za szczególnie twarzowe zasłanianie się bukietem kwiatów. To mi się wydało podejrzane! Zna Pan moją kardynalną wadę: zawsze wtykam nos do cudzego prosa. Zapytałem więc wczoraj redaktora gazety, w której ukazały się zdjęcia, dlaczego nie ma pod nimi nazwiska narzeczonego. Oto jaką otrzymałem odpowiedź: „Señor Almadaia życzył sobie, by nie wymieniać jego nazwiska, gdyż chce zrobić niespodziankę swym hiszpańskim krewnym. Ślub kościelny ma się odbyć po drugiej stronie Pirenejów”.*

*Czy nie wydaje się Panu dziwna ta troska o to, by nie wystawić na widok publiczny ani swej twarzy, ani nazwiska? Gdyby mi Pan nie otworzył oczu, pewnie nie zwróciłbym na to uwagi. Piszę Panu o tym w nadziei, że Pan znajdzie wytłumaczenie tego dziwnego zachowania. Przyznaję, że ucieszyłoby mnie, gdybym mógł oddać jakąś przysługę pannie Warren. Proszę się nie śmiać ze mnie — adwokat też ma serce.*

*Pozwolę sobie powtórzyć jeszcze raz: niech Pan nie bawi na południu dłużej niż to konieczne. Chciałbym, by Pan zdążył przybyć tu z odpowiednimi materiałami jeszcze przed ślubem; naprawdę bardzo by mnie to ucieszyło. Pozostaję jak zawsze do Pańskich usług. Łączę serdeczne pozdrowienia*

*Pański dr Gering*

Skończywszy czytać, Gerd zerwał się z krzesła i biegł podniecony po pokoju. Poruszyło go do głębi to, co Gering napisał o stanie ducha Jolanty, i pragnienie niesienia jej pomocy zapłonęło w nim z nową siłą. Chciał zaraz wracać, miał wszak w ręku dowody, iż narzeczony Jolanty nie jest Alfonsem de Almadeią. Ale nie wiedząc o tym, że wesele miało się odbyć w takim pośpiechu, mówił sobie, że jeśli zostanie jeszcze kilka dni w Hiszpanii, zdobędzie więcej dowodów.

Nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wzmianka kustosza o młodym służącym dała nową pożywkę jego podejrzaniom. Bo istotnie, kustosz wyraźnie powiedział, iż służący ten został zwolniony na kilka dni przed zaginięciem portfela. Ale niepodobna wykluczyć, że miał z tym coś wspólnego. A jeśli ten człowiek i narzeczony Jo, to jedna i ta sama osoba? Było to przypuszczenie zgoła osobliwe, ale Gerd nie mógł się uwolnić od tej myśli. Jeśli jego podejrzenia są uzasadnione — nic trudnego dla tak inteligentnego i przedsiębiorczego młodego człowieka (a tak przecież opisał go kustosz) dostać się z cudzym paszportem w ręku do Berlina i podać się w tamtejszym towarzystwie za Alfonsa de Almadeię. Może chciał tylko znaleźć bogatą partię, a może miał jeszcze inne zamiary.

Gerdowi zrobiło się gorąco. Chciał zaraz jechać na zamek pokazać fotografię kustoszowi, ale dziś było już na to za późno. Pojedzie jutro raniutko. Już sam charakter pisma zdradzał oszusta. Nawet bez bliższego porównania próbek Gerd wiedział, że to hochsztapler.

Ale najpierw trzeba było poinformować pana Candaro. Był już czas po temu, gdyż początkowo niejasne podejrzenia przerodziły się w pewność. Skoro więc chce jutro znów jechać na zamek, musi się wytłumaczyć przed swym gospodarzem. Może liczyć na zrozumienie, zwłaszcza iż wyświeetlenie sprawy do końca leży także w interesie prawdziwego Alfonsa de Almadei. Gerd nie wierzył już w tajną misję

dypłomatyczną fałszywego Hiszpana. Przypuszczał raczej, iż ten był obcokrajowcem, którego losy rzuciły do Hiszpanii. Gerd przypomniał sobie o detektywie, z którym zawarł znajomość podczas poprzedniej bytności w Hiszpanii, a którego zadaniem była obserwacja rejonów portowych Barcelony. Spotykał się z nim wielokrotnie; nie pamiętał jego nazwiska, ale na pewno sobie przypomni. Był to bardzo inteligentny człowiek. Może zainteresuje go ten przypadek. Przy tak niewątpliwych poszlakach będzie to stosunkowo łatwe zadanie.

Gerd był coraz bardziej podniecony. Wreszcie nie wytrzymał. Wyszedł ze swego pokoju i spytał służącą, gdzie może znaleźć jej pana. Służąca wskazała drzwi pracowni. Gerd zapukał i wszedł do środka.

— Proszę wybaczyć, señor Candaro, wiem, że stracił pan dziś dla mnie prawie cały dzień, lecz mimo to szykuję nowy zamach na pana. Czy mógłby mi pan poświęcić jeszcze godzinkę?

Pan domu spojrzał na zegar.

— Kolacja będzie dopiero za godzinę, a ja nie mam nic pilnego na dzisiaj, jestem więc do pańskich usług. Proszę usiąść wygodnie, tu nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Gerd usiadł i zaczerpnąwszy tchu zaczął:

— Przed paroma dniami pokazał mi pan list od pana de Almadei. Czy mógłby mi go pan jeszcze raz udostępnić?

Pan domu spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Oczywiście, drogi doktorze, choć wyznam, że pańska prośba mnie zaskoczyła. Interesuje pana ten dokument?

— Tak, z pewnego ściśle określonego powodu. Chcę porównać charakter pisma Alfonsa de Almadei z innym pismem.

— Ach, jest pan grafologiem?

— Mógłbym pana okłamać, ale brzydzę się tym. Nie, nie jestem grafologiem. Z innego powodu interesuje mnie pismo właściciela zamku Mandrilla.

Tymczasem pan Candaro wyjął z biurka list i podał go Gerdowi.

— Proszę, oto list.

Wyjąwszy z portfela obie kartki przysłane przez doktora Geringa, Gerd położył je na biurku obok listu granda. Różnice między obu charakterami pisma rzucały się w oczy. Litery na kartkach z notatnika nie stawały w szeregu jak wyprostowani żołnierze, lecz rozsypywały się w chaotyczną tyralierę.



— Przyzna pan, że to niemożliwe, by list i te kartki wyszły spod jednej ręki? — spytał podniecony Gerd.

Candaro pochylił się nad papierami.

— Wykluczone, całkiem wykluczone! — zawołał, kręcąc głową. — Ale o co tu chodzi?

— Drogi panie, wyznaję że nie byłem całkiem szczery co do celu mojego pobytu w Hiszpanii. A właściwie wręcz pana okłamałem. Ale teraz mam obowiązek wyznać prawdę, gdyż mam w ręku niezbitę dowody. To niecodzienna sprawa. Ale muszę pana prosić o zupełną dyskrecję, a nawet domagam się, by pan mi na to dał swoje słowo.

— Jeśli w grę wchodzi pańskie prywatne sprawy, daję słowo, że nie wspomnę o tym nikomu bez pańskiego pozwolenia.

— Bardzo dziękuję. Jestem przekonany, że pana to zaciekawi, gdy powiem, że w tej chwili przebywa w Berlinie człowiek, autor tych notatek, który podaje się za Alfonsa de Almadeię.

Candaro aż podskoczył z wrażenia.

— To niemożliwe! Sam pan słyszał od kustosza, że Almadeia przebywa obecnie w Chinach lub przebywał tam do niedawna.

— No właśnie, i to potwierdziło moje domysły, że człowiek przebywający w Berlinie pod tym nazwiskiem jest oszustem. Muszę wyznać, że udawałem zainteresowanie zbiorami na zamku Mandrilla, by móc się tam dostać. Chciałem się czegoś dowiedzieć o panu de Almadei przypuszczając, że mężczyzna występujący w Berlinie pod tym nazwiskiem nie ma do niego prawa.

Candaro wiercił się niespokojnie na fotelu.

— Napędził mi pan stracha, drogi doktorze. Co tu jest grane?

Gerd potarł czoło.

— Powiem panu bez osłonek, skąd wzięły się moje podejrzenia, dlaczego zajmuję się tą sprawą i dlaczego podjąłem się tej podróży.

I opowiedział wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy przestąpił próg domu profesora. Nie ukrywał uczucia do Jo; mówił otwarcie o wszystkim, a wreszcie zwierzył się wydawcy ze swych podejrzeń, że człowiek podszywający się pod nazwisko Almadei jest tym samym służącym, który został zwolniony z zamku ze względu na afery z kobietami.

— To prawda — mówił — że opuścił zamek na kilka dni przed zniknięciem portfela, ale mógł w jakiś sposób wejść w posiadanie

paszportu wystawionego na nazwisko Alfonsa de Almadei. Może miał współnika na zamku lub znalazł portfel zgubiony przez pana Almadeię. Następnie mógł udać się do Berlina, by tam podawać się za hiszpańskiego granda. Mógł wkleić własne zdjęcie; powszechnie wiadomo, że stempel można łatwo podrobić. Tłumaczył mi to kiedyś pewien detektyw. Na razie jest to tylko przypuszczenie. Faktem jest, że narzeczony siostrzenicy profesora podaje się za Alfonsa de Almadeię. Od razu podpadł mi jego hiszpański akcent. Poza tym uderzyło mnie jego przesadnie grzeczne zachowanie, tak jakby silił się na zachowanie form, których nie ma we krwi, co wskazuje na pochodzenie z niższych sfer. Sądziłem najpierw, że pełni incognito jakąś misję dyplomatyczną w Berlinie za wiedzą wuja Jo. Ale stopniowo wydawało mi się to coraz mniej prawdopodobne, a teraz mam już pewność, że to hochsztapler. Zresztą, oto jego zdjęcie. Mój przyjaciel zrobił je po kryjomu i był na tyle mądry, że mi je przysłał.

I pokazując fotografię, opowiedział wydawcy o tym, jak nie udały się zdjęcia do gazety i jak pod zdjęciami zatajono nazwisko narzeczonego.

— Przypuszczam, że ten człowiek doskonale wiedział, że pan Almadeia przebywa daleko od Berlina i że nie grozi mu demaskacja — ciągnął po chwili. — Ale jeśli moje przypuszczenia są prawdziwe, to na pewno nie uśmiechało mu się, by jego zdjęcie z fałszywym nazwiskiem figurowało w wysokonakładowej gazecie. Mógł się tym zdradzić, dlatego też wymyślił bajeczkę o krewnych, którym rzekomo chce zrobić niespodziankę.

— Hm, to bardzo dziwne, gdyż prawdziwy Alfonso de Almadeia jest sam jak palec na świecie, nie ma żadnych krewnych.

— Aha, sam pan widzi, jak zręcznie sobie poczyną! Inteligentny ptaszek! Jego plan jest dobrze przemyślany. Ciekaw jestem, co też zamierza zrobić z siostrzenicą profesora po ślubie, do którego, rzecz jasna, nie dopuszczę, mając w ręku te materiały. Jestem pewien, że chodzi mu tylko o majątek tej młodej damy, który jest podobno znaczny. Przywłaszczy go sobie, a potem zniknie bez śladu w czasie podróży poślubnej. Proszę się postawić w moim położeniu: z całego serca kocham Jolanę Warren i wiem, że zmuszono ją do tych zaręczyn. Chciałbym złożyć dalsze poszukiwania w tej sprawie w ręce

doświadczonego detektywa. Gdy poprzednim razem byłem w Barcelonie, poznałem jednego takiego, który miał nadzór nad terenem portowym. Ale nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska.

— Ach, to na pewno Jaime Valuzo!

Gerd odetchnął z ulgą.

— Tak, tak się rzeczywiście nazywał, teraz sobie przypominam. Zamierzam powierzyć mu tę sprawę; on dowie się wszystkiego, co potrzeba.

— Na pewno, to sprytny człowiek. Nawiasem mówiąc, mieszka o kilka kroków stąd; czy mam go wezwać?

— Nie, nie, jeszcze nie dzisiaj. Jutro udam się jeszcze raz na zamek. Ale nie chciałbym pana trudzić, myślę, że wpuszczą mnie tam samego. Pan i tak poświęcił mi już zbyt wiele czasu!

W chwilę później pani domu wezwała panów na kolację, którą, z uwagi na upał, podano na tarasie. Noc była cudowna, wygwieżdżone niebo zdawało się być w zasięgu ręki, a ponad portem stał księżyc, zalewając wszystko dokoła tajemniczym blaskiem.

Gerd odetchnął pełną piersią. Zatęsknił do Jolanty przebywającej w tak dalekim teraz Berlinie; pragnął ją uchronić przed najgorszym i kochał ją z całego serca. Wiedział, że jeśli nie uratuje jej dla siebie, jego życie stanie się puste i bez sensu.

Nazajutrz wczesnym rankiem udał się na zamek. Teraz każda minuta była droga. Najpóźniej nazajutrz zamierzał wyjechać do Berlina. Nie wiedział, z jakim pośpiechem czynione są przygotowania do ślubu, nie chciał wszakże pozostawiać Jo w niewoli ani dnia dłużej-, niż to było konieczne.

Dziś szofer mógł jechać szybciej, gdyż Gerd nie był zwolennikiem wolnej jazdy, poza tym pilno mu było porozmawiać z kustoszem. Był jak w gorączce. Gdy zajechali przed zamek — o wiele za późno jak dla Gerda — powtórzyła się ta sama ceremonia, co wczoraj. Stary sługa wyrzwał przez judasza, ale twarz mu się zaraz rozpogodziła, gdy ujrzał wczorajszego tak hojnego gościa. Gerd uzasadnił jakoś nagłość swego zjawienia się na zamku i stary znów poprowadził go do biblioteki pałacowej. Zdumiony kustosz przywitał się z gościem.

— Nie spodziewałem się pana tak szybko, panie doktorze. Ale mimo to bardzo się cieszę.

Podał mu uprzejmie rękę i wskazał krzesło. Nie mając ochoty bawić się w ceregiele, Gerd rzekł prosto z mostu:

— Szanowny panie kustosz, nie wróciłbym tak szybko na zamek, gdyby nie pewien szczególny powód. Chcę panu mianowicie pokazać fotografię i spytać, czy pan zna oryginał.

Kustosz patrzył na niego zdezorientowany.

— Aha, chce mi pan pokazać zdjęcie jakiegoś słynnego malowidła?

— Nie, tym razem nie chodzi o obraz, lecz o człowieka. Proszę spojrzeć na zdjęcie: czy pan zna tego mężczyznę?

Wyjąwszy z portfela fotografię narzeczonego Jolanty, pokazał ją kustoszowi. Ten spojrzął i aż cofnął się zdumiony.

— Istotnie, znam dobrze tego człowieka, panie doktorze. Ale wyznaję, że jestem zdezorientowany. Osoba na zdjęciu jest ubrana po wielkopańsku. Tymczasem ja znam tego człowieka tylko w charakterze naszego kelnera. Zresztą trzeba przyznać, że nawet jako służący prezentował się doskonale. Opowiadałem panu, że kobiety za nim szalały. To z pewnością nasz kelner, Giuseppe Pighetti.

Gerd zachwiał się, ale wyprostowawszy się, rzekł głosem ochryłym i drżącym z podniecenia:

— A więc jednak! Miałem rację!

— Ależ, drogi, szanowny doktorze, skąd pan ma to zdjęcie i co, jeśli wolno spytać, jest powodem pańskiego zdenerwowania?

Gerd potarł czoło.

— Zaraz pan się dowie, panie kustosz; powiem panu wszystko, co wiem o tym człowieku. Szczerze mówiąc, jakkolwiek podziwiałem pańskie wspaniałe obrazy, to jednak był to tylko pretekst, by dostać się na zamek, gdyż ten człowiek, ten Giuseppe Pighetti, bawi obecnie w Berlinie podając się za Alfonsa de Almadeię i legitymując się jego paszportem.

Kustosz aż podskoczył z przerażenia.

— Na Boga! A więc to jednak on skradł portfel naszemu panu!

— Jestem tego pewien. W każdym razie podaje się w Berlinie za pana de Almadeię. Może pan więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiła na mnie książka przysłana z Chin. Co prawda, nie zdziwiło mnie to zbyt. Przyjechałem aż z Niemiec tylko w tym celu, by zdobyć dowody, że ten człowiek nie jest Alfonsem de Almadeię!

— O, Najświętsza Panienko! Oczywiście, że nie jest! To na pewno Giuseppe Pighetti!

— Ale to włoskie nazwisko. To znaczy, że miałem rację, iż on nie jest Hiszpanem?

— Najzupełniej, panie doktorze, najzupełniej miał pan rację. Giuseppe Pighetti jest synem Włocha z północnej Italii, jego matka zaś była Niemką, w każdym razie Szwajcarką niemieckojęzyczną. Stąd też po ojcu posługiwał się dobrze włoskim, od matki przyswoił sobie niemiecki, a prócz tego mówił po francusku, gdyż jego rodzice mieszkali w Lugano i tam też się urodził. Sam mi to wszystko powiedział; zwierzył się też, że przyjechał tu, by nauczyć się hiszpańskiego. Ale zaczął od dzielnicy portowej, toteż mówił bardzo wulgarną hiszpańszczyzną: żargonem marynarskim. Zatrudniłszy go ze względu na znajomość języków obcych, gdyż bywają u nas często obcokrajowcy. Był nadzwyczaj obrotny i wcale się nie dziwię, że potrafi grać wielkiego pana, gdy mu na tym zależy. Ale jestem doprawdy wzburzony! Jak on śmiał podszywać się pod nazwisko naszego pana? Co chciał przez to osiągnąć?

— Tak czy owak, to hochsztapler. Nie wiem, czy był nim już w chwili podjęcia pracy na zamku, czy też dopiero skradziony paszport dał mu po temu możliwość. W każdym razie odegrał w tym wszystkim bardzo niechlubną rolę. Dzięki skradzionym pieniądzom dostał się do Berlina, zawrócił i tam w głowie wielu kobietom, próbując najwyraźniej zdobyć bogatą partię pod maską Alfonsa de Almadei. W każdym razie, wiem już teraz, kim jest ten człowiek, i natychmiast udaję się do Berlina, by ukrócić jego nieczny proceder. Ale najpierw opowiem panu, jak trafiłem na trop oszustwa.

I Gerd opowiedział szczegółowo o tym, co zaszło. Kustosz łowił chciwie każde słowo, a gdy Gerd skończył, odezwał się:

— Dziękuję panu za te wyjaśnienia. Ale niechże mi pan teraz doradzi, co mam robić, by chronić interesy mego pana?

— Najlepiej będzie — odparł Gerd po chwili zastanowienia — gdy zostawi pan mnie złapanie tego faceta. Sam pan nic nie zdiagnozował, a pan Almadeia jest daleko.

— Przypuszczam, że bawi w tej chwili w Japonii albo na Hawajach.

— A więc chwilowo nie może się tym zająć. Radzę posłać mu szczegółowe sprawozdanie. Proszę go zawiadomić, że działając we własnym interesie będę również bronił jego. Zamierzam oddać tę sprawę w ręce znajomego detektywa, Jaime Valuza. Dowie się, jaką przeszłość ma ten człowiek. Może wcale nie nazywa się Pighetti. Może to notoryczny przestępca. Niewykluczone, że tylko po to przyjął pracę na zamku, by tu znowu coś zmalować. Pan Valuzo dowie się wszystkiego. Ta fotografia oraz próbki pisma będą mu w tym pomocne. Ja muszę koniecznie wrócić do Berlina, by nie dopuścić do małżeństwa tego człowieka z siostrzenicą profesora; rozumie pan, że to w tej chwili najbardziej leży mi na sercu.

— Rozumiem doskonale, szanowny panie doktorze, i życzę panu szczęścia. Szkoda by było tej młodej damy, gdyby związała się z takim człowiekiem. Wezmę sobie do serca pańskie rady i nie uczynię nic w tej sprawie, póki nie otrzymam wyraźnych wskazówek od mego pana. Zaraz do niego napiszę i wyślę list na Hawaje, gdyż w Japonii już by go na pewno nie zastał. Dziękuję, że pan mnie wtajemniczył w całą sprawę. Nie podejrzewaliśmy Pighettiego, gdyż został zwolniony ze służby kilka dni wcześniej. Ale teraz sobie przypominam, że jeszcze przez jakiś czas widziano go tu w okolicy. Zaraz, zaraz, zdaje się, że José opowiadał mi o nim jakąś historię, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Zaraz go o to zapytam.

Zadzwoił i po chwili zjawił się stary sługa.

— Przypominasz sobie, José — zaczął kustosz — co to była za historia z tym kelnerem Pighettim, gdy już nie pracował na zamku? Opowiadałeś mi o tym.

— To chyba plotki — powiedział stary sługa, uśmiechając się z zakłopotaniem — ale Lorenzo twierdził z całą pewnością, że Pighetti miał romans z naszą praczką Teresą. Przysięgał, że widział go jeszcze kilka dni później o świcie pod oknem pokoju Teresy. Ale Teresa zaprzeczyła, nie powiedzieliśmy więc o tym jaśnie panu, by nie straciła posady. Ona jest bardzo porządna, a afery miłosne wszędzie się zdarzają.

Obaj panowie uśmiechnęli się wyrozumiale.

— Czy chciałby pan przesłuchać Teresę, panie doktorze? — odezwał się kustosz.

— Nie, nie — wzbraniał się Gerd — nie chcę jej zatruwać życia; wyobrażam sobie, jak to się odbyło. Czuła Teresa wpuściła swego gacha potajemnie do zamku, a ten skorzystał ze sposobności i zwędził portfel. Prawdopodobnie sądził, że zawiera o wiele więcej gotówki. Zostawię to do uznania detektywa, czy ma przesłuchać Teresę, czy nie. Nie będę pana więcej trudził; osiągnąłem zamierzony cel. Wiem teraz, że pod maską Alfonsa de Almadei ukrywa się jego były służący, i po powrocie do Berlina natychmiast przedstawię całą sprawę profesorowi. Dziękuję panu za wszystko i mam nadzieję, że los pozwoli mi kiedyś jeszcze podziwiać pańskie skarby sztuki bez ubocznych zainteresowań.

— Czy zje pan ze mną obiad?

— Nie, dziękuję; muszę wracać do Barcelony, by omówić wszystko z detektywem. A potem zaraz pakuję się i jutro rano wyjeżdżam do Berlina.

— Niech Najświętsza Panienska ma pana w swojej opiece i pomoże panu dopilnować interesów własnych i mego pana.

Z tym panowie pożegnali się. Kustosz odprowadził Gerda do samochodu i pomachał mu na pożegnanie, po czym wrócił do biblioteki, by napisać list do swego pana.

Wróciwszy do Barcelony, Gerd zaczął się zaraz pakować zastanawiając się, czy nie powinien jednak pojechać nocnym pociągami. Gdy detektyw Valuzo zjawił się punktualnie o piątej, Gerd poprosił swego gospodarza o zarezerwowanie miejsca w wagonie sypialnym. Rozumiejąc jego pośpiech, wydawca nie zatrzymywał go, lecz spełnił jego prośbę.

Tymczasem Gerd rozmawiał z detektywem, wykładając karty na stół. Tamten słuchał w milczeniu, lecz oczy mu błyszczały. Gdy Gerd skończył, detektyw zadał kilka dodatkowych pytań, świadczących o znajomości rzeczy. Fotografia i kartki z notatnika ucieszyły go.

— Może znajdziemy na tych kartkach odciski palców delikwenta — powiedział z uśmiechem. — Może pan być pewien, panie doktorze, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wyświecić prawdę.

— Nie wątpię w to, proszę pana, i jestem szczęśliwy, że mogę tę sprawę złożyć w pańskie ręce, sam bowiem muszę wracać do Berlina.

— Tylko niech pan nie wypuści ptaszka z klatki. Mam nadzieję, że on nie wie, iż pan jest w Hiszpanii?

— Nie, mój pełnomocnik rozgłosił, że wyjechałem do Holandii.

— Świetnie! A więc nie wie, że depczemy mu po piętach. Pan Almadaia jest daleko, więc oszust czuje się pewnie. Zaraz zabieram się do poszukiwań. Mam wielu przyjaciół w dzielnicy portowej. Pokażę im zdjęcie; może któryś zna Pighettiego. Nie wiadomo nawet, czy to jego prawdziwe nazwisko. Już my to wszystko wyświetlimy!

— Powiadomi mnie pan natychmiast, gdy pan się dowie czegoś interesującego, prawda?

— Oczywiście, będę pana informował na bieżąco. Proszę mi tylko podać adres.

Gerd dał detektywowi adres doktora Geringa, chcąc mieć pewność, że otrzyma pocztę, nawet gdyby zmienił miejsce zamieszkania.

Po wyjściu detektywa Gerd spędził ostatnią godzinę przed odjazdem na pogawędce z gospodarzami, którzy zachęcali go serdecznie, by ich wkrótce znów odwiedził.

— Mam nadzieję, że nastąpi to w czasie pańskiej podróży poślubnej — dodał z uśmiechem Candaro. — Bardzo chciałbym poznać tę młodą damę, której los leży teraz w pańskim ręku.

— Najpierw muszę zrobić wszystko — bronił się Gerd, wzdychając — by ją wyrwać ze szponów tego człowieka. O własnym szczęściu pomyślę potem.

Candarowie odprowadzili Gerda na dworzec, gdzie pożegnali się z nim. Z sercem targanym niepokojem siedział teraz w pociągu pędzącym wśród wiosennej nocy południa.

Do doktora Geringa wysłał telegram z zawiadomieniem o godzinie przyjazdu. Toteż gdy pociąg wjechał na dworzec w Berlinie, Gering już czekał na peronie. Był blady i zmartwiony. Na ten widok strach chwycił Gerda za gardło; pomyślał, że przyjechał za późno. Wypadł z wagonu i schwyciwszy przyjaciela za ramiona, wlepił w niego przerażone spojrzenie.

— Co się stało? Widzę po pańskiej minie, że przynosi pan złe wieści.

Doktor Gering wiele dałby za to, by móc zaprzeczyć. Odciągnawszy Gerda na bok, z dala od tłumu, mówił:

— Niechże się pan uspokoi, drogi doktorze. No cóż, muszę wyznać, że obawiam się, iż pan przybył za późno.



— Co to znaczy za późno? — wołał Gerd, potrząsając nim jak oszalały. — Na miłość boską, człowieku, co się stało?

— Nie wiem, nic nie wiem — odparł Gering, wzruszając słabo ramionami — ale czuję, że ślub Jolanty Warren odbył się wczoraj albo dziś.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Zaraz panu powiem. Dziś rano, przechodząc przypadkowo obok domu profesora widziałem, jak pan Almadeia i Jolanta Warren wsiadali do samochodu, a... na dachu wozu umieszczonych było kilka podręcznych walizek.

Gerd zbladł, dworzec zaczął wirować mu przed oczami.

— Nie — wyjąkał — to niemożliwe. Nie chce pan chyba powiedzieć, że ślub już się odbył?

— Nie wiem na pewno, ale obawiam się, że tak. Ależ, doktorze, pan się ślania na nogach, czy naprawdę tak to pana obeszło?

— Bardziej, niż się panu wydaje. Mój Boże, jak pan mógł puścić Jolantę z tym człowiekiem? To niemożliwe! Pan się może mylić!

— Obym się mylił! Może to była zwykła przejażdżka, ale, jak powiedziałem, mieli ze sobą bagaże. Chciałem się upewnić, ale w domu profesora powiedziano mi, że państwo dzisiaj nie przyjmują. Pyta pan, jak mogłem puścić Jolantę z tym człowiekiem? A jakże mogłem temu przeszkodzić, jaki powód podać? Przecież nawet nie wiem, czy pan zebrał dość informacji, by coś przedsięwziąć przeciwko Alfonsovi de Almadei.

Gerd zaśmiał się drwiąco.

— Ten człowiek to służący prawdziwego Alfonsa de Almadei, który przebywa w Japonii lub na Hawajach. Ukradł paszport swojemu panu.

— Boże wszechmogący!

— Rozumie pan teraz moje wzburzenie? — mówił Gerd złamanym głosem. — Jeśli ślub się już odbył, to nie wiem, co można zrobić. Chodźmy, doktorze, muszę zyskać pewność. Jedziemy natychmiast do profesora, muszę mu o wszystkim opowiedzieć. Jeśli Jolanta wyjechała jako żona tego drania... ach, Boże!

Doktor Gering ucieszył się, że Gerd nie stracił zimnej krwi. Przekonał się, jak głębokie było uczucie młodego człowieka i dałby wiele za to, by jego przypuszczenie, iż Jolanta wyjechała ze swym „mężem”, okazało się fałszywe.

## VII

Ślub cywilny Jolanty rzeczywiście odbył się tego ranka, gdy Gerd siedział jeszcze w pociągu. Zgodnie z życzeniem obojga młodych ceremonia miała charakter kameralny. Oprócz dwóch świadków nie zaproszono żadnych gości. W kręgach towarzyskich przyjęto ze zrozumieniem fakt, że małżeństwo zostanie najpierw usankcjonowane w urzędzie stanu cywilnego, by młoda żona mogła towarzyszyć mężowi w podróży dookoła świata; podróż zakończy się ślubem kościelnym w ojczyźnie pana młodego. Było to nawet interesujące; a ponieważ nie podano terminu ślubu, nikt nawet nie wiedział, że odbył się on właśnie dziś.

Jolanta jechała do ślubu jak we śnie. Potem słuchała słów urzędnika, nie rozumiejąc ich sensu; mechanicznie podpisała akt ślubu nowym nazwiskiem: *Jolanta de Almadaia z domu Warren*.

Odłożywszy pióro, miała ochotę na powrót wymazać to nazwisko na papierze i z pamięci. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Co ona zrobiła?! Jak mogła się na to zgodzić? To przecież szaleństwo! Zrobiła to wszystko pod wpływem presji otoczenia. Ale stało się, i nareszcie mogła odetchnąć. Człowiek, który ją skompromitował, dopełnił honorowego obowiązku i dając jej swe nazwisko — zrehabilitował ją. Byli kwita.

Gapiała się na akt ślubu i brała ją ochota podrzeć go na drobniutkie kawałeczki. Ale właśnie zbliżyli się świadkowie, by złożyć jej gratulacje. Jolanta opanowała się. To by się na nic nie zdało. Trzeba przyjąć gratulacje, podziękować, potem wrócić do domu wuja i zjeść z nim, z ciotką i świadkami śniadanie. A potem uda się z tym człowiekiem na dworzec i wyjedzie w świat — na zawsze.

I tak dopełni się to, co jest konieczne dla przywrócenia jej dobrego imienia. A gdy osiągną pierwszy cel podróży — gdzieś w Szwajcarii — musi się rozmówić z Alfonsem de Almadaia. Co będzie potem, nie

wiedziała, ale jednego była pewna: nigdy nie będzie należeć do tego mężczyzny. Woli umrzeć!

Ku swemu wielkiemu zdumieniu przełknęła kilka kęsów, a nawet rozmawiała przy stole. Potem poszła do pokoju, by się przygotować do podróży.

Ponieważ świadkowie pożegnali się, ciotka poszła za Jo, by pomóc jej w przygotowaniach i przez chwilę jeszcze z nią pogawędzić. Jolanta wolałaby zostać sama, pozbierać myśli. Ale nie chciała sprawiać przykrości ciotce. Rozmawiały ze sobą po raz ostatni, cokolwiek się stanie.

W salonie profesor, zostawszy sam na sam z młodym żonkosiem, powiedział do niego:

— Proszę cię, Alfonso, na chwilę do gabinetu. Chcę ci przedstawić rozliczenie z konta Jo i wypłacić resztę majątku.

Alfonso był tym zaskoczony.

— Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, drogi wuju, że podjąłeś cały majątek Jo w gotówce — rzekł śmiejąc się, gdyż nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł nosić przy sobie około pół miliona marek; na tyle szacował majątek swej żony.

Gospodarz, nieświadom oczekiwań tamtego, odparł naiwnie:

— Pomyślałem, że może będziesz chciał mieć przy sobie trochę gotówki. Jeśli nie chcesz się tym obciążać, mogę te pieniądze wpłacić na twoje konto w banku. Na wszelki wypadek podjąłem pieniądze w grubych banknotach. Chodźmy do gabinetu.

Alfonso czuł się nieswojo. Co za zwariowany pomysł podejmować w gotówce cały majątek Jo! Właściwie było mu to nawet na rękę, będzie mógł bowiem tym swobodniej dysponować pieniędzmi. Ale powinni go byli najpierw spytać, jak zamierza ulokować kapitał żony: zawczasu przygotował sobie błyskotliwą odpowiedź.

Ale nie było czasu się dziwić. Weszli do gabinetu; na biurku leżało kilka paczek banknotów i garść srebrnych monet obok kartki papieru pokrytej liczbami. Alfonso wlepił wzrok w pieniądze. Wzdrygnął się, gdy profesor wskazał na biurko i biorąc do ręki rozliczenie, powiedział:

— Majątek Jo to dla ciebie oczywiście drobnostka, drogi Alfonso; przyzwyczajony jesteś do innych sum. Ale trzeba było gospodarować

tym, co mieliśmy. Po rozliczeniu końcowym pozostało dokładnie 25327 marek. Tu masz dwadzieścia pięć tysięcy w grubych banknotach, a reszta w drobniejszych i srebrnej monecie. Pieniądże pomieszczą się wygodnie w teczce. Jak mówiłem, dla ciebie to bagatelna suma, na szczęście jesteś bogaty i sam mi mówiłeś, że majątek Jo nie ma dla ciebie znaczenia. Bądź więc łaskaw podpisać pokwitowanie i wziąć pieniądze. I to już koniec formalności.

Podniósłszy oczy na Alfonsa, profesor przestraszył się; tamten miał twarz bladą, wykrzywioną nienaturalnym grymasem. Zdruzgotany patrzył na „nędzne grosze”, wreszcie z ust wyrwał mu się bolesny okrzyk:

— I to jest cały majątek Jo? Wybacz wuju, ale mówiono mi, że miała bardzo bogatego ojca i jest jedyną spadkobierczynią.

Profesorowi po raz pierwszy zaświtała myśl, że posąg Jo może nie był Alfonsowi tak obojętny, jak utrzymywał. Odparł ze ściśniętym sercem:

— To prawda, że ojciec Jo był bardzo bogaty. Ale inflacja i jego nie ominęła. To wszystko, co zostało z całego majątku.

— Dobry żart, nie ma co! — roześmiał się histerycznie Alfonso. — No, cóż, tego królewskiego posagu nie warto nawet umieszczać w banku!

Po czym podpisał rewers „własnym” nazwiskiem, zgarnął pieniądze i powiedział, wstając:

— Czas jechać na dworzec. Jo pewnie już gotowa.

Profesor patrzył speszony na męża swej siostrzenicy widząc, że ten oczekiwał o wiele więcej. Ale jeśli nawet jest trochę rozczarowany, to nie ma to dla niego większego znaczenia. Na szczęście, jak się dowiedział, Alfonso jest bogaty. A bogacze mają bzika na punkcie pomnażania majątku, myślał profesor, niczego nie podejrzewając.

Alfonso, gorzko rozczarowany, z trudem się pohamował. A więc ten „interes”, który wydawał mu się tak lukratywny, przyniósł mu w efekcie nędznych dwadzieścia pięć tysięcy marek! Oszukany oszust nie posiadał się ze złości. W dodatku wziął sobie na kark tę bladą gęś, która pewnie chciałaby dostać swoją dołę. Do diabła! Wpuścił się w kanał! Zamiast pół miliona — pięć procent tej sumy! A on chciał za te pieniądze urządzić się gdzieś wygodnie! Przeliczył się. Znów był bankrutem. Miał pecha w życiu. Najpierw złapano go na gorącym uczynku

w Lugano, gdy zamierzał przywłaszczyć sobie klejnoty bogatej Amerykanki, która robiła do niego słodkie oczy. Ledwie udało mu się zwiąć. Potem jeszcze kilka rzeczy nie wypaliło.

Na zamku Mandrilla też mu się nie poszczęściło z tym skradzionym portfelem. Zakochana Teresa wpuściła go do swego pokoiku, skąd przedostał się do gabinetu niedawnego pana i zabrał jego sakiewkę. Myślał, że wpadnie mu w ręce spora suma, i wtedy też się przeliczył. I oto teraz, gdy poszedł na całość i zdawało mu się, że dorwał wreszcie bogatą partię, los znów spletał mu figła. Niech to lichu!

Doszedłszy do takiego wniosku, ledwie zdołał się przymusić do paru słów pożegnania, nim wsiadł z Jo do samochodu, który miał ich zawieźć na dworzec. Nie palił się do rozmowy z nią. Nawet nie zauważył, jaka była blada i nieszczęśliwa. Co go ta kobieta obchodziła? Gra skończona i on ją przegrał. Zaledwie zwrócił mu się wkład. Zastanawiał się, co dalej. Bilety były kupione wcześniej, inaczej ani myślałby jechać pierwszą klasą. Nie wchodziło też w rachubę, by mieli wynająć pokoje w Maloja Palace. Na szczęście nie zamówił ich wcześniej, planował bowiem udać się w drogę trasą, która tylko jemu samemu była znana. Zastanawiał się, w jaki sposób uszczknąć jak najwięcej z tych pieniędzy dla siebie. Jakoś musi wyjść z tego dołka. Z Jo nie musi się liczyć. Ta farsa ze ślubem nie przeszkodzi mu jej porzucić. Ale pieniądze musi zatrzymać. Nie może wydać za dużo, gdyż musi sobie zostawić kapitał zakładowy, umożliwiający ponowne zarzucenie sieci. Miał pecha z kobietami, chociaż za nim szalały. Ciekaw był, jak się zachowa ta tutaj — jest wprawdzie ładna, ale chłodna. Chyba nie będzie już tak nieprzystępna, skoro jako jego „żona” przyjęła na siebie określone obowiązki. Roześmiał się drwiąco w duchu.

Pożegnanie wypadło z obu stron nad wyraz chłodno. Ale profesor poczuł smutek, przyciskając Jo po raz ostatni do piersi. Jo czuła także, iż rozstanie z tym jedynym krewnym podcina jej korzenie życiowe. Mimo wszystko spędziła w domu wuja beztrudne lata, była mu za to wdzięczna i dla niego poniosła tę ofiarę.

Gdy wsiadali do pociągu, Jo mimo roztargnienia zauważyła, że Alfonso nie jest już nawet w połowie tak szarmancki jak przedtem. Nie pomógł jej wysiąść z samochodu ani wsiąść do pociągu; siedł pierwszy z przekrzywioną na bok głową.

W przedziale zarezerwowanym dla nich Alfonso ze złością rzucił bagaż podręczny na siatkę, po czym rozparł się w wyścielanym fotelu pod oknem naprzeciwko Jo.

Wielkie walizy nadał dzień wcześniej na bagaż z przeznaczeniem do Zurychu. Bilety też były wykupione tylko do Zurychu. Alfonso utrzymywał, że zatrzyma się tam kilka dni, nim pojedą do Maloja. A naprawdę chciał spalić za sobą wszystkie mosty. Nawet gdyby Jo była rzeczywiście majętna, nie zmieniliby to jego planów. Zamierzał bowiem zabezpieczyć kapitał, a następnie wyjechać gdzieś na koniec świata, gdzie go nikt nie zna, i żyć jak u Pana Boga za piecem dzięki pieniądzom żony. Ale teraz wszystkie plany wzięły w łeb.

Co chwila zerkał ukradkiem na Jo, bladą i milczącą, wciśniętą w kąt przedziału. Nie pomógł jej zdjąć wierzchniego okrycia, a ona nie domagała się tego. Siedziała więc w płaszczu, pogrążona w myślach, nieświadoma miotających nim uczuć, podobnie jak Alfonso nie zdawał sobie sprawy z tego, co ona czuje. Jo wiedziała tylko, że jest zły. Było jej na rękę, że zachowuje się z rezerwą. Ale gdyby nie był jej tak obojętny, jego sposób bycia musiałby ją zranić.

I tak siedzieli naprzeciwko siebie. Wreszcie zjawił się kelner z wagonu restauracyjnego, pytając, czy zechcą zjeść obiad. Alfonso zastanowił się i spojrzął na Jo, ale ta milczała, zostawiając mu decyzję. Doszedłszy do wniosku, że i tak muszą jeść, a w wagonie restauracyjnym jest taniej niż gdzie indziej — wziął dwa miejsca, nie pytając Jo o zdanie.

Jo ucieszyła się perspektywą, że choć na trochę nie będzie z nim sama. Ale zachowanie Alfonsa niepokoiło ją. Co znaczyła ta lodowata rezerwa? Ta sytuacja była jej wprawdzie na rękę, ale jak długo to potrwa?

Musiał odgadnąć jej myśli z wyrazu twarzy, gdyż nagle wybuchnął ordynarnym śmiechem. Jo zmieszała się pod wpływem jego śmiechu i szyderczego, mrozącego spojrzenia. Nie wiedziała, co o tym sądzić.

Po czym znów pogrążyli się w milczeniu. Wreszcie wezwano ich na obiad. Jo podniosła się z miejsca niepewnie, Alfonso zaś miał przepuścić ją, pierwszy wyszedł z przedziału. Zdziwiło ją to i pomyślała, że gniewa się na nią za to, że tak długo milczała. Niech się gniewa; lepsze to niż gdyby naprzykrzał jej się z niestosownymi czułościami. Mimo wszystko nie rozumiała jego braku manier; jak mógł

opuścić pomieszczenie przed kobietą?

Widocznie nie miał zamiaru być grzeczny. Przy stole nie spytał jej, czy chce coś do picia; była spragniona, więc sama zamówiła butelkę wody mineralnej.

Jedli w milczeniu, tak jak przedtem w milczeniu siedzieli naprzeciw siebie w przedziale. Jo zdawało się, że znalazła się na wulkanie, który lada chwila może wybuchnąć. Ale na razie nic się nie działo. Alfonso jeszcze nie wiedział, jak postąpi. Jedno było pewne: nie może dłużej podróżować pod nazwiskiem Almadei. Wobec tego w Zurychu musi się rozmówić z Jo; dłużej nie da się zwlekać. Mógł wprawdzie po cichu zniknąć z hotelu. Ale wtedy Jo podniesie alarm i on nie zdąży uciec. Czasu miał dosyć. Nieobecność Almadei potrwa jeszcze dobre kilka miesięcy; minie sporo czasu nim ktoś wpadnie na to, że w Berlinie ktoś podszywa się pod jego nazwisko.

Musiał czym prędzej pozbyć się Jo. Pieniądzy było za mało na nich dwoje. Sądził, iż po rozstaniu Jo wróci do wuja, nie będzie więc mógł dłużej występować jako Alfonso de Almadeia. Z tym nie było zmartwienia. Był przygotowany na taką ewentualność — miał w kieszeni inny paszport, który pozwoli mu przywdziać nową skórę. Nauczył się tych sztuczek w portach hiszpańskich. W Berlinie potrzebował nazwiska człowieka majątnego, o którym można by zasięgnąć informacji. Dlatego zależało mu tak na paszporcie Alfonsa de Almadei. Był spokojny, że z takimi referencjami wszystkie drzwi staną przed nim otworem. Ale ten plan spalił na panewce. Czuł się wręcz oszukany, a ta błada dziewczyna siedząca naprzeciw niego była jego zdaniem tak samo oszustem jak on. Jeśli się dowie o wszystkim, będzie siedziała cicho, gdyż zależy jej bardzo na dobrej reputacji. Musi pomówić z nią otwarcie i przekonać ją, że najmądrzej będzie, gdy wróci do wuja. Powie jej, że jeśli nie będzie siedziała cicho, aresztują ją wraz z nim.

Dotarłszy do tego punktu w swych rozmyślaniach, uspokoił się. W końcu dostało mu się dwadzieścia pięć tysięcy! Okaże Jo wielkoduszność i da jej pięćset marek, by mogła wrócić do Berlina — pozbywszy się „królewskiego posagu”. Ale w końcu trudno oczekiwać, by taki mężczyzna jak on marnował życie u boku biednej kobiety, choćby nawet ładnej. W Zurychu rozmówi się z nią i basta.

Jo nie miała pojęcia, o czym myśli jej rzekomy mąż. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że zgodnie z aktem ślubu była żoną Alfonsa de Almadei, a nie człowieka, który nosił na palcu jej obrączkę — a w rzeczywistości żadnego z nich.

Łamała sobie głowę, jak to się stało, że siedzący naprzeciwko niej mężczyzna nie próbuje się do niej dobrać i zachowuje się wobec niej po chamsku. Ułatwi jej to wprawdzie generalną rozprawę z nim, tylko kiedy to nastąpi? W pociągu to niemożliwe. Może w hotelu? Wiedziała od ciotki, gdzie zamieszkają w Zurychu — Alfonso zarezerwował pokoje w hotelu Baur au Lac. Ale była to nieprawda. W rzeczywistości Alfonso nigdzie nie zamówił miejsc i teraz był z tego bardzo zadowolony. W hotelu Baur au Lac płaci się słone rachunki. Ale skąd Jo mogła wiedzieć, że człowiek, którego uważała za bogacza, musi liczyć się z każdym groszem, mając za cały majątek jej posag?

Pragnęła jak najszybciej rozmówić się z nim; czekanie zabijało ją. Czasem ogarniało ją takie przerażenie, że miała ochotę wyskoczyć z pociągu.

Podjąwszy decyzję, Alfonso wpadł w wisielczy humor. Nagle wyprostował się i wlepiając czarne oczy w Jolantę, powiedział drwiąco:

— No i co, gołąbeczko, jak ci się podoba podróż poślubna?

Jolanta wzdrygnęła się na te słowa, ale nie odwróciła wzroku.

— Wiesz, czym był dla mnie ślub, więc zapewne domyślasz się, jak mi się podoba podróż poślubna — odparła.

— A jednak jestem bardzo ciekaw twojej opinii.

Jolanta postanowiła postawić sprawę jasno.

— Wiesz dobrze, w jaki sposób zmuszono mnie do tego małżeństwa. Ty i ciotka nie pozostawiliście mi wyboru. Nie mogłam tego zrobić wujowi, by o jego siostrzenicy krążyły plotki, że zamyka się w sypialni z obcymi mężczyznami, zwłaszcza że służba wszystko widziała.

— Ach, tak? I tylko dlatego zostałam moją żoną? — spytał Alfonso, uśmiechając się przebiegle.

— Tak, tylko dlatego!

Powiedziała to tak zimno i zdecydowanie, że Alfonso poczuł się dotknięty w swej męskiej dumie. Nie mieściło mu się w głowie, że nie zrobił żadnego wrażenia na tej kobiecie.



— A mnie się zdaje, że robiłaś do mnie słodkie oczy, jak wszystkie kobiety — powiedział, krzywiąc twarz w ordynarnym uśmiechu.

Jolancie dreszcz przeszedł po plecach. Zaciskając dłonie powiedziała zgaszonym tonem:

— To prawda, ale to było, zanim zrozumiałam, jaki jesteś naprawdę. Uważałam cię za szlachetnego człowieka.

Alfonso parsknął śmiechem.

— A mogę wiedzieć, jak powinien się zachowywać człowiek szlachetny? — spytał drwiąco.

— Na pewno inaczej niż ty się zachowałeś — odparła Jolanta, prostując się. — Nie powinieneś był wchodzić do mego pokoju bez pozwolenia, nie powinieneś narażać opinii kobiety, którą zamierzałeś poślubić, a przede wszystkim nie powinieneś dopuścić do tego, by na tak głęboko upokorzonej przez ciebie dziewczynie ciążyło podejrzenie, że pozwoliła ci na coś, na co szanująca się dama nigdy nie może pozwolić obcemu mężczyźnie. Ani jednym słowem nie wzięłaś mnie w obronę. Swym zachowaniem dałeś do zrozumienia, że pozwoliłam ci wejść do mej sypialni.

— Przecież wyraźnie mnie do tego zachęciłaś — rzekł z chępliwym uśmiechem.

Jolanta dostała wypieków. Miała ochotę uderzyć go w tę bezczelną twarz. Z trudem opanowała się, głos odmawiał jej posłuszeństwa, gdy mówiła:

— Już raz ci mówiłam, że nie przyszło mi do głowy, iż zrozumiesz te słowa jako zachętę, by pójść za mną. Musiałeś przestawać z lekomyślnymi kobietami, skoro masz takie złe zdanie o mojej płci. Nie mogę zrozumieć, jak mogłeś ożenić się z kobietą, którą uważałeś za zdolną do takich postępów.

— Kiedyś to zrozumiesz — roześmiał się drwiąco Alfonso.

Jolancie chciało się krzyzczeć: zwróć mi wolność; wiem dobrze, że mnie nie kochasz, tak samo jak ja nie Kocham ciebie. Może mnie kiedyś pragnęłaś, ale sądząc po twoim zachowaniu minęło to bez śladu. Ale bała się, że Alfonso znów wybuchnie tym swoim okropnym śmiechem. Drżała na myśl o czekającej ją ostatecznej rozmowie. Na duchu podtrzymywała ją tylko myśl o rewolwerze, który ojciec dał jej przed śmiercią.

Nie znajdując w sobie dość sił, by zareagować na jego słowa, odchyliła się w fotelu z zamkniętymi oczami i milczała. On też znudził się rozmową z nią. O czym tu mówić z tą gęsią? Ta kobieta nie podniecała go do walki, była zimna jak ryba, nie lubił się z takimi zadawać.

Rozsiadłszy się wygodnie w fotelu, zapalił papierosa, nie pytając jej o pozwolenie. Jolanta wciąż nie mogła zrozumieć, jak człowiek kulturalny może tak po chamsku zachowywać się wobec damy. Jedy-ny pożytek z tego, że ułatwi jej to rozprawę z nim.

## VIII

W Zurychu Alfonso wziął taksówkę i kazał jechać do podrzędnego hoteliku. Jolanta otwarła szeroko oczy ze zdumienia, gdy zatrzymali się przed nędznym budynekciem.

— Zdawało mi się, że zamówiłeś pokoje w Baur au Lac — zauważyła.

— Nie, gołabeczeko, nie zrobiłem tego, choć ciotka bardzo chciała. W ogóle nigdzie nie zarezerwowałem pokoi, gdyż miałem dość wtrącania się twojej wspaniałej ciotuni. Przeczytałem w przewodniku, że ten hotel jest czysty, porządny i tani. Mam nadzieję, że dostaniemy tu pokój.

Jolanta spojrzała na niego wystraszona. Nawet nie zwróciła uwagi na to, że zachwala hotel z powodu jego taniości, ledwie żywa ze strachu, że chce zamówić tylko jeden pokój.

— Błagam cię, weź dwa pokoje. Ja... nie mogę spać, gdy nie mam osobnej sypialni.

Spojrzał na nią drwiąco i wzruszywszy ramionami wszedł do recepcji. Jolanta nie mogła dosłyszeć rozmowy, lecz odetchnęła z ulgą, gdy się okazało, że ma osobny pokój. Sąsiedował on z pokojem Alfonsa i pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Jo, było upewnienie się, że drzwi łączące oba pomieszczenia są zamknięte. Nie wiedziała, że portier dał Alfonsowi klucz.

Zamknąwszy za sobą drzwi do swego pokoju, Jolanta nareszcie

poczuła się bezpieczna. Nie myślała o czekającej ją rozmowie. Cieszyła się, że nie musi patrzeć na człowieka, którego coraz bardziej nie cierpiała. Tak jak stała, w ubraniu podróżnym, opadła bezsilnie na fotel, przyciskając ręce do piersi. Co dalej? Może odłożyć rozmowę z nim, ale jej nie uniknie.

Nasłuchiwała niespokojnie: w sąsiednim pokoju Alfonso chodził tam i z powrotem. Jolanta wstała, wyjęła z torby browning i włożyła go do kieszeni płaszcza, po czym usiadła z powrotem w fotelu. Nie myślała się rozpakować, nie zdjęła płaszcza ani kapelusza sądząc naiwnie, że tak będzie bezpieczniejsza. W tej okropnej godzinie jej myśli znów pobiegły ku Gerdowi. Ach, gdyby tak mogła poczekać na niego i kontynuować wraz z nim tę podróż! Podróż poślubna! Co za ironia losu!

Siedziała tak długo, tracąc rachubę czasu. Może minęły minuty, a może godziny. Czekala na to, co musiało nastąpić. Za dnia nie bała się tak bardzo, dlatego postanowiła rozmówić się z Alfonsem przed zapadnięciem nocy. Zastanawiała się, czy ma go poprosić o rozmowę. Ale w takim razie musiałaby go wpuścić do pokoju. Rozmowa powinna odbyć się w cztery oczy. Zaciśnęła dłoń w kieszeni na kolbie rewolweru, trzymając go w pogotowiu. Spodziewała się, że zrobi to wrażenie na Alfonsie, gdyby był zanadto natarczywy.

Wciąż nie mogła się zdecydować, by zapukać do drzwi łączących oba pokoje i zawołać go. W małym hoteliku panowała absolutna cisza, jakby nie było tu żywej duszy. Tylko od czasu do czasu słychać było słabe szuranie kroków po wyścielanych chodnikami korytarzach. Z dołu, z ulicy dochodził czasem odgłos przejeżdżającego samochodu lub dobiegały strzępy rozmowy. Trochę ją to uspokoiło.

Wtem skamieniała z przerażenia. Drzwi między pokojami otworzyły się gwałtownie i w progu stanął Alfonso. Uśmiechał się ironicznie zadowolony, że ją przestraszył. Jo siedziała jak sparaliżowana; poblądła, lecz w oczach miała błyskawice gniewu.

— Jak śmiesz wdzierać się do mojego pokoju bez pukania? — krzyknęła, tracąc panowanie nad sobą.

Alfonso rozeźmiął się brutalnie, wkładając ręce do kieszeni.

— Jesteś bardzo naiwna, gołąbeczko. Chyba mam prawo wejść do pokoju żony bez zbytniego proszenia?

— Odmawiam ci tego prawa. Tak nie zachowuje się dżentelmen!

Alfonso był ubawiony. Zdążył się tymczasem pozbierać i ułożyć dokładny plan działania. Toteż on również dążył do ostatecznej rozmowy.

Począł wolno iść ku niej, zostawiwszy drzwi za sobą otwarte. Po przeciwnej stronie pokoju Jo znajdowała się gładka ściana, drzwi na korytarz były podwójne, miał więc pewność, że nikt ich nie podsłucha.

— Ach, tak? Chcesz mi odmówić tego prawa, gołąbeczko? Nie uda ci się to. Akt ślubu daje mi prawo wchodzenia do pokoju żony, kiedy mi się spodoba.

Jolanta wstała. Zbierając wszystkie siły i patrząc mu prosto w oczy powiedziała:

— Niniejszym oświadczam ci, że nigdy nie będę naprawdę twoją żoną. Zrehabilitowałeś mnie poprzez to małżeństwo, gdyż było to twoim obowiązkiem, tak jak moim obowiązkiem było ponieść tę ofiarę. Zrobiłam to ze względu na wuja, któremu winna jestem wdzięczność za to, że przyjął mnie do swego domu. I choć nie ponoszę żadnej winy, gdyż to ty swym zachowaniem naraziłeś moją reputację, poczuwałam się do obowiązku oszczędzenia wujowi nieprzyjemności. Wiesz już teraz, dlaczego zgodziłam się przyjąć twoje nazwisko. Ale żadnych więcej ofiar ponosić nie zamierzam. Pożycie małżeńskie między nami nie wchodzi w grę. Możesz się ze mną rozwieść. Ale gdyby to miało przynieść uszczerbek twojemu dobremu imieniu w oczach rodaków, gotowa jestem zostać z tobą. Lecz tylko formalnie będę twoją żoną. Nie chciałam brać ślubu kościelnego, by ci ułatwić sprawę rozwodową. Poza tym usankcjonowanie naszego związku w kościele kłóciło się z moim przekonaniem, iż nigdy nie będziemy prawdziwym małżeństwem. Powiedziałam już wszystko, co miałam ci do powiedzenia. Zdecyduj się, co zamierzasz zrobić.

Alfonso słuchał jej zdumiony. Zepsuty powodzeniem u kobiet, poczuł się dotknięty w swej męskiej dumie, iż ta kobieta tak energicznie broni się przed pożyciem z nim. Zaczynał ją podziwiać. Po raz pierwszy zapragnął jej naprawdę. Zbliżył się jeszcze o krok i powiedział ochryplym głosem:

— I ty myślisz, że ja się na to zgodzę? Że mnie spławisz?

Nim zdążył jej dotknąć, Jolanta wyszarpnęła z kieszeni rewolwer i wycelowała do niego.

— Nie dotykaj mnie, bo cię zastrzelę! — krzyknęła histerycznie.

— Z przykrością muszę ci zakomunikować — powiedział spokojnie Alfonso — że nie jesteś moją żoną, nie mogłem cię więc zrehabilitować. Przebywałeś w hotelu z zupełnie obcym człowiekiem. W obliczu czegoś takiego włosy wam stają dęba na głowie: tobie, twojej rodzinie i znajomym, prawda? Dla was, z waszą obłudną moralnością, to wszystko jest takie ważne! Mam nadzieję, że kiedyś się zmienisz. Bóg mi świadkiem, że nie masz sobie nic do zarzucenia, choć wszyscy ludzie, z którymi do tej pory przestawałaś, wytykaliby cię palcami. Niejedna tak zwana szanująca się kobieta nie jest nawet w połowie tak moralna jak ty. A wiesz dlaczego? Bo nauczyła się zachowywać pozory. Bo tak naprawdę, wy, ludzie z towarzystwa, kochacie pozory, i tylko to się dla was liczy. Dla ciebie zachowanie pozorów było tak ważne, że zgodziłaś się wyjść za człowieka, którego nie cierpisz, a za chwilę może znieawidzisz.

Nie dotykał jej, patrzył tylko na nią groźnie, a ona cofała się w głąb pokoju. Oblędny strach malujący się w jej oczach wzbudził w nim litość. Wyjął jej z ręki rewolwer, mówiąc:

— Małe dziewczynki nie powinny się tym bawić, nawet jeśli rewolwer nie jest nabity. Poza tym nie musisz mi grozić. Mogłoby się to dla nas obojga źle skończyć. Usiądź, trzęsiesz się jak galareta. Uspokój się, nic ci nie zrobię, daję słowo.

Powiedział to innym tonem niż zazwyczaj, jego słowa zabrzmiały wiarygodnie. Jolanta kurczowo zaciskała dłonie, stojąc nadal, mimo iż nogi się pod nią ugiwały.

— Siadaj! — wrzasnął.

Jolanta opadła na fotel, patrząc na niego takim wzrokiem, że musiałby być z kamienia, by ją dalej dręczyć. Alfonso położył browning na stoliku, przysunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko niej.

— Przestań się wreszcie trząść, powiedziałem ci przecież, że ci nic nie zrobię. Do diabła, zaimponowałaś mi. To się jeszcze żadnej kobiecie nie udało! Ale teraz musimy poważnie porozmawiać. Wydaje mi się, że ja też mam ci do powiedzenia coś, co cię zainteresuje. A więc po pierwsze: chciałabyś się ode mnie uwolnić?

Jolanta skinęła gwałtownie głową, słowa nie przechodziły jej przez gardło. W jej oczach wciąż malował się strach. Alfonso pokręcił głową, jakby miał przed sobą nierozumne dziecko, po czym spytał podchwytliwie:

— A czy zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób tracisz bogatą partię?

Bo, oczywiście, gdy mnie opuścisz, ani myślę cię utrzymywać.

Jolanta wreszcie odzyskała mowę.

— Nie zależy mi na bogatej partii! — powiedziała stłumionym głosem.

— Naprawdę? Twojej ciotce zależało.

— A co mnie to obchodzi — odparła Jolanta, machając ręką. — Nie jestem podobna do ciotki.

— Jeżeli zwrócę ci wolność, nie spodziewaj się ode mnie złamanego szeląga.

— I tak bym nic od ciebie nie wzięła.

— Wrócisz do wujostwa?

— Nie, tego mi nie wolno zrobić, gdyż unieszczęśliwiłabym wuja.

Alfonso przyjrzał jej się uważnie.

— Więc co zrobisz?

— Będę zarabiać na życie gdzieś z daleka od domu — powiedziała ze spokojną determinacją.

Roześmiał się, ale nie był to już tamten ordynarny śmiech.

— Myślisz, że to takie proste?

— Nie, myślę, że to jest trudne, ale dla mnie łatwiejsze niż żyć u twego boku, opływając we wszystko. Nie chcę od ciebie nic.

— Przestaniesz być taka dumna, gdy będziesz zdana na własne siły.

— Nigdy!

Znów spojrział na nią dziwnym wzrokiem.

— A co byś zrobiła, gdyby wszystkie twoje plany wzięły w łeb, gdybyś nie miała co jeść, w co się ubrać, nie miała dachu nad głową?

— Mogłabym jeszcze umrzeć — odparła spokojnie i bez patosu Jolanta.

— Do diabła, nie umiera się tak łatwo, jak ci się wydaje!

— Nie rozmawiajmy już o tym. Ty mnie nie rozumiesz, ja nie rozumiem ciebie. A więc chcesz mi zwrócić wolność? — spytała, a w jej oczach czał się gorączkowy niepokój.

— Tak — odparł krótko Alfonso. — Właściwie już jesteś wolna.

Jolanta spojrzała na niego pytająco. Alfonso zastanowił się przez chwilę, wreszcie powiedział:

— Powiem ci coś, jeśli mi dasz słowo, tak zwane słowo honoru, które dla was tyle znaczy, a które i dla ciebie jest święte, że co najmniej przez trzy miesiące nie powtórzysz tego nikomu.

Jolanta spojrzała na niego z niepokojem.

— Dobrze, masz moje słowo!

Alfonso odetchnął z ulgą.

— A więc, jak powiedziałem, nie jesteś moją żoną, a ja nie jestem Alfonso de Almadeia.

Jolanta zbaraniała.

— Nie jesteś Alfonsem de Almadeia? Boże mój, więc kimże jesteś?

Tamten skrzywił się ironicznie.

— Nim zacząłem występować pod nazwiskiem Alfonsa de Almadei, byłem jego służącym nazwiskiem Giuseppe Pighetti.

— Boże wszechmogący! — zawołała Jolanta, przyciskając dłonie do piersi.

Skinął głową, jakby znał z góry wszystkie pytania, cisnące się jej na usta.

— Tak się nazywałem na zamku Mandrilla. Ale to nie było moje prawdziwe nazwisko. Pod prawdziwym nazwiskiem szukała mnie policja w Lugano, gdzie wdałem się w aferę z bogatą Amerykanką. Gdy się zorientowała, że chodzi mi o jej biżuterię, podniosła rwetes i ledwie udało mi się umknąć. Wtedy jeszcze nosiłem swoje prawdziwe nazwisko. Ale nie zdradzę ci go, bo może mi się jeszcze kiedyś przydać. Po ucieczce z Lugano próbowałem szczęścia w różnych hotelach, starając się zdobyć pieniądze. Miałem powodzenie u kobiet, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło: żadnej nie udało mi się naciągnąć. Wreszcie kutrem żaglowym dostałem się do Barcelony.

W oczach Jo malowało się bezgraniczne przerażenie, które go rozśmieszyło.

— Tak, panienczko, siedzisz sobie wygodnie w hotelu ze złodziejaskim i hochsztaplerem, a twoje kasztanowate włosy otacza aureola niewinności. Nie bój się, nie zszargam jej. Czasem mam jeszcze takie napady wielkoduszności. W Barcelonie — teraz będzie bomba

— poderwałem barmankę, która mnie ukryła przed policją depczącą mi po piętach i zaopatrzyła w kilka fałszywych paszportów. Zapłaciłem za to wysoką cenę: musiałem się z nią ożenić. Widzisz więc, że nawet gdybym był panem Almadeią, nie mogłabyś być moją żoną, bo jedną już mam. Mogłabyś mnie co najwyżej oskarżyć o bigamię. Ale wtedy napytałabyś sobie biedy, gołąbeczko, sama to rozumiesz. Aresztowaliby nas oboje i twój wuj miałby się z pyszna.

Jo zbladła jeszcze bardziej. Co za brudy, jaka hańba! Na co jej przyszło? Ale kamień spadł jej z serca. Była wolna, nareszcie wolna! Dzięki Bogu, że w porę się o tym dowiedziała. Nie może wprowadzić wrócić do domu wuja, ale gdy tylko upłyną trzy miesiące, o wszystkim mu napisze.

— Twoja szlachetna duszyczka brzydzi się tym, co? — zauważył siedzący naprzeciwko niej mężczyzna, uśmiechając się ironicznie.

Jolanta odetchnęła głęboko.

— Jakże się cieszę, że do ciebie nie należą, mimo iż okryłam się hańbą. Jestem niewinna, ale muszę dalej żyć z tą hańbą. Powiedz mi, dlaczego chciałeś się koniecznie ze mną ożenić?

— Mówiłem ci już, że nie mam szczęścia do kobiet — odparł, wzruszając ramionami. — Następnym razem obejdzie się bez nich. Pytasz, dlaczego chciałem się z tobą ożenić? Bo mi powiedziano, że twój ojciec był milionerem, a ty jego jedyną spadkobierczynią. Liczyłem na jakieś pół miliona najmniej; chciałem się za to urządzać wygodnie gdzieś daleko stąd. Czy cię zabiorę ze sobą, czy zostawię gdzieś po drodze, uzależniałem od twego zachowania. Możesz więc sobie wyobrazić, co czułem, gdy twój wuj wręczył mi ten „królewski” posag. Gra niewarta była świeczki. Chcąc ubiegać się o bogatą partię, potrzebowałem nazwiska, o którym ojcowie i opiekunowie mogliby zasięgać informacji. Służąc na zamku Mandrilla, dowiedziałem się, że pan de Almadeia wybiera się w podróż dookoła świata i że wyrobił sobie paszport i zaopatrzył w gotówkę na drogę. Nadarzała się idealna sposobność. Postanowiłem ukraść mojemu panu paszport i podczas gdy on będzie wędrował na jednej półkuli, ja spróbuję szczęścia na drugiej. W Hiszpanii było to oczywiście niemożliwe, więc przyjechałem do Berlina. Na kilka dni przed wyjazdem pana Almadei zostałem zwolniony z powodu afery z kobietą. Wyszło mi to zresztą na



dobrze, gdyż w ten sposób nie mogło paść na mnie podejrzenie. Miałem romans zjedną ze służących na zamku. Wpuściła mnie potajemnie do swego pokoju, a gdy rankiem poszła do swych obowiązków, ja, nim zniknąłem z zamku, udałem się na wycieczkę do pokoi pana. Miałem szczęście, gdyż Almadeia był akurat w kąpieli, a na toaletce leżał portfel, który mi się wydał dobrze wypchany pieniędzmi. Udało mi się wymknąć niepostrzeżenie. W portfelu był paszport, ale za to o wiele mniej pieniędzy, niż się spodziewałem. Na szczęście starczyło na zrealizowanie mojego planu. Pan Almadeia wyrobił sobie drugi paszport, ja zaś wkleiłem w jego starym własne zdjęcie i podrobiłem stempel.

— Pożegnawszy się z żoną niezbyt wylewnie — mówił dalej — aby nie domyśliła się prawdy, gdyż inaczej by mnie nie puściła, przekroczyłem granicę pod innym nazwiskiem. Dopiero w Niemczech, gdy zyskałem pewność, że pan Almadeia wyruszył w świat, zacząłem występować pod jego nazwiskiem. Bez trudu zacząłem bywać w najlepszym towarzystwie, rozglądając się za stosowną kandydatką na żonę. Mój wybór padł na ciebie, gdyż mówiono mi, że jesteś bogata, i dlatego, że jesteś sierotą. Wiem, że twój wuj zasięgał na mój temat informacji w ambasadzie hiszpańskiej. Ale byłem spokojny wiedząc, że ambasada wypowie się o panu Almadei w samych superlatywach, dodając mało precyzyjną informację, że podróżuje aktualnie po świecie. Nie przypuszczałem, by mógł zjawić się w Niemczech, toteż mogłem spokojnie zarzucić sieć. Nie ułatwiałaś mi zadania, moja ty rusalko, ale byłem dobrej myśli. Wiedziałem, że kobiety do mnie lgną, ciotka mi sprzyjała. Myślę, że chciała się ciebie pozbyć z domu. Mój kapitał topniał w oczach, musiałem się spieszyć. I dlatego zakradłem się do twojej sypialni. To ja zadzwoniłem; potrzebowałem świadków, byś nie mogła mnie już odepchnąć. Ciotce wytłumaczyłem, że poniósł mnie temperament, i od razu miałem ją po swojej stronie. Wszystko szło jak z płatka. Jednego tylko nie przewidziałem: że twój majątek, o którym ciotka plotła duby smalone, by zwabić konkurentów do twej ręki, był śmiechu wart. Ot, i cała prawda. Opowiedziałem ci o tym wszystkim, bo wiem, że będziesz milczała we własnym interesie. Zresztą okazałaś się całkiem dzielna i rozsądna, a człowiek potrzebuje czasem się wywnętrzyć.

Jolanta słuchała jego zwierzeń, otwierając coraz szerzej oczy ze zdumienia. Wreszcie odetchnęła z ulgą.

— Ale powiedz mi jedno — poprosiła — czy naprawdę myślałeś, że specjalnie rozdarłam suknię, by cię zwabić do pokoju?

— Nie, nie, bądź spokojna — roześmiał się. — To nie leżało w twojej naturze, wiedziałem o tym doskonale. Ale złościło mnie, że mi się zaczynasz wymykać, więc skorzystałem z okazji. Patrzyć na mnie z odrazą. Słusznie, w porównaniu z takim niewiniątkiem jak ty, ja jestem naprawdę potworem. Zresztą... nie mówmy o tym. Zastanówmy się, co dalej. Potrzebuję tych paru marek — mówię to bez ogródek — które mi dał twój wuj, by się utrzymać na powierzchni. Mam już nowy plan, ale nie zdradzę ci go, gdyż na pewno próbowałybyś mi w tym przeszkodzić. Nie powiem ci więc, dokąd pojedę. Jeśli wolno radzić, wróć do swych krewnych, zawsze to lepsze niż samemu zarabiać na życie.

Dopiero teraz Jo uświadomiła sobie, że wciąż zwraca się per „ty” do tego obcego człowieka, tego hochsztaplera, jakby był naprawdę jej mężem. Odruchowo zaczęła mówić mu „pan”.

— Już panu mówiłam, że nie mogę wrócić ze względu na wuja. Zresztą nie chcę.

— Ale co z tobą... przepraszam... co z panią będzie?

O mały włos nie zdradziła się, że ma odłożone trzy tysiące marek. W ostatniej chwili pohamowała się, uświadomiwszy sobie, że pewnie zabrałby jej te pieniądze.

— Pan Bóg mi dopomoże — odpowiedziała spokojnie.

— Lepiej niech pani na to nie liczy — zauważył mężczyzna, wzruszając ramionami.

— Nie chcę tego słuchać — powiedziała Jolanta, wstając. — Ani przebywać tu z panem dłużej. Poszukam innego hotelu i zastanowię się, co robić dalej.

Mężczyzna podniósł się także i przyglądał jej się niezdecydowany.

— Miałem zamiar dać pani pięćset marek — powiedział — ale proszę: oto tysiąc. Więcej naprawdę nie mogę dać, miałem spore wydatki, i tak ledwie wyjdę na swoje.

Jolanta zawahała się. Wreszcie pomyślała, że to w końcu jej własne pieniądze, a tysiąc marek więcej w jej sytuacji, to nie bagatela. Wzięła więc pieniądze i włożyła je do torebki.

— Chyba nie muszę dziękować? — zauważyła.

— Nie, nie, jesteśmy kwita. A tu jest kwit bagażowy. Na wszelki wypadek nadałem pani bagaż osobno, znajdzie go pani na dworcu w przechowalni bagażu. Aha, oddam pani również akt ślubu. Może pani wujowi uda się anulować to małżeństwo. Ale nie ma pani paszportu. Mógłbym pani zostawić mój na nazwisko Almadei. Kazałem wpisać adnotację, że obejmuje on również panią. Ale obawiam się, że nie byłaby pani bezpieczna z tym dokumentem.

— Nie potrzebuję paszportu, zabrałam własny na nazwisko panienskie. Będę go odtąd używała, gdyż jeszcze przez kilka lat zachowa ważność.

— Aha, widzę, że pani liczyła na to, że odzyska wolność — powiedział mężczyzna kiwając głową z uznaniem. — A więc życzę pani wszystkiego dobrego. Naprawdę zaimponowała mi pani. Taka kobieta jeszcze mi się nigdy nie trafiła. Ciekaw jestem, co z pani wyrośnie, gdy ktoś panią rozbudzi. Zdaje się, że pani jeszcze nigdy nie kochała?

— Odmawiam odpowiedzi na to pytanie — powiedziała Jolanta, dumnie odrzucając głowę.

— A więc już inny panuje w pani sercu. Nic dziwnego, że mi się pani oparła.

— Proszę mnie zostawić w spokoju. Jestem u kresu sił.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na nią dziwnym wzrokiem, po czym wyprostował się dumnie,

— Spełnię i tę prośbę pani; jestem dziś w wielkodusznym nastroju. Choć przyznaję, że czynię to niechętnie. A więc powodzenia. I przepraszam, że postawiłem panią w tak przykrym położeniu. Ale teraz nic się już nie da zmienić. Proszę dać dowód wielkoduszności i pożegnać mnie dobrym słowem.

Jolanta spoglądała na niego niepewnie, obawiając się nawrotu brutalności z jego strony.

— Życzę, by się panu w przyszłości udało prowadzić uczciwe, porządne życie — powiedziała cicho.

— Na taki luksus nie mogę sobie pozwolić — zawołał, machając żywo ręką.

— Ma pan przecież moje pieniądze, czy nie mógłby pan zacząć żyć uczciwie?

— Aby żyć uczciwie, musiałbym mieć o wiele więcej pieniędzy — powiedział. — Proszę nie zapominać, że jestem awanturnikiem, lubię niebezpieczeństwo. Ale... niech się pani za mnie modli, bym nie skończył na szubienicy.

Jolanta wzdrygnęła się ze zgrozą. Widząc to, mężczyzna roześmiał się.

— To straszne, co? Być żoną mężczyzny, który może trafić na szubienicę! Ale nie spieszy mi się do tego. A więc, z Bogiem, Jolanto Warren! Musi pani jeszcze przez godzinę pozostać w tym pomieszczeniu; zamknę panią. Proszę mi dać słowo, że pani nie zadzwoni wcześniej na obsługę hotelową. Radzę pani przenocować w hotelu; zapłacę za panią rachunek do jutra rana. Powiem portierowi, że muszę wyjechać dziś w nocy, zresztą to prawda, a moja żona pojedzie dopiero jutro rano. Tak będzie lepiej dla pani. Gdy się pani obudzi, pomyśli pani, że to wszystko było tylko złym snem.

Mimo wszystko zrobił dla niej więcej, niż można by oczekiwać po człowieku tego pokroju. Jolanta potrafiła to docenić, toteż, by się zrewanżować, powiedziała:

— Dobrze, daję panu słowo, że do rana nie wyjdę z tego pokoju. Proszę zlecić, by za godzinę przyniesiono mi herbatę i kanapki. A teraz bardzo proszę mnie zostawić.

Uklonił się i rzuciwszy jej po raz ostatni spojrzenie, zniknął w swoim pokoju, zamykając drzwi na klucz. Słyszała, jak przez chwilę jeszcze krząta się tam. Drzwi prowadzące z jej pokoju na korytarz zamknął z zewnątrz. Wreszcie usłyszała, jak odchodzi. Wtedy Jolanta skurczyła się nagle w sobie i tak jak stała z jękiem rzuciła się na kanapę. Zdjęła tylko kapelusz, kładąc go na stoliku, gdzie leżał rewolwer i papiery zostawione przez jej pseudomeża. Leżała tak, niezdolna odczuwać ból ani myśleć. Była wolna, wolna — ale okryta hańbą bardziej jeszcze, niż do tej pory.

Tymczasem Giuseppe Pighetti uregulował rachunek, zapłaciwszy również za nocleg i śniadanie „żony”, i opuścił hotel, opowiedziawszy portierowi przygotowaną bajeczkę. Pojechał na dworzec taksówką, którą kazał sobie wezwać. Przedtem jeszcze zamówił i zapłacił kolację dla Jo, którą miano jej zanieść na górę za godzinę.

W pół godziny później siedział już w pociągu jadącym do Paryża. Potem miał zamiar udać się do Monte Carlo — nie tyle po to, by grać, bo na to nie miał dość pieniędzy — lecz z powodu bogatych gości.

## IX

Gerd w towarzystwie doktora Geringa jechał do domu profesora targany niepokojem. Przybywszy na miejsce, oddał służącemu swój bilet wizytowy z dopiskiem: *W nadzwyczaj ważnej sprawie dotyczącej życia i śmierci panny Warren.*

Na szczęście profesor był w domu. Otrzymałszy kartę, mimo iż zajęty pilną pracą, zaraz kazał wezwać gościa. Gerd chciał rozmawiać sam na sam z profesorem, gdyż obecność osób trzecich byłaby w tym wypadku krępująca. Doktor Gering zgodził się z nim, uzgodnili więc, że będzie czekał na Gerda w jego mieszkaniu. Gerd wysiadł z samochodu i poszedł za służącym.

Na jego widok profesor podniósł się z fotela z niepewnym wyrazem twarzy.

— Przyjąłem pana, panie doktorze, mimo iż mam pilną pracę. Sądząc z tego, co napisał pan na bilecie wizytowym, sprowadza pana ważna okoliczność.

— Tak, panie profesorze. Zapewne dziwi pana moje zainteresowanie losem panny Warren. Wszystko panu wyjaśnię, ale najpierw, zaklinam pana, proszę powiedzieć, że ślub pańskiej siostrzenicy jeszcze się nie odbył.

Na jego twarzy malowało się takie wzburzenie, że profesor zaniepokoił się nie na żarty.

— Moja siostrzenica — powiedział — wzięła dziś ślub cywilny z panem de Almadeią i w godzinę później wyjechała wraz z nim w podróż poślubną.

— Boże wszechmogący! — jęknął Gerd, opadając na fotel, który wskazał mu gospodarz.

— Jak mam sobie tłumaczyć pańskie wzburzenie, doktorze? — spytał zdumiony profesor.

Gerd z wielkim wysiłkiem zapanował nad sobą, ale twarz mu silnie pobraźla. Jeśli do tej pory miał jakieś wątpliwości co do swych uczuć dla Jolanty Warren, teraz zyskał ostateczną jasność.

— A więc przyjechałem za późno — powiedział. — Nie spodziewałem się tego. Jak mogłem przypuszczać, że ślub odbędzie się tak szybko po zaręczynach?

— Pan de Almadaeia chciał jak najszybciej podjąć przerwana podróż dookoła świata. Dlatego zgodziliśmy się na tak szybki ślub w urzędzie stanu cywilnego. Ślub kościelny ma się odbyć dopiero w Hiszpanii na zamku Mandrilla.

— Nie wierzę, by kiedykolwiek się odbył — powiedział Gerd z głębokim westchnieniem. — W każdym razie na pewno nie na zamku Mandrilla, panie profesorze.

— Pańskie zachowanie jest dla mnie coraz bardziej niezrozumiałe — rzekł profesor, przyglądając się Gerdowi zdeorientowany.

— Wierzę panu — Gerd skinął głową z rozpaczą. — Słowa, które mam panu powiedzieć, nie przechodzą mi przez gardło. Wiem, że dla pana każda minuta jest droga, ale muszę panu zająć trochę czasu.

— A więc proszę mówić i nie martwić się tym, jakie wrażenie wywrą na mnie pańskie słowa. Wiem, że jest pan człowiekiem poważnym i nie przyszedł pan z powodu głupstwa. Słucham, o co chodzi?

Gerd wyprostował się, rysy mu stężały. Jeśli chce uratować Jolantę, musi działać szybko.

— Dobrze, będę się streszczał. Ale proszę najpierw powiedzieć, czy pan wie, dokąd udała się młoda para?

— Owszem, do Zurychu. Zamówili pokoje w hotelu Baur au Lac. Mają tam zostać kilka dni, a następnie zamieszkać przez parę tygodni w Maloja Palace.

Gerd odetchnął z ulgą.

— W takim razie jadę najbliższym pociągiem do Zurychu, a jeśli tam nie zastanę już panny Warren, podążę za nią do Maloja Palace. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Już wszystko mówię, proszę się przygotować na najgorsze. Człowiek, który ożenił się z pańską siostrzenicą, jest oszustem.

— Panie doktorze, proszę się liczyć ze słowami! — zawołał profesor, blednąc i zrywając się z fotela. — Pan de Almadeia wylegitymował się paszportem, a referencje, jakie otrzymałem na jego temat, były doskonałe.

— Tak, ale dotyczyły one pana Almadei, który w tej chwili znajduje się w drodze z Japonii na Hawaje. Na krótko przed wyjazdem z Hiszpanii jego służący Giuseppe Pighetti, czy jak on się w rzeczywistości nazywa, ukradł mu paszport wraz z gotówką. To właśnie ten służący ożenił się z pańską siostrzenicą jako pan de Almadeia.

Profesor bezsilnie osunął się na fotel.

— To niemożliwe!

— Niestety, mówię prawdę. Wracam prosto z Hiszpanii, byłem na zamku Mandrilla. Pokazałem kustoszowi zdjęcie tego człowieka; rozpoznał go bez trudu. Również charakter pisma pana Almadei jest inny niż tego oszusta — mówił Gerd twardo i zdecydowanie, pokazując profesorowi kartki z notatnika i list właściciela zamku Mandrilla, udostępniony mu przez kustosza.

Profesor przyjrzał się dokładnie próbkom pisma, po czym zwrócił się nerwowo do Gerda:

— Ale jak to się stało, że pan się tym wszystkim zainteresował?

— Zaraz panu powiem, panie profesorze. Kocham pannę Warren od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem, a moja miłość była na tyle gwałtowna, że chyba odbiła się echem w sercu pańskiej siostrzenicy. Tamtego wieczoru dowiedziałem się z jej własnych ust, że... zmuszono ją do zaręczyn z tym człowiekiem. Czy nie rzuciło się panu w oczy, jaka była blada i nieszczęśliwa?

— Naturalnie, zauważyłem to; myślałem, że jest chora. Ale to nonsens, kto miałby ją zmuszać?

— Nie powiedziała mi tego; wiem tylko, że w jakiś sposób została zmuszona do tego kroku. Była nieszczęśliwa, że ma poślubić mężczyznę, którego z całą pewnością nie kocha. Muszę dodać, że tego wieczoru, jeszcze zanim ogłoszono zaręczyny, powziąłem podejrzenie, że ten człowiek nie może być Hiszpanem, a tym bardziej hiszpańskim arystokratą.

Tu Gerd opowiedział profesorowi o wszystkim, czego dowiedział się w Barcelonie, oraz że zlecił sprawę Giuseppe Pighettiemu detektywowi Valuzowi.

— To zupełnie nieprawdopodobna historia, panie doktorze — profesor nie posiadał się ze zdumienia. — Ale pańskie informacje są tak oczywiste, że niepodobna w to wątpić. Nie rozumiem tylko, dlaczego moja siostrzenica powiedziała panu, że została zmuszona do zaręczyn. Ja w każdym razie nie wywierałam na nią najmniejszej presji. Wydawało mi się, że jest to małżeństwo z miłości. Ale teraz sobie przypominam dziwne zachowanie tego pana po ślubie, gdy wypłaciłem mu niewielki posag Jo. Myślałem, że nie ma to dla niego znaczenia; zawsze podkreślał, że jest mu obojętne, czy moja siostrzenica jest biedna czy bogata.

— Jestem pewien, że chodziło mu wyłącznie o posag! — zawołał Gerd. — Starał się o rękę panny Warren, gdyż był pewien, że odziedziczyła duży majątek.

— Duży majątek? — zdumiał się profesor. — Ależ to pomyłka! Ojciec mojej siostrzenicy był rzeczywiście milionerem, ale inflacja pożarła prawie wszystko. Jolanta odziedziczyła zaledwie trzydzieści tysięcy, marek, z tego część poszło na wyprawę. Zostało tylko dwadzieścia pięć tysięcy, które wręczyłem jej mężowi po ślubie. Jak mówię, zachował się wtedy dziwnie.

Profesor opisał całą scenę, kończąc słowami:

— Pomyślałem wtedy, że majątek Jo nie był mu jednak obojętny i że się rozczarował.

Gerd skinął głową. Ze zdziwieniem przyjął do wiadomości, że Jolanta nie była wcale bogata. Ale teraz nie miało to znaczenia. Rzekł więc tylko:

— Na pewno liczył na więcej; nie podjąłby takiego ryzyka z powodu dwudziestu pięciu tysięcy marek. Krążyły pogłoski, że panna Warren odziedziczyła co najmniej pół miliona. Na to właśnie liczył. Chciał przywłaszczyć sobie jej majątek. Bóg raczy wiedzieć, co zamierzał zrobić z tą nieszczęśliwą młodą osobą, i co zrobi z nią teraz, gdy się tak ciężko rozczarował. Bardzo się o nią martwię.

— Nie będąc zamożna — powiedział profesor, patrząc badawczo na Gerda — Jolanta nie mogła poślubić mężczyzny bez środków do życia. Proszę o tym pamiętać. Gdyby nawet była wolna, wasz związek nie byłby możliwy, gdyż, jak mi mówiła moja żona, pan nie posiada żadnego majątku.



— Nie potrzebuję myśleć o pieniądzach, szukając żony — zachnął się Gerd. — Ale nie o to teraz chodzi. Idzie o szczęście i honor panny Warren.

— To prawda, i o mój też. Wybuchnie skandal.

— Nie może dojść do skandalu, trzeba to załatwić dyskretnie. Proszę to zostawić mnie. Pojadę do Zurychu i policzę się z tym łobuzem. Proszę mi tylko zostawić wolną rękę, a nie będzie pan się tym musiał więcej zajmować. Proszę mi wierzyć, że załatwię tę sprawę energicznie i dyskretnie, tak jak mi serce dyktuje.

— Nie wiem, czy mogę pana tym obciążać — wahał się profesor. — Jolanty naprawdę nikt nie zmuszał do tego małżeństwa; święcie wierzyłem w to, że w grę wchodzi wzajemna miłość. Przynajmniej tak mnie zapewniała moja żona.

— A może pańska małżonka wie o jakimś przymusie? Panna Warren mówiła mi o tym wyraźnie. Na pewno nie kłamała w chwili, gdy — jestem tego pewien — nasze serca złączyły się na zawsze. Może więc pańska żona będzie w stanie wyjaśnić tę zagadkę? Ale najpierw proszę o rozkład jazdy, chcę zobaczyć, o której mam najbliższy pociąg do Zurychu.

Oszołomiony profesor podał mu rozkład jazdy. Gerd szybko odnalazł właściwą rubrykę. Pociąg odchodził za dwie godziny. Nie potrzebował więcej czasu, by się przygotować do podróży.

Tymczasem profesor zdecydował się wezwać żonę. Zadzwoił na służącego. Po kilku minutach zjawiła się pani Mally. Przywitała się z Gerdem, zaskoczona i ucieszona zarazem.

Czekając na żonę, profesor przypomniał sobie, że od dawna pragnęła wydać Jo bogato za mąż. Zaczął ją podejrzewać, że mogła wywierać naciski na jego siostrzenicę. Postanowił blefować, licząc na to, że pani Mally się zdradzi.

— Jakie naciski były wywierane na Jo, żeby zgodziła się wyjść za Almadeię? — spytał, patrząc żonie prosto w oczy.

Pani Mally wzdrygnęła się lekko.

— Naciski? Nie rozumiem cię.

Ale profesor znał dobrze swoją żonę. Widząc jej zmieszanie, walał bez ogródek:

— Owszem, rozumiesz mnie doskonale, widzę to po tobie! Zechciej nam zatem zdradzić, jak do tego doszło. Chodzi o los Jo; zanoś się na skandal.

— Ale ja zupełnie nie rozumiem, o co chodzi!  
— Nie ma czasu na wyjaśnienia. Sama to później zrozumiesz. A więc, jakie naciski były wywierane na Jo?

— Ale... — spojrzała niepewnie na Gerda — nie mogę mówić w obecności pana doktora Rainsberga.

— Właśnie w jego obecności musisz wszystko powiedzieć. Tylko on może jeszcze uratować Jo, a nas — od skandalu. Ale musisz zaraz wyznać całą prawdę!

Pani Mally wreszcie przemogła się i opowiedziała o tym, jak to zastała Jo i jej późniejszego narzeczonego w sypialni dziewczyny i jak potem była zadowolona, że, skompromitowawszy Jo w obecności służby, człowiek ten uznał ją za swą narzeczoną.

Panowie patrzyli na nią w przerażeniu. Jakim sposobem ten człowiek mógł się znaleźć wraz z Jo w jej sypialni przy zamkniętych drzwiach? Gerd zmieszał się, profesor zaś spytał bez ogródek:

— Czyżby Jo tak bardzo go kochała, że pozwalała mu na takie poufałości?

— Ależ nie, wysłuchaj mnie najpierw do końca!

I opowiedziała całą historię podkreślając, że Jo tylko ze względu na wuja zgodziła się na zaręczyny. Poczuli się zhańbiona zachowaniem Hiszpana, zwłaszcza że służba wszystko widziała. Nie miała więc innego wyboru jak pozwolić się zrehabilitować panu Almadei i wyjść za niego.

— A więc to tak! Mój Boże, gdyby mi się zwierzyła, może potrafiłbym ją odwieść od tego zamiaru i uchronić przed nieszczęściem! — wybuchnął Gerd.

Pani Mally spojrzała na niego zdumiona.

— Nie rozumiem, o co chodzi. Jo wyszła świetnie za mąż, zawsze jej tego życzyłam.

Profesorowi twarz nabiegła krwią.

— Tak, za oszusta! — krzyknął, nie panując nad sobą. — Wpędziłaś ją w nieszczęście! Boże mój, nawet nie mogę mieć do ciebie żalu, była dla ciebie obcą osobą. Ale ja, ja, jej wuj — to straszne! Mogę się usprawiedliwić tylko nawałem pracy. Zdawało mi się, że zastosowałem wszelkie środki ostrożności.

— Co ty mówisz? Z oszustem? To jakiś kiepski żart. Przecież pytałeś w ambasadzie hiszpańskiej o pana de Almadeię! — mówiła przerażona.

— Tak, ale ten człowiek, któremu rzuciłaś w ramiona nasza biedną Jo, to służący pana de Almadei, który podszył się pod jego nazwisko, legitymując się skradzionym paszportem! W Berlinie polował na majątną pannę. Kto rozpowszechniał te bzdury o bogactwie Jo? Wygląda mi na to, że to twoja sprawka; chciałaś się jej jak najszybciej pozbyć z domu! — krzyczał profesor, nie posiadając się z oburzenia.

— Boże wszechmogący! — wyszeptała pani Mally, osuwając się pół żywa na fotel. — Co za nieszczęście dla nas! Jesteśmy skompromitowani! — jęczała.

— Na pewno. Ale o najważniejszym nie pomyślałaś: że Jo jest zdana na łaskę i niełaskę tego hochsztaplera!

Gerd był wdzięczny profesorowi, że bardziej obchodzi go nieszczęście Jo niż własna reputacja.

— Proszę się uspokoić, panie profesorze. I panią o to proszę. Po prostu trzeba zrobić wszystko, by sprawa nie nabrała rozgłosu, aby przynajmniej poświęcenie panny Warren nie poszło na marne. Musimy teraz myśleć o niej, trzeba ją za wszelką cenę wyrwać z rąk tego przestępcy. Jak mówiłem, wyjeżdżam zaraz do Zurychu. Pan, panie profesorze, ze względu na swoją pozycję, nie może się w to angażować. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by sprawę załatwić. A teraz muszę się już pożegnać.

— Ale, na miłość boską, czy dowiem się wreszcie, co się stało? — lamentowała pani profesorowa.

— Małżonek wyjaśni pani wszystko, proszę pani — powiedział Gerd poważnie. — Ja muszę się spieszyć, by zdążyć na najbliższy pociąg. Niestety upłynęło wiele godzin od wyjazdu panny Warren.

— Ale dlaczego nazywa ją pan uparcie panną Warren?

— Bo mam nadzieję, że jej małżeństwo z tym człowiekiem jest nieważne, skoro zawarł je pod fałszywym nazwiskiem.

— Mój Boże, co za skandal! — rozplakała się ciotka.

Profesor opanował się na tyle, że podszedłszy do Gerda rzekł:

— Niech pan się spieszy, doktorze. Z Bogiem! Oby Bóg pomógł panu ją uwolnić i przywieźć do domu.

— Ale jak wytłumaczymy jej obecność w domu?! — załamała ręce pani Mally.

Mąż zachnął się, lecz Gerd położył mu uspokajająco rękę na ramieniu.

— Pańska małżonka ma rację. Panna Warren nie może na razie wrócić do Berlina. Musimy za wszelką cenę uniknąć rozgłosu. Proszę zostawić mi decyzję, co zrobić z panną Warren, gdy ją odnajdę i uwolnię. Dzięki Bogu, wiemy, dokąd się udała; mam nadzieję, że zastanę ją jeszcze w Zurychu, jeśli nie — podążę jej śladem. Będę pana informował o wszystkim. Jeśli będzie pan chciał do mnie napisać, proszę adresować list na doktora Geringa; on będzie znał moje miejsce pobytu. Przed wyjazdem zostawię mu dokładne instrukcje.

— Chyba będzie go pan musiał wtajemniczyć w całą sprawę?

— Częściowo jest już wprowadzony; ale proszę się nie obawiać — on również pragnie oszczędzić panu przykrości. To człowiek mądry, dyskretny i godny zaufania; proszę się we wszystkim zwracać do niego.

Pożegnawszy przygnębione małżeństwo, Gerd pojechał do hotelu, gdzie czekał na niego doktor Gering, który przygotował dla przyjaciela skromny posiłek. Gerd zmusił się do przełknięcia paru kęsów, ale gdy przyjaciel zachęcał go do dalszego jedzenia, powiedział ochryplym głosem:

— Proszę nie nalegać, jestem zbyt zdenerwowany.

— Aż tak pana wzięło? — spytał Gering.

— Każdej kobiety, choćby była mi obojętna, bronilibym, gdyby znalazła się w takiej sytuacji jak panna Warren. A cóż dopiero kobiety, którą kocham i która teraz, gdy grozi jej niebezpieczeństwo, z każdą minutą staje mi się droższa. Jak tonący brzytwy chwytam się jej obietnicy, że mnie wezwie, gdy mnie będzie potrzebowała i że nie posunie dalej swej ofiary. Kiedyś na pewno ją odnajdę i uwolnię. Tymczasem polecam ją opiece Opatrzności.

— Zawiadomi mnie pan telegraficznie, dokąd pan się uda z Zurychu?

— Oczywiście! A teraz czas już na mnie. Torby podróźnej na szczęście nie zdążyłem rozpakować, moje bagaże są jeszcze na dworcu. Niech tam zostaną, póki pana nie zawiadomię, dokąd je wysłać.

— Dobrze, dobrze! Odprowadzę pana na dworzec, porozmawiamy po drodze.

W godzinę później Gerd siedział w pociągu pospiesznym jadącym do Zurychu.

## X

Jo nie miała pojęcia, że doktor Rainsberg i wuj wiedzą już o wszystkim. Gdy obudziła się nazajutrz z kamiennego snu i rozejrzała po pokoju hotelowym, doznała błęgiego uczucia ulgi, że nie jest już związana z mężczyzną, którego nienawidziła i którym gardziła. Ale zaraz znów zrobiło jej się ciężko na duszy. Uświadomiła sobie, w jaką wpakowała się kabałę. Wzięła ślub z hochsztaplerem — co prawda pod fałszywym nazwiskiem — i tym samym otarła się o świat przestępczy. Czowała, że okryła się hańbą i nigdy już się nie oczyści i nie będzie uczciwym człowiekiem. Jedno było pewne: nigdy już nie wróci do swojej sfery; wytykano by ją palcami.

A potem pomyślała o Gerdzie Rainsbergu. Mój Boże, gdyby on wiedział, co jej się przytrafiło! Odwróciłby się od niej ze wstrętem. Nie, nie — raczej litowałby się nad nią, a to odgrodziłoby ich od siebie równie wysokim murem. Miała nie tylko zamkniętą drogę do swojej sfery, ale ponadto nie mogła marzyć o ponownym spotkaniu z Rainsbergiem. Musi zniknąć z jego życia, tak samo jak zniknęła z życia wuja. Zacząć nowe życie, zdana tylko na własne siły.

Z rozpaczliwą determinacją podniosła się z łóżka i zaczęła się ubierać. Najpierw musi opuścić ten hotel, by zerwać ostatnią nić łączącą ją z człowiekiem, który ją tak głęboko upokorzył. Ubierając się, myślała gorączkowo, dokąd skierować kroki po wyjściu z hotelu.

Zadzwoiła; przyniesiono jej śniadanie; zmusiła się, by zjeść kilka kęsów. Nie wolno jej się rozchorować, potrzebuje dużo sił, by przebić się samotnie przez życie. Wtem na tacy dostrzegła kopertę. W środku była kartka tej treści:

*Zapomniałem Pani powiedzieć, że tu w hotelu nosi Pani nazwisko Bernd, pod którym nas zameldowałem. Przyjechała Pani z Berlina. Proszę jak najszybciej opuścić hotel i wrócić do panińskiego nazwiska.*

Bilecik nie był podpisany, ale Jo wiedziała, kto go przysłał. A więc przebywała w hotelu pod fałszywym nazwiskiem. Jakie to upokarzające! Czując się współwinowajczynią, spiesznie opuściła hotel. Postanowiła wyjechać z Zurychu. Uda się do Lucerny, tam zamieszka w jakimś pensjonaciku pod panińskim nazwiskiem i zastanowi się, co dalej.

Gdy znalazła się na dworcu, na peron wtoczył się akurat pociąg. Jolanta spojrzała w tłum i zdrętwiała: rozpoznała smukłą sylwetkę Gerda Rainsberga. Błada jak ściana, ślaniając się na nogach, ukryła się za tablicą z rozkładami jazdy. Postawiła na peronie walizczkę i oparłszy się o słup, czekała, aż Gerd ją minie. Odprowadziła go szklanym spojrzeniem. Ach, gdyby mogła go zawołać, uciec się pod jego opiekę, co to by była za rozkosz! Ale nie miała do tego prawa.

Po chwili zniknął jej z oczu w tłumie. Targnęła nią gwałtowna tęsknota, pragnienie, by jego wzrok po raz ostatni spoczął na niej, by usłyszeć jeszcze jego głos. Ale musiała pozwolić mu odejść. On i ona — wyrzutek społeczeństwa — nie mogli już mieć ze sobą nic wspólnego.

Zastanawiała się, czego on szuka w Zurychu. Doktor Gering twierdził, że pojechał do Holandii. Ale prawda, mówił też, że Gerd Rainsberg szybko podejmuje decyzje i bez przerwy podróżuje. Drżąc z podniecenia, próbowała sobie wyobrazić, co by zrobił, gdyby ją tu spotkał. Och, na pewno by się ucieszył, podbiegłby do niej, ujął ciepło jej dłoń i pytał ją o rzeczy... których nie mogła mu zdradzić. Boże! Po krótkiej rozmowie musieliby się rozstać, a wtedy ból byłby jeszcze dotkliwszy.

— Bóg z tobą, Bóg z tobą! — szeptała.

Wziąwszy walizczkę, ruszyła na peron. Akurat był podstawiony pociąg do Lucerny. Miała bilet trzeciej klasy, gdyż musiała oszczędzać. W przedziale było pusto i Jolanta pograżyła się w rozpacz. Ale po chwili zaczęli się dosiadać inni pasażerowie i to ją wyrwało z letargu, zmuszając do trzymania się w karbach.

Wreszcie pociąg ruszył. Jolancie serce wyrywało się do Gerda. Chciała wyskoczyć z pociągu i biec, biec, póki go nie dopędzi. Nie przyszło jej do głowy, że przyjechał do Zurychu dla niej. Ale gdyby nawet o tym wiedziała — cóż, byłoby to dla niej pocieszeniem, ale i tak ukryłaby się przed nim.

W przedziale pasażerowie zaczęli rozmawiać; Jolanta przysłuchiwała się, znajdując w tym chwilowe zapomnienie. Jakie to dziwne, że ci ludzie rozmawiają o sprawach zupełnie jej nie dotyczących.

Podróż minęła szybko. Wsiadłszy z pociągu, Jolanta poszła peronem i po chwili znalazła się przed budynkiem dworca. Przed nią otwierał się malowniczy widok na Jezioro Czterech Kantonów. Na przystani dymiło kilka parowców, gotowych do odjazdu. Ale ona nigdzie się nie wybierała. Wolno weszła na most i oparła się o balustradę. U jej stóp leżało jezioro w całej swej krasie. Na horyzoncie sterczał ostry szczyt, ku wodzie schodziły tarasy wielkich luksusowych hoteli. Rozejrzała się niespokojnie dokoła. Gdzie znajdzie dach nad głową? Czy ma wynająć pokój w hotelu? Może raczej poszuka taniego pensjonatu? W każdym razie musi zagłębić się w ciasne uliczki śródmieścia — tu nad brzegiem są najdroższe hotele.

Po drodze wstąpiła do apteki, by kupić aspirynę. Aptekarz wzbudzał zaufanie, spytała go więc, czy może jej wskazać tani, czysty pensjonat. Okazało się, że kilka domów dalej znajduje się mały hotelik, gdzie z reguły zatrzymują się samotnie podróżujące panie.

Jolanta poszła we wskazanym kierunku i w pół godziny później siedziała już w ciasnym, ale schludnym i przyjemnym pokoiku, szczęśliwa, że wreszcie ma dach nad głową, dający jej poczucie bezpieczeństwa.

Kazała zaraz przynieść bagaże z dworca, by nie płacić za przechowalnię. Ale nie rozpakowała waliz; wszystko, czego potrzebowała, miała w podręcznej walizeczce. Nie wiedziała, jak długo wypadnie jej tu zostać.

W południe podano jej prosty, ale bardzo smaczny i posilny obiad. Uświadomiła sobie, jak mało w ostatnim czasie jadła. Teraz młodość dała o sobie znać. Zjadła wszystko z wilczym apetytem.

Właścicielka pensjonatu zażądała zapłaty za tydzień z góry. Jolanta musiała więc pójść do banku rozmienić pierwszy banknot tysiącmarkowy. Na razie wymieniła jednak tylko trzysta marek na franki

szwajcarskie, nie wiedziała bowiem, jak długo pozostanie w tym kraju. Będzie to zależało od tego, czy znajdzie tu pracę.

Gdy wróciła do swego pokoiku, przyszło jej na myśl, że powinna napisać kilka słów do wuja. Ale co? Długo się nad tym zastanawiała. Nie chciała łamać słowa danego Giuseppowi Pighettiemu. Trzy miesiące przymusowego milczenia — to by wypadło do połowy sierpnia. Ciekawe, gdzie ją wtedy losy rzucą?

Po dłuższym zastanowieniu napisała:

*Kochany Wuju!*

*Zdziwisz się, że piszę do Ciebie z Lucerny. Jestem tu przejazdem. Ale Zurych opuściłam sama, musiałam się bowiem rozstać z Alfonsem. Nie mogę Ci jeszcze zdradzić, jak do tego doszło, gdyż dałam mu słowo, że będę milczała przez trzy miesiące. W połowie sierpnia otrzymasz szczegółowe informacje. Błagam cię usilnie, byś do tego czasu nie podejmował żadnych działań w mej sprawie. Spytaj Cio-ci, dlaczego zgodziłam się na ten ślub i ile mnie to kosztowało. O jednym pragnę Cię zapewnić: nie mogłam postąpić inaczej. Jeśli to możliwe, nie mów nikomu, że rozstałam się z Alfonsem, ani o tym, co mam Ci jeszcze do powiedzenia. Chcę zniknąć z Twego życia na zawsze, by nie ściągać na Ciebie dalszych kłopotów. Spróbuję zarabiać na swe utrzymanie. Nie martw się o mnie. Przewidywałam, że będę musiała sama się utrzymywać, oszczędziłam więc z wyprawy trzy tysiące marek. Tysiąc dał mi potem Alfonso z pieniędzy, które otrzymał od Ciebie, gdyż nie jest wcale bogaty. Ożenił się ze mną dla pieniędzy i był bardzo rozczarowany, że mój majątek jest taki skromny. Zatrzymał więc wszystkie pieniądze dla siebie z wyjątkiem owego tysiąca marek. Tyle tylko mogę Ci napisać. Jeszcze i o tym wiedz, że zabrałam ze sobą mój paszport wystawiony na panięńskie nazwisko — dzięki Bogu, pod każdym względem mam prawo znów go używać! Niebiosa nie dopuściły, bym upadła jeszcze niżej. Proszę Cię więc jeszcze raz, nie rób nic w mojej sprawie, tylko czekaj na list w połowie sierpnia.*

*Przepraszam, że muszę Cię pozostawić w niepewności, ale gdybym w ogóle nie napisała, byłoby jeszcze gorzej. Serdeczne pozdrowienia dla Ciebie i Cio-ci; niech Ci opowie wszystko, co wie.*

*Twoja siostrzenica Jo*



Jo z ulgą odłożyła pióro. Przeczytała list, by się upewnić, czy nie wypsnęło jej się coś, o czym obiecała milczeć. Nie, wszystko w porządku — może go tak wysłać.

Wrzuciwszy list do skrzynki, poszła na spacer nad jezioro. Kupiła w kiosku kilka gazet, by przestudiować ogłoszenia o pracy. Nie mogła zbyt długo pozostawać bez zajęcia, gdyż inaczej cały jej kapitał stopnieje w okamgnieniu. Na szczęście miała teraz pod dostatkiem ubrań i bielizny. Wiedząc, że nigdy nie wróci do domu wuja, zabrała ze sobą całą wyprawę ślubną.

Gerd Rainsberg nawet nie podejrzewał, że na dworcu otarł się o Jolanę. Wsiadł w taksówkę i pojechał do hotelu Baur au Lac. Podróż była dla niego męczarnią; gorączkowo wyczekiwał chwili, gdy wreszcie wyrwie Jolanę z niegodnego położenia, w jakim się znalazła. Oby tylko przybył w porę, by zapobiec najgorszemu!

Pędem wbiegł do recepcji hotelu, pytając o pana de Almadeię z małżonką. Z przerażeniem dowiedział się, że takich państwa nie ma, niestety, wśród gości hotelowych. Gerd stał jak skamieniały. Jak to nie ma?

Przyszło mu na myśl, że fałszywy Hiszpan mógł się zameldować w hotelu pod jeszcze innym nazwiskiem. Spytał o nazwiska gości przybyłych od przedwczoraj do dziś, ale nic nie pasowało do poszukiwanych. Z kolei opisał młodą parę, na co otrzymał odpowiedź, że od wczoraj w hotelu zamieszkało tylko starsze małżeństwo między czterdziestką a pięćdziesiątką, nie licząc osób samotnych.

Gerd był zdeprimowany. Personel zaczął mu się przyglądać podejrzliwie, toteż zamówił pokój i zażądał blankietu na telegram. Telegram, adresowany do profesora, brzmiał: *W Baur au Lac nikogo nie zastałem, jadę jutro do Maloja. Rainsberg.*

Kazał sobie przysłać do pokoju księgę meldunkową, ale przewertowawszy ją dokładnie nie znalazł żadnego śladu. Jakże by się zdziwił, gdyby wiedział, że poszukiwane osoby zameldowały się w podrzędnym hotelu jako „pan Fryc Bernd z małżonką”!

Kiedy poszukiwania nie dały rezultatu, Gerd pojechał nazajutrz do St. Moritz, a stamtąd w góry do Maloja Palace. Ale i tam nie znalazł śladu poszukiwanych osób. Strach ścisnął go za gardło; po raz pierwszy

w życiu był zupełnie bezradny. Postanowił poczekać kilka dni w nadziei, że może jednak spodziewani goście się pojawią. Przyglądał się pilnie wszystkim nowo przybyłym, których zresztą nie było wielu: kilku Amerykanów i Anglików, jakieś małżeństwo z Saksonii i paru innych Niemców.

A Jolanty ani śladu! Nie zjawiła się ani sama, ani z tym łobuzem, który miał czelność nazywać się jej „mężem”. Gerd o mało nie rozchorował się ze zgrzyoty; cierpiał straszliwie, że nie może nic uczynić dla Jo.

Wreszcie, gdy miał już opuścić górską miejscowość, dostał telegram od profesora: *Dostałem list od Jolanty z Lucerny. Wysyłam ekspresem — proszę czekać.*

Gerd odetchnął. Bogu dzięki — nareszcie iskierka nadziei.

Obliczał, kiedy może dostać przesyłkę. Przypuszczalnie nie wcześniej niż za dwa dni. W takim razie zdąży zrobić wycieczkę do Lucerny i rozpyta się w tamtejszych hotelach. Wyglądało na to, że Jolanta z rzekomym Almadeią pojechali prosto tam, nie zatrzymując się w Zurychu. Może jeszcze się zjawią w Maloja. Nawet na pewno. Ale w takim razie lepiej nie ruszać się z miejsca i tu czekać na list od profesora. Może otrzyma jakąś wskazówkę.

Dwa dni oczekiwania zdały mu się wiecznością. Wreszcie rankiem trzeciego dnia wręczono mu przesyłkę ekspresową. Profesor skreślił naprędce kilka słów:

*Szanowny panie Doktorze!*

*Załączony list od mej siostrzenicy otrzymałem dziś rano i natychmiast go Panu wysyłam. Dowie się Pan z niego, że, dzięki Bogu, uwolniła się od tego człowieka. Pewne informacje w jej liście uspokoiły mnie trochę. Ale przeważnie pisze o smutnych rzeczach. Biedne dziecko błąka się teraz samotnie po świecie. Czy wolno mi liczyć nadal na Pańską dobroć i prosić, by Pan poszukał jej w Lucernie? Wróciła do panińskiego nazwiska — to powinno Panu ułatwić zadanie. Będę Panu bardzo wdzięczny. Mam tu pilne operacje i nie mogę krokiem ruszyć się z Berlina. Może uda się Panu odnaleźć tę biedną dziewczynę i zaopiekować się nią, tak jak to uzgodniłszy. Nie wydaje mi się, by mogła zaraz wrócić do domu. Może będzie*

*najlepiej, gdy zamieszka na pewien czas w jakiejś cichej miejscowości nad Jeziorem Czterech Kantonów. Serdecznie Panu dziękuję za wszystko, co Pan dla nas robi, i proszę o dalsze wiadomości.*

Przebiegłszy kartkę oczyma, Gerd wyjął z koperty list Jo i czytał go do głębi wzburzony. Dwie rzeczy podziałały na niego uspokajająco. Po pierwsze, że Jo miała pieniądze, a po drugie, że pod każdym względem ma prawo używać znów panieńskiego nazwiska.

*Niebiosa nie dopuściły, bym upadła jeszcze niżej.*

Gdy przeczytał te słowa, kamień spadł mu z serca. Dzięki Bogu, Jo uwolniła się od tego lotra, nieważne, w jaki sposób. Uspokoił się. Był pewien, że ją odnajdzie wcześniej czy później — musi ją odnaleźć! W najgorszym razie dowiedzą się wszystkiego w sierpniu. Do tego czasu na pewno starczy jej pieniędzy.

Tak jak stał, pojechał do Lucerny, mając nadzieję, że ją odnajdzie i pomoże urządzić się w nowej sytuacji życiowej. Przede wszystkim potrzeba jej teraz spokoju. Musi najpierw zapomnieć o tym, co przeszła. Nie będzie się jej narzucał, po prostu pomoże jej się urządzić i będzie czekał, aż... ach, mój Boże, aż zgodzi się zamieszkać u jego boku!

Przeczytał list jeszcze kilka razy, zawiadomił profesora, że jedzie do Lucerny i ruszył w drogę. Wziął taksówkę do St. Moritz, gdzie w ostatniej chwili zdążył na pociąg odchodzący do Lucerny.

Przyjechawszy na miejsce, obszedł najpierw wszystkie hotele w mieście, pytając o pannę Jolantę Warren. Ciekaw był, czy Jo wie, że mężczyzna, z którym wzięła ślub w urzędzie stanu cywilnego, nosi fałszywe nazwisko. A może, chcąc się jej pozbyć, powiedział jej, że nie jest Alfonsem de Almada. Musiał jej wiele o sobie powiedzieć, skoro zażądał od niej aż trzech miesięcy dyskrecji. A zresztą, wszystko jedno, jak to się odbyła, najważniejsze, że Jolanta była wolna — dla niego. Co za szczęście! Wolna pod każdym względem.

Był pewien, że ją szybko znajdzie. Tymczasem w żadnym hotelu jej nie było. Na policję lub do biura meldunkowego miał zamiar udać się tylko w ostateczności. Trzy dni był już w mieście, przebiegając ulice, zaglądając w oczy młodym, szczupłym dziewczynom — wszystko na nic.

Wreszcie zdecydował się pójść do biura meldunkowego. Okazało się, że kilka dni temu niejaka panna Jolanta Warren zamieszkała w

pensjonacie pani Hertzing. Gerd o mało nie oszalał z radości. Odnalazł ją nareszcie! Teraz już wszystko będzie dobrze.

Pospieszył do pensjonatu, gdzie dowiedział się, że panna Warren znalazła posadę i wyjechała dwie godziny temu.

Ta wiadomość zwała go z nóg. Było to stokroć gorsze rozczarowanie niż wszystko, co przeżył do tej pory. Strapiony spytał, czy właścicielka nie wie, dokąd młoda osoba się udała. Pani Hertzing zaprzeczyła. Panna Warren powiedziała jej tylko tyle, że to był szczęśliwy przypadek, że dostała tę posadę. Ma zapewniony byt na dłuższy czas.

Przynajmniej ta wiadomość ucieszyła Gerda. Usiłował dowiedzieć się na dworcu, w jakim kierunku udała się młoda dama o kasztanowatych włosach i orzechowych oczach, ale nikt nie umiał udzielić mu odpowiedzi. Ruch na dworcu jest ogromny. A dwie godziny temu odjechał ekspres „Złoto Renu” i jakiś pociąg do Zurychu, nie licząc tego, który pojechał do Włoch przez tunel Gotharda.

To był jedyny rezultat jego wysiłków. Wrócił jeszcze raz do pensjonatu, poddając właścicielkę ponownemu szczegółowemu przesłuchaniu. Ale dowiedział się tylko tyle, że panna Warren wprowadziła się niecały tydzień temu, z nikim się nie spotykała i wychodziła codziennie po gazety. Czytała ogłoszenia, nie mogąc znaleźć pracy. A tymczasem wczoraj przybiegła do domu rozpromieniona mówiąc, że szczęśliwy traf nadarzył jej posadę, o jakiej nigdy nie marzyła i która zapewni jej byt na dłuższy czas.

Gerd musiał się zadowolić tymi informacjami. Poprosił tylko jeszcze o pokazanie gazet, które panna Warren kupiła w ciągu ostatnich dwóch dni. Spodziewał się znaleźć tam jakiś punkt zaczepienia dla swych poszukiwań. Otrzymawszy żądane dzienniki, zamknął się w swoim pokoju w hotelu i przestudiował sumiennie działy ogłoszeń. Ale nie znalazł nic, co mogłoby go naprowadzić na właściwy trop.

Rzucił gazety w kąt. Nie miało sensu tkwić tu dłużej. Trzeba było czekać, aż Jo napisze po trzech miesiącach. Ale trzy miesiące dla zakochanego człowieka, to cała wieczność. Im więcej przeszkód piętrzyło się na drodze do odnalezienia Jo, tym gorętsza stawała się jego tęsknota.

Nie mogąc zrobić nic, by odnaleźć Jo, zrezygnowany wrócił do Berlina.

## XI

A w jaki sposób Jo tak prędko znalazła tak dobrą pracę? Było to tak: Zniechęcona spacerowała pośród drzew nad brzegiem jeziora, gdy wtem ujrzała starszą panią pogrążoną w myślach. Właśnie weszła na jezdnię chcąc przejść na drugą stronę ulicy i nie zauważyła samochodu, który z dużą prędkością wyjechał zza rogu. Widząc, że starsza pani znalazła się w niebezpieczeństwie, Jo bez namysłu podbiegła i w ostatniej chwili ściągnęła ją z jezdni prawie spod kół pędzącego auta.

Starsza pani, zupełnie zdezorientowana, gapiała się na Jo, pytając po angielsku:

— Co się ze mną stało?

— Nie zauważyła pani samochodu i byłby panią przejechał. Cieszę się, że uratowałam panią przed niebezpieczeństwem.

Zaprowadziła niedoszłą ofiarę na ławkę pod drzewami i tam dopiero puściła ją wolno. Uratowana odetchnęła głęboko i podniosła oczy na Jo.

— Dziękuję pani, och, dziękuję po tysiącokroć. Sama jestem sobie winna, że znalazłam się w niebezpieczeństwie. Byłam zamyślona, a wtedy nic nie widzę i nie słyszę. Jak mam pani dziękować?

— Nie musi pani dziękować. Cieszę się, że ustrzegłam panią przed nieszczęściem.

— Pani jest bardzo bystra i ma refleks.

— Wychowałam się w wielkim mieście — uśmiechnęła się Jo — i jestem obyta z ruchem wielkomiejskim. Zauważyłam, że pani jest zamyślona i martwiłam się, jak pani przejdzie przez jezdnię. I wtedy zobaczyłam ten samochód. Podbiegłam i ściągnęłam panią z jezdni, to wszystko.

— Tak, ale dla mnie to oznacza zdrowie, a może i życie. Jeszcze raz bardzo pani dziękuję — tu kobieta ucisnęła dłoń Jo, uśmiechając się sympatycznie.

— Czy mogę jeszcze coś dla pani zrobić? — spytała Jo grzecznie.

— Ach, jeśli ma pani chwilę czasu, proszę tu usiąść obok mnie. Mam uczucie, jakbym jeszcze nigdy w życiu nie była taka samotna, jaka będę, gdy pani mnie opuści. A przecież przez pół życia byłam sama.

Jo usiadła obok swej towarzyszki, wdychając ciężko.

— Tak, samotność potrafi mocno doskwierać.

— No, pani chyba tego jeszcze nie doświadczyła? Taka młoda, ładna panienka zawsze może liczyć na towarzystwo.

— Są takie sytuacje w życiu, gdy samotność jest nieunikniona, nawet gdy się jest bardzo młodym.

— A więc pani jest sama na świecie?

— Tak, całkiem sama.

— To zupełnie tak samo jak ja. Tylko że ja jestem starą kobietą. Widzi pani, mam wielu przyjaciół... jeśli to można nazwać przyjaźnią. Gdy wyjeżdżałam z ojczyzny, przyjaciele radzili mi, bym nie wybierała się sama w tak daleką podróż. Bo rzeczywiście zamierzam pojechać daleko. Ale ja ich wyśmiałam. Cóż to, mam sobie na stare lata brać przyzwoitkę, która będzie mi tylko przeszkadzać? Przyjaciele przekonywali mnie, że mogę w drodze zachorować i jeszcze będę żałować, że nie wzięłam nikogo ze sobą. Chyba mieli rację. Ale muszę się pani wreszcie przedstawić: jestem Ellen Gley.

Jolanta aż podskoczyła z wrażenia. Znała dobrze to nazwisko.

— Ellen Gley? — powtórzyła. — Na pewno jest pani Angielką. Czyżby pani była tą pisarką?

— Rzeczywiście. Słyszała pani o mnie?

— Znam wszystkie pani książki, czytałam je w oryginale, choć są już dobre tłumaczenia niemieckie. Och, cieszę się podwójnie, że panią uratowałam.

— Wie pani, gdy spoglądałam na ten samotny szczyt, przyszedł mi do głowy pomysł na nową powieść, a w takich razach tracę zupełnie poczucie rzeczywistości. Nie widzę, co się wokół mnie dzieje, i nie raz zdarzały mi się nieprzyjemne przygody. Ale nigdy jeszcze taka poważna jak dziś. Pani jest Niemką?

— Tak, proszę pani. Pozwoli pani, że też się przedstawię: nazywam się Jolanta Warren.

— Odbywa pani samotnie podróż dla przyjemności?

— Nie, nie; szukam pracy, muszę zarabiać na utrzymanie. Mój ojciec stracił majątek w wyniku inflacji, a ja mam tylko kilka tysięcy marek, które chcę zachować na czarną godzinę. Właśnie wybierałam się po gazety; studiuję ogłoszenia. Do tej pory nie udało mi się nic znaleźć.

Ellen Gley przyglądała jej się ze współczuciem, po czym zawołała impulsywnie:

— Może dlatego nie zabrałam z Anglii towarzyszki, by tu znaleźć kogoś, do kogo poczuję sympatię? Trzeba pani wiedzieć, że potrafię znieść w swoim otoczeniu tylko takie osoby, do których czuję sympatię. A pani od pierwszej chwili mi się spodobała. I dowiodła pani, że jest pani rezolutną młodą damą. Czy chce pani u mnie pracować? Towarzyszyć mi w podróży po świecie? Stąd udaję się do Włoch, w Genui wsiadam na statek i płynę dalej. Chcę odwiedzić siostrę, która mieszka na Jawie, a której nie widziałam, od kiedy wyszła za mąż za pewnego Holendra. Zostanę u siostry tak długo, jak długo wytrzymam. Chcę tam napisać moją nową powieść. Ten szczyt po drugiej stronie jeziora skojarzył mi się z ziejącymi ogniem górą na Jawie i wtedy przyszedł mi do głowy pomysł. Ale nie wolno pozwolić podróżować samej takiej starej, roztargnionej kobiecie jak ja; moi przyjaciele mieli rację. Moja siostra również przestrzegала mnie w liście, bym dobrała sobie odpowiednią towarzyszkę podróży. Widzę, że oni wszyscy mieli rację. A skoro pani jest sama na świecie, może zgodzi się pani towarzyszyć mi w podróży? Być moją pielęgniarką w razie choroby? Znalazłyby się dla pani różne zajęcia. Pilnować mojej garderoby, uważać na mnie, opiekować się mną. Chciałaby pani?

— To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe! — wykrzyknęła Jo i oczy jej zabłysły. — Ale ja nie mam żadnych referencji, proszę pani.

— Nie potrzebuję referencji. Zdaję się na moją znajomość ludzi, która rzadko mnie zawodzi. Ale muszę wyjechać już jutro. Zdąży się pani przygotować?

— Jestem w każdej chwili gotowa.

— Doskonale! Mówi pani świetnie po angielsku, gdzie się pani tego nauczyła?

— Byłam dwa lata w angielskim pensjonacie, a potem jeszcze rok we Francji, by przyswoić sobie także francuski.

— Och, to bardzo ciekawe. Ja mówię tylko w moim ojczystym języku.

— Ale za to opanowała go pani do perfekcji, jak wskazują pani dzieła!

— Ach, nie, proszę mi nie prawić komplementów. Czy pani wie, że byłam biedną dziewczyną z ubogiej rodziny, gdy zaczęłam pisać? Prawda, że od razu osiągnęłam sukces. Ale do języków nie mam zdolności. W tym zdaję się na panią. Co prawda, mówiono mi, że z angielskim nigdzie nie zginę. Do tej pory jakoś szło: Francja, Niemcy, Szwajcaria. Ale przy pani nic mi nie grozi, skoro zna pani nawet francuski.

— Mówię też dość dobrze po włosku, ale z pisaniem jest gorzej.

— Niech pani przestanie! Podziwiam ludzi, którzy mają zdolności do języków. Próbowałam na różne sposoby nauczyć się niemieckiego i francuskiego, ale nic nie wchodziło do tej mojej głupiej łepoty.

— Pewnie dlatego, że pani była zbyt zajęta pisaniem.

— To prawda, napracowałam się w życiu, mogę to powiedzieć bez zarozumiałstwa. Tylko z językami nie wyszło. Ale w pani zyskuję usta mówiące za mnie czterema językami, i do tego ładne. A więc jedzie pani ze mną?

— O, bardzo chętnie!

— I nic tu pani nie trzyma?

Jolanta pomyślała o Gerdzie, ale odrzekła dzielnie:

— Nic, i cieszę się, że pani chce ze mną spróbować. Będę się bardzo starała, by pani była ze mnie zadowolona.

— O to jestem spokojna. Boję się tylko, czy pani będzie ze mnie zadowolona. Starzy ludzie mają swoje dziwactwa. Proszę nie zwracać na to uwagi, to mi samo przechodzi. Pisarstwo to bardzo wyczerpujące zajęcie.

— A pani napisała tyle pięknych książek!

— Rzeczywiście podobają się pani?

— To jedyne książki, jakie zabrałam ze sobą w podróż.

— Naprawdę? Wobec tego na pewno będziemy się dobrze rozumieli. A teraz proszę pójść ze mną; mieszkam w hotelu Palace nad brzegiem jeziora. Tam dowie się pani, z kim pani ma do czynienia.



— Pani książki zastąpią mi najlepsze referencje — przerwała żywo Jolanta, zatapiając błyszczące spojrzenie w oczach starej pisarki.

— Jakie pani ma dobre, piękne oczy, moje dziecko — zauważyła Angielka. — Musi pani być łagodna, a zarazem dumna i czysta. A teraz chodźmy do hotelu; spiszemy umowę i omówimy stronę finansową naszego przedsięwzięcia. Myślę, że będzie pani zadowolona. Nie muszę oszczędzać; nie dlatego nie wzięłam nikogo do towarzystwa. Jestem bardzo pracowita i dużo zarabiam; moje książki są bardzo poczytne, co mnie samą czasem zdumiewa. Nie mam wygórowanego mniemania o swoich produkcjach.

— Myślę, że pani nie mogłaby być zarozumiała. Cenię pani książki, ale nie podejrzewałam, że pani jest tak prosta i sympatyczna. Ale jest to cecha wielkich ludzi. Proszę nie myśleć, że pani schlebiam. Po prostu, jestem szczęśliwa, że pani jest właśnie taka i że chce mnie pani zabrać ze sobą. Jestem sama na świecie i mam za sobą ciężkie przeżycia. Zanim panią poznałam, widziałam czarno przyszłość. Teraz czuję się nareszcie bezpiecznie. Chciałabym się pani za to odwdziżyć.

— Odwdzięczyła mi się pani z góry. Gdyby nie pani, leżałabym teraz w szpitalu z ciężkimi obrażeniami lub nie byłoby mnie na świecie.

Pani Gley podniosła się z ławki, Jo podała jej ramię. Szły obok siebie gawędząc. W pewnej chwili starsza pani wybuchnęła wesołym śmiechem.

— Nawet nie przypuszczałam, że będę miała taką sympatyczną towarzyszkę podróży. Czy to przypadek, czy zrządzenie Opatrzności?

— O, jestem pewna, że zrządzenie Opatrzności.

— Przyjmijmy więc, że niebiosa, zetknąwszy nas ze sobą, szykują dla nas jakąś miłą niespodziankę.

Tak rozmawiając doszły do hotelu. Pani Gley pociągnęła Jolantę do recepcji i powiedziała do urzędnika:

— Proszę pokazać tej młodej damie mój paszport, który zdeponowałam u państwa w sejfie wraz z kosztownościami i pieniędzmi.

Gdy urzędnik przyniósł paszport, pisarka zmusiła Jo, by zapoznała się z jej personaliami. Potem poszły do apartamentu pani Gley, gdzie z balkonu roztaczał się piękny widok na jezioro. Przez chwilę podziwiała go w milczeniu, wreszcie pani Gley wykrzyknęła wesoło:

— Bardzo dobrze! Potrafi pani zachwycać się pięknem przyrody w skupieniu. Nie cierpię ludzi, którzy rozplývają się w achach i ochach. Przeszkadza mi to w rozkoszowaniu się naturą. Dobrze, a teraz sporządę umowę na mojej niezawodnej maszynie do pisania.

— Może ja to zrobię, a pani tylko podyktuje.

— Potrafi pani również pisać na maszynie? — zdumiała się pani Gley.

— Oczywiście. Mój ojciec dużo mi dyktował.

Chciała już powiedzieć „wuj”, ale ugryzła się w język. Wszak zwierzyła się swej towarzyszce, że nie ma bliskich.

— Widzę, że jest pani naprawdę świetnym nabytkiem — rozpromieniała się pani Gley. — Czasami maszyna do pisania wydaje mi się dzikim, nieokiełznanym rumakiem, boję się jej tknąć, zwłaszcza gdy mam do napisania list urzędowy czy coś takiego. Prace pisarskie załatwiam sama, dyktowanie rozprasza mnie. Ale korespondencję zwalę na panią.

Jak pani widzi, już zaczynam panią wykorzystywać. Spiszmy więc czym prędzej umowę.

I pani Gley podyktowała Jolancie tekst umowy. Jo nie mogła narzekać. Umowa gwarantowała jej przynajmniej roczny angaż i solidne uposażenie, a ponadto wyżywienie i podróże na koszt pracodawcy. Po upływie roku umowa mogła być przedłużona na kilka lat za obopólną zgodą. Potem panie umówiły się, że spotkają się następnego dnia na dworcu. Pisarka powiedziała Jo, o której odchodzi pociąg i obiecała kupić dla niej bilet. Spytała jeszcze ją o paszport, który dziewczyna miała przy sobie. Był ważny na wszystkie kraje świata. A więc i to było w porządku. Trzeba będzie tylko zdobyć kilka wiz, ale to nie przysporzy im większych trudności.

Tym sposobem omówiły wszystko co konieczne i Jo wróciła do pensjonatu, by się przygotować do podróży. Walizy były wciąż jeszcze spakowane, więc poszło jej to gładko. Skończywszy, zastanowiła się, czy nie donieść wujowi, że dostała pracę. W końcu doszła do wniosku, że lepiej, aby jak najmniej o niej wiedział, łatwiej mu będzie wtedy wybrnąć z sytuacji, gdyby ktoś o nią pytał. Trudno, poczeka do sierpnia na jej spowiedź generalną. Pewnie będzie musiała wysłać list dużo wcześniej, by zdążył na czas, wiedziała bowiem, że zawędruje daleko u boku pani Gley.

Zrezygnowała również z napisania listu do Gerda Rainsberga. Im szybciej o niej zapomni, tym lepiej dla niego. Pozostanie na zawsze w jej sercu, lecz jej obraz z pewnością zblednie z czasem w jego pamięci. Mężczyźni tak łatwo zapominają! Tak się przynajmniej wydawało Jo. W jej smutnym życiu tliła się iskierka światła; wdzięczna losowi, że spotkała na swej drodze Gerda, zawsze będzie pamiętała jego słowa: jesteśmy pokrewnymi duszami. Och, wiedziała, że to prawda. Dlatego tak Ignęli do siebie od pierwszej chwili. Zdawało jej się, że po prostu nie mogło być inaczej, że Bóg stworzył ich dla siebie, lecz rozdzieliła ich zła wola nikczemnika.

Pamięć o Gerdzie zapadła w jej duszę niby świętość i promień światła grzejący skołatanę serce.

Chwilami jednak ogarniała ją rozpacz, lęk o przyszłość. Czy była w końcu zameżna, czy rozwiedziona? Czy już do końca dni ciążyć na niej będzie piętno bezwstydnego awanturnicy, pod fałszywym nazwiskiem skutej niecnymi więzami z hochsztaplerem? A może wujowi uda się, gdy mu wszystko wyzna, anulować ślub cywilny, nie szkodziąc swej reputacji? Nie знаła do końca swej sytuacji prawnej. Na jej korzyść przemawiał fakt, że ten człowiek miał już jedną żonę, poślubioną pod prawdziwym nazwiskiem, którego niestety nie znała. Będzie musiała się bronić przed opadającymi ją czarnymi myślami, by sprostać swym nowym obowiązkom.

Nazajutrz zjawiła się punktualnie na dworcu i zaraz zajęła się pokaznym bagażem pani Gley. Jej pierwszym obowiązkiem było czuwanie nad kuferkiem z kosztownościami pisarki. W przedziale Jo umieściła bagaże w siatce nad fotelami, a pani Gley rzekła ze śmiechem:

— Jestem szczęśliwa, że mogę powierzyć biżuterię pani opiece. Co to była za męka dla mnie wciąż na nią uważać! Jestem tak roztrągniona, że nigdy nie wiedziałam, gdzie położyłam kuferek.

— A jeśli zwiędę wraz z cennym ładunkiem? — spytała Jo, odwracając głowę z uśmiechem.

— Na pewno pani tego nie zrobi — powiedziała z przekonaniem pisarka, rozsiadając się wygodnie w fotelu. — Inaczej bym pani nie zaangażowała.

Ciekawe, pomyślała Jo, czy pani Gley powierzyłaby mi kosztowności, gdyby wiedziała, że byłam żoną hochsztaplera. Czuła, że pełniła nieuczciwość, zatajając przed pisarką prawdę. Doszła jednak

do wniosku, że człowiek walczący rozpaczliwie o przeżycie nie może być skrupulantem.

Jechali przez tunel św. Gotharda. Jo przemierzyła już kiedyś tę trasę jako młoda dziewczyna z rodzicami i cieszyła się, że znów zobaczy Włochy. Szkoda, że ich podróż włoska miała się zakończyć już w Genui. Pani Gley знаła dość dobrze Włochy, była w Wenecji, Rzymie, Florencji, Neapolu i innych miejscach godnych uwagi. Tym razem zamierzała pojechać przez Mediolan do Genui, by wsiąść na parowiec udający się do Tunisu. Stamtąd miały popłynąć wzdłuż wybrzeża afrykańskiego mijając Trypolis i Benghasi do Aleksandrii, następnie odbyć wycieczkę w górę Nilu, połączoną ze zwiedzaniem ruin świątyń i grobów królewskich od Kairu do Wadi Haifa. Nie ominą, rzecz jasna, piramid i sfinksów. Potem pani Gley zamierzała udać się do Indii. Prawdziwa Angielka musi choć raz odwiedzić Indie, mówiła, przedstawiając Jo plan podróży. Zatrzymają się tam co najmniej dwa miesiące, po czym przez Cejlon udadzą się na krótszy pobyt do Syjamu. Z Syjamu miały wreszcie wyruszyć na Archipelag Sundajski, zwiedzić najpierw Sumatrę, a następnie Jawę; Borneo mniej interesowało panią Gley. Na Jawie zostanie dopóty, dopóki nie wypocznie po trudach podróży i nie skończy swej nowej powieści.

Jo dostała zawrotu głowy od tego wszystkiego. Tyle ciekawych, pięknych krain miała zobaczyć! Pod wpływem tych emocji zapomniała na chwilę o kłopotach, mówiąc z entuzjazmem:

— Wszystko to wydaje mi się snem, proszę pani; nigdy nie marzyłam o posadzie, która dawałaby mi takie możliwości. Będę się bardzo starała być pomocna, by się pani odwdzięczyć za dobroć.

— No cóż, mam na ten temat swoje zdanie. To ja muszę się pani odwdzięczyć. Proszę tylko nie myśleć, że czeka panią życie usłane różami. Potrafię być zrzędną staruchą, zwłaszcza gdy pracuję. A pisarz właściwie zawsze pracuje. A przynajmniej powinien. Musi mieć uszy i oczy otwarte, chłonąć życie wszystkimi porami. Zwłaszcza proszę się mieć na baczności, gdy mnie pani zobaczy z notatnikiem. Pokażę go pani. Notuję tam wszystkie pomysły. Czasem pobudza mnie jakieś drobne wydarzenie, obok którego inni przechodzą obojętnie. Zdążyła się już pani przekonać, co się ze mną dzieje, gdy opęta mnie pasja pracy.

Trzeźwieję dopiero wtedy, gdy umieszczę nowy pomysł w mojej księdze. Gdy więc zobaczy mnie pani z notatnikiem, proszę omijać mnie z daleka. A raczej — proszę być w pobliżu i uważać, by inni ludzie trzymali się ode mnie z daleka. Gdy mi ktoś przeszkodzi, potrafię gryźć. Czasem będę dla pani przykra. Mówię to pani zawczasu, by pani sobie tego nie brała do serca. Proszę mi pozwolić się wyzłościć i nie dziwić się, że nagle potępiam coś, co jeszcze przed chwilą wynosiłam pod niebiosa. Niech pani sobie mówi: ten biedny stary kłębek nerwów jest w tej chwili niepoczytalny; pozwólmy mu się wyszaleć^ Mówiąc to, śmiała się, a Jo jej wtórowała.

— Wcale się nie boję — zapewniła pisarkę — i dołożę wszelkich starań, by pani nie przeszkadzano.

— To będzie piękna podróż — rozmarzyła się Angielka. — Jestem przekonana, że pani towarzystwo uchroni mnie od wielu niedogodności. No, teraz pani już wie mniej więcej, dokąd się wybieramy. Zraz, jeszcze jedno. Z Genui zrobimy kilka wypadów na Riwierę włoską i francuską. Nigdy tam jeszcze nie byłam. Muszę koniecznie zobaczyć Monte Carlo i Niceę; będąc ostatnim razem we Francji, dotarłam tylko do Marsylii. Zna pani Riwierę?

— Tak, proszę pani. W dzieciństwie zwiedziłam z rodzicami Włochy i Riwierę. To była wspaniała przygoda, ale myślę, że byłam jeszcze wtedy za młoda — miałam piętnaście lat — by docenić to, co widziałam.

— A więc tym razem proszę mieć oczy otwarte. Ja się trochę zdrzemnę. Proszę mi podać poduszkę.

Jo szybko nadmuchała gumową poduszkę i podała swej pani. Pomogła jej ułożyć się wygodnie w kącie przy oknie i musiała obiecać, że zbudzi pisarkę, gdy będą mijać coś godnego uwagi.

— Widzi pani, oto jeszcze jedna korzyść z pani towarzystwa. Gdy podróż stanie się nudna, mogę się zdrzemnąć bez obawy, że przegapię coś ciekawego. W ten sposób oszczędzę siły. Pani jest młoda, więc może czuwać.

Mówiąc to pani Gley uśmiechała się z taką matczyną dobrocią, że Jo miała ochotę ją wycalować.

## XII

Wróciwszy do Berlina, Gerd pierwsze kroki skierował do domu profesora, by zdać relację ze swych poszukiwań. Gospodarz był równie zdeprymowany jak on.

— Proszę mi wierzyć, przyjacielu, że jestem bardzo zaniepokojony — mówił. — Bogu niech będą dzięki, że moja siostrzenica rozstała się z tym typem. Dobrze, że miał choć tyle przyzwoitości, by nie skorzystać ze swych praw, które zdobył podstępem. Ale nadal martwię się o Jo i nie zanoszę się na to, bym mógł się uspokoić. Póki nie otrzymam od niej wiadomości, nie mogę podjąć żadnych działań przeciwko temu łotrowi, gdyż mógłbym jej zaszkodzić.

— Przypuszczam — odparł Gerd, a w jego oczach malowała się udręka — że ten człowiek zdemaskował się wobec pańskiej siostrzenicy, by się jej tym łatwiej pozbyć. W przeciwnym razie musiałby ją utrzymywać. Na pewno najbardziej zależało mu na tym, by zatrzymać pieniądze. Panna Warren musiała mieć jakiś haczyk na niego, że zgodził się ją uwolnić. Wynika to jasno z jej listu. A to, że obiecała milczeć, dowodzi, iż zdradził jej ważne rzeczy na swój temat. W każdym razie, na pewno dowiedziała się, że poślubił ją pod fałszywym nazwiskiem, inaczej nie wróciłaby do pańskiego.

— Mnie też to przyszło na myśl. Moja siostrzenica jest tak uczciwym człowiekiem, że dotrzyma słowa danego nawet takiemu łobuzowi, choć nikt nie miałby jej nic do zarzucenia, gdyby go wydała. Tak czy owak, muszę podjąć kroki, by unieważnić to małżeństwo.

— Oczywiście, ale może poczeka pan przynajmniej, aż otrzymam wieści od mojego hiszpańskiego detektywa. Na pewno okażą się przydatne. Fałszywy Almadaia pewnie jest już daleko i nosi inne nazwisko. Na razie straciliśmy trop, ale mam nadzieję, że kiedyś się jeszcze z nim policzę. Zrobię to z przyjemnością, tak by pańska osoba nie była w to zamieszana.

— To by było bardzo wskazane.

— Rozumiem doskonale i dlatego proszę pana o danie mi wolnej ręki w tej sprawie. Zresztą to również moja sprawa, gdyż pragnę gorąco, by panna Warren została kiedyś moją żoną.

- Naprawdę myśli pan wciąż o tym? — zdumiał się profesor.
- Bardziej niż kiedykolwiek! — zawołał Gerd z zapalem.
- I nie przeszkadza panu jej przeszłość, kochany doktorze?
- To, co przeszła, jest dla mnie jednym powodem więcej, by otoczyć ją w przyszłości opieką. Dla mnie jest równie czysta i godna miłości jak dawniej. Gdybym ją tylko mógł odnaleźć!

Z tego, co powiedział Gerd, że nie potrzebuje myśleć o pieniądzach, wybierając sobie żonę, profesor bynajmniej nie wyciągnął wniosku, że uczony jest bogaty. Przypuszczał, że starcza mu jako tako na utrzymanie. Ale czy można było teraz wybrzydzać? Po tym wszystkim, co się stało, Jo powinna dziękować Bogu, że jakiś uczciwy mężczyzna się nią zainteresował. Toteż lekarz postanowił już teraz traktować Gerda jak przyszełego męża swej siostrzenicy, otworzyć dla niego dom i złożyć w jego ręce tę całą drażliwą sprawę. Gdy przedstawił to stanowisko swej żonie, ta zrobiła dobrą minę do złej gry, zwłaszcza iż czuła się trochę winna nieszczęściu Jo. Dawniej zachwycona rzekomym Alfonsem de Almadeią, nie zostawiała na nim teraz suchej nitki. Nie mogła sobie darować, że dała się wywieść w pole. Była zadowolona, że znalazł się nowy konkurent do ręki siostrzenicy, przyrzekła sobie bowiem, że jej noga nie postanie więcej w tym domu. Zresztą doktor Rainsberg to, bądź co bądź, człowiek z towarzysztwa. Zaraz też zaczęła przemyśliwać, jakby tu całą rzecz tak przedstawić, by nikt nie domyślił się prawdy. Można będzie na przykład powiedzieć, że Jo nie chciała zmienić wyznania lub że źle się czuła na obczyźnie. W związku z tym powstały tak poważne problemy, że zdecydowano się na unieważnienie małżeństwa.

Tak, towarzystwo to kupi! Mój Boże, w dzisiejszych czasach rozwód nie jest już czymś niezwykłym. Świat szybko przechodzi nad tym do porządku dziennego.

Tylko prawda nie może wyjść na jaw!

Pani Maiły miała ochotę już teraz rozpowszechnić nową wersję wydarzeń, ale profesor zabronił jej surowo podejmować ten temat. Gdyby ktoś pytał o Jo, miała mówić, że na razie odbywa podróż dookoła świata. Nie przypuszczali, że tak jest naprawdę.

A Gerd? Z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nerwowy. Doktor Gering pocieszał go, jak mógł.

— Kiedyś będzie pan szczęśliwy z Jolantą — powiedział pewnego razu. — Jestem o tym przekonany. Pasujecie do siebie idealnie i byłoby szkoda, gdybyście się nie połączyli.

— Proszę mi to częściej powtarzać, potrzebuję pocieszenia. Byłbym spokojniejszy, gdybym wiedział, gdzie ona jest i co się z nią dzieje.

— Proszę się o nią nie kłopotać. Wygląda na to, że umie sobie radzić w życiu. Inna wróciłaby z płaczem do wuja, chowając się pod jego skrzydełka. Ona tymczasem bierze się z losem za bary i zarabia na życie, jakby to był dla niej chleb powszedni. Jestem pełen uznania!

— Dziękuję panu za te słowa — rozpromienił się Gerd. — Ma pan całkowitą rację. Ja też ją podziwiam i kocham ją tym bardziej. Coraz mocniej czuję, że jest to kobieta stworzona dla mnie. Gdybym tylko wiedział, gdzie ona jest! Pół świata bym przewędrował, by ją odnaleźć.

— Może się pan pocieszyć jej obietnicą, że w połowie sierpnia o wszystkim napisze wujowi. A profesor niczego przed panem nie zatai. Panna Warren na pewno napisze, gdzie jest. Teraz po prostu chce mieć czas, by się pozbierać.

— Miałem nadzieję, że mnie wezwie, gdy będzie w potrzebie! — westchnął Gerd.

— Jak ją znam, każdego poprosi o pomoc, tylko nie pana. Proszę zważyć, co ta kobieta przeszła. Jest dumna! Jakże musi się czuć poniżona. Ta jej ucieczka w nieznane wydaje mi się ucieczką przede wszystkim przed panem. Właśnie dlatego, że nie jest jej pan obojętny, wstydzi się przed panem. Mężczyzna w ogóle nie potrafi sobie wyobrazić, co dzieje się w duszy uczciwej kobiety po takich przejściach.

— Panie doktorze — zawołał Gerd zdumiony — wiedziałem, że jest pan mądry, doświadczony, taktowny i dyskretny. Ale że ze swym chłodnym sceptycyzmem rozumie pan tak dobrze duszę kobiety, to mnie napelnia podziwem.

— Przecież jest się nie tylko adwokatem, ale i człowiekiem — odparł Gering, uśmiechając się z zakłopotaniem.

Gerd uściśnął mu gorąco dłoń i dwaj przyjaciele przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Wreszcie Gerd rzucił niecierpliwie:

— Gdybym tylko wiedział, jak zabić czas oczekiwania do połowy sierpnia!



— Niech pan pracuje, to najlepsze lekarstwo! Zamierzał pan napisać książkę podróżniczą. Chyba nie spocznie pan na laurach tylko dlatego, że odziedziczył pan duży majątek. Pańskie plantacje na Jawie są w dobrych rękach. Proszę więc wykorzystać ten i zrealizować pierwotny zamiar.

— Tak będzie najlepiej! — skinął głową Gerd. — Ale nie mogę zostać w hotelu, tam nie sposób pracować.

— Coś panu zaproponuję. Mam siedem pokoi. Przejąłem to mieszkanie kompletnie urządzone od byłego klienta, który wyjechał za granicę. Jest dla mnie za duże, chętnie odstąpię panu dwa pomieszczenia. Moja gospodyni zajmie się panem. Pan wie, jak ona świetnie gotuje.

— To wspaniały pomysł, dziękuję! — zawołał Gerd, wyciągając rękę do Geringa. — Z radością przyjmę pańską propozycję. U kogo jak u kogo, ale w pańskim domu będzie mi jak u Pana Boga za piecem.

Omówili szczegóły, ciesząc się, że zamieszkają razem. Gering był zadowolony, że skończą się samotne posiłki, a Gerd — że będzie miał dach nad głową i spokój do pracy. Nie uśmiechało mu się teraz wyjeżdżać z Berlina; chciał być na miejscu, gdyby wcześniej nadeszły wieści od Jolanty. Tym bardziej, że w domu profesora przyjmowano go teraz jak bliską osobę. Jeszcze tego samego dnia przeprowadził się więc do mieszkania doktora Geringa. Gospodyni, pani Lemprecht, powitała go z zadowoleniem. Widząc jej roześmianą twarz, Gerd powiedział żartobliwie:

— Wygląda na to, że pani się cieszy, że będzie pani miała więcej pracy.

— Może pan mi wierzyć lub nie, panie doktorze, ale naprawdę się cieszę — odparła, kiwając energicznie głową. — Wolę gotować dla dwóch osób. Można wtedy dostać lepszy kawałek mięsa. I w ogóle, jest mi za spokojnie z moim panem doktorem w tym ogromnym mieszkaniu. Naprawdę się cieszę!

Pani Lemprecht знаła hojność doktora Rainsberga, nie raz już otrzymała od niego sowity napiwek. Poza tym, że go lubiła, liczyła po prostu na wyższy zarobek. I nie miała się przeliczyć.

Gerd zabrał się ostro do pracy. Początkowo nie mógł uwolnić się od myśli o Jolancie, ale stopniowo wdrożył się w to zajęcie.

Minęły dwa tygodnie. Pewnego dnia przy śniadaniu zastał obok swego nakrycia list z hiszpańskim znaczkiem. Domyśliwszy się, że list jest od Valuza, otworzył go nerwowo. Doktor Gering jeszcze nie zszedł na śniadanie, gdyż była akurat niedziela i korzystał z okazji, by pospać dłużej. Korzystając z tego, że jest sam, Gerd oddał się lekturze. List był bardzo długi i brzmiał następująco:

*Szanowny Panie Doktorze!*

*Przepraszam, że dopiero dziś przekazuję Panu informację o wynikach moich poszukiwań. Ale przekona się Pan, że nie próżnowałem. Zaopatrzony w fotografię i próbkę pisma, krążyłem po dzielnicy portowej, próbując się czegoś dowiedzieć, ale bez skutku. Wreszcie poszczęściło mi się w jednym z barów. Zacząłem flirtować z jedną z barmanek, gdyż w naszym zawodzie trzeba się chwycić różnych sposobów, by osiągnąć cel. Podstarzała piękność była mi wdzięczna za umizgi, choć zna mnie dobrze i wie, że nikt tutaj nie robi nic bezinteresownie. Nie mrugnawszy okiem przyjmowałem holdy, gdyż o to mi właśnie chodziło. Powiedziałem, że znam przystojniejszych mężczyzn i pokażę jej zdjęcie jednego z nich. Na to ona, że lubi przystojnych mężczyzn. Wtedy pokazałem jej niby od niechcenia zdjęcie, które mi pan dał.*

*— Ależ to Alberto Rosity! — wyrwało jej się.*

*— Tak — mówię — znasz go?*

*— Ależ tak, to jest... to znaczy nie, pomyliłam go z kimś innym, na imię mu Giuseppe — poprawiła się.*

*Mądrej głowie dość dwie słowie: wiedziałem już, że nasz Giuseppe występuje tu pod innym nazwiskiem. Chowając zdjęcie, powiedziałem konfidencjonalnie:*

*— Bzdura, gołąbeczko, to nie Giuseppe, tylko Alberto, chciałem cię po prostu wypróbować. Ale muszę to schować, bo zdaje mi się, że Rosita jest o niego okropnie zazdrosna, czemu się wcale nie dziwię.*

*I wtedy barmanka połknęła haczyk.*

*— Ach, więc pan wie, że to jej mąż? — rzekła niepewnie.*

*Zdumiałem się, wiedząc od pana, że ten szlachetny señor bawi aktualnie w Berlinie, starając się o rękę bogatej panny. A tymczasem okazuje się, że jako Alberto jest ożeniony z barmanką Rositą! Wkrótce poznałem ową donnę Rositę i dowiedziałem się wszystkiego o naszym ptaszku. To bardzo krewka dama, i gdy się dowiedziała,*

że jej ślubny małżonek rozgląda się w Berlinie za innymi, oszalała z zazdrości i wszystko wyśpiewała.

Człowiek ten nazywa się Alberto Respico, jest synem Wiocha i Szwajcarki, a w Lugano — skąd pochodzi — poszukuje go policja. Z powodu kradzieży biżuterii bogatej Amerykanki podczas słodkiego sam na sam. Rosita twierdzi, że zostawił kosztowności, ratując się ucieczką. Potem przyłapano go ponownie w Szwajcarii na próbie włamania się do hotelu, ale i tym razem zdołał umknąć. Po jakimś czasie pojawił się w Hiszpanii. Podobno przyплыł kutrem żaglowym, ale na ląd dotarł wpław, rzuciwszy się do morza blisko brzegu. Był to ryzykowny czyn, ale nie miał wyboru. Nie posiadając innych papierów prócz wystawionych na prawdziwe nazwisko, wpadłby niechybnie w łapy policji, gdyż do wszystkich portów Hiszpanii dotarł w międzyczasie rozesłany za nim list gończy.

Wkrótce, znalazłszy się w Barcelonie, zaczął uganiać się za Rositą, dowiedziawszy się, że trudni się ona podrabianiem paszportów. Barmanka zakochała się w nim na amen, więc postawiła mu warunek: ślub za wyratowanie z opresji. Nie dała się zwieść i doprowadziła do tego, że ożenił się z nią pod swym prawdziwym nazwiskiem. Nie wiem, jak udało jej się uspić czujność władz, w każdym razie jest teraz prawnie panią Respico. Wciąż kocha namiętnie tego lobuza, a wygadała się ze złości.

Najpierw przeklinała go i złorzeczyła, a gdy wypaplała wszystko, zaczęła płakać i rwać włosy z głowy, że go zdradziła. A le było już za późno. Okazało się, że prócz papierów na nazwisko Giuseppe Pighetti spreparowała mu dwa inne paszporty: niemiecki na nazwisko Bernd oraz francuski na nazwisko Henri Fleuron. Nie udało misie dowiedzieć, skąd ona bierze te paszporty, ale pewne jest, że rozprowadziła ich wiele. Nawiasem mówiąc, jest gruźliczką — mimo iż wygląda kwitnąco — i nie pożyje długo. Postaram się ją w miarę możliwości oszczędzać. Nie jestem bez serca, a tacy ludzie nie uprawiają swego procederu dla przyjemności.

Potwierdziło się, że ów Alberto Respico był służącym na zamku Mandrilla. Prawdopodobnie doszła do jego uszu wieść o zamierzonej podróży dookoła świata jego pana i to nasunęło mu pomysł, by podszywając się pod jego nazwisko szukać szczęścia w świecie. Skontaktuję się z Lugano, dowiem się, jakie sprawy ten Respico ma

*na sumieniu i napiszę do Pana. Zaprotokołowałem zeznania Rosily, poświadczę je notarialnie i wyślę Panu ten dokument wraz z odpisem aktu ślubu. Na razie piszę do Pana prywatnie; odpowiednie pismo urzędowe przyjdzie w terminie późniejszym.*

*Proszę mi zakomunikować odwrotną pocztą, co mam robić dalej. Lekarz Rosity Respico twierdzi, że jest w ciężkim stanie i może lada dzień umrzeć. Ale ona nie przyjmuje tego do wiadomości. Niech Pan każe czym prędzej aresztować Alberta Respico, zanim znów coś zmaluje. Wszystko wskazuje na to, że ma jeszcze do dyspozycji dwa fałszywe paszporty. Może więc podróżować po świecie jako Niemiec nazwiskiem Bernd bądź Francuz — Henri Fleuron.*

*Życzę powodzenia. Postaram się jak najszybciej dostarczyć Panu zapowiedziane dokumenty, by mógł Pan postawić wniosek o aresztowanie.*

*Serdecznie pozdrawiam i polecam swoje usługi  
Pański Jaime Valuzo*

Skończywszy czytać, Gerd popadł w gorączkowy stan. Jo na łasce i niełasce tego człowieka... Odchodził od zmysłów. Ten człowiek! Nie dość, że złodziej i oszust, to jeszcze ożenił się z barmanką fałszującą paszporty. Nie dość, że miał trzy fałszywe paszporty — musiał jeszcze ukraść dowód Alfonsa de Almadei, by zgrywać wielkiego pana i polować na bogate partie. Nieprzytomny z wściekłości, Gerd wygrażał niewidzialnemu wrogowi. Dziękował Bogu, że Jo uwolniła się od tego człowieka i nie musiała zbyt drogo zapłacić za swój błąd. Było to prawdziwe szczęście w nieszczęściu.

Ale teraz trzeba było pomyśleć o tym, by także prawnie uwolnić Jo od tego oszusta. Zapewne będzie to łatwe, gdy tylko Valuzo przyśle dokumenty wraz ze zdjęciem i próbką pisma. Najważniejsze, by nie wpłatać w to profesora; trzeba będzie wszystko załatwić dyskretnie.

Gerd był pewien, że zręczny detektyw tak poprowadził śledztwo, że z protokołu jasno wynika tożsamość Alberta Respico jak również fakt kradzieży paszportu Almadei. A że ten ostatni przebywał aktualnie w Japonii lub na Hawajach, przeto nie powinno być przeszkód w rozwiązaniu tego pseudomałżeństwa.

Z rozmyślań wyrwało go nadejście doktora Geringa. Przywitali się i Gerd podał przyjacielowi list Valuzy. Skończywszy czytać, adwokat rzekł, kręcąc z niedowierzaniem głową:

— To ci ziółko, ten Alberto Respico! Że też ta biedna dziewczyna musiała trafić na takiego łobuza!

— Myśli pan — wołał Gerd rozgorączkowany — że z takimi dowodami łatwo będzie przeprowadzić rozwód?

— Z prawnego punktu widzenia to małżeństwo wcale nie istnieje. Alberto Respico ma już jedną żonę, nie mówiąc o tym, że wziął ślub pod fałszywym nazwiskiem. To się da załatwić prosto i bez rozgłosu.

— Dzięki Bogu! — odetchnął Gerd z ulgą. — Tak też myślałem!

— To rzecz pewna. W urzędzie stanu cywilnego rozwód to rutynowe postępowanie. Nie sądzę, by urzędnik interesował się koligacjami osób rozwodzących się. Dla niego ważne jest tylko to, że jakiś człowiek, który ma już żonę, ożenił się z inną pod fałszywym nazwiskiem. Podpada to pod kategorię bigamii i takie małżeństwa rutynowo są unieważniane. Urząd zrobiłby to i bez naszej interwencji, dysponując odpowiednimi danymi. A teraz zjedźmy coś, wygląda pan już jak cień. A więc wrzucmy coś na ruszta i jazda do profesora, trzeba mu pokazać list. Spróbuję go namówić, by mi powierzył załatwienie tej sprawy. Daję wszelkie gwarancje, że nikt poza urzędem stanu cywilnego nie dowie się o tym. Jak tylko Valuzo przyśle dokumenty, małżeństwo zostanie unieważnione i panna Warren będzie wolna. I po krzyku!

— Dzięki panu odzyskałem nareszcie spokój — powiedział Gerd ściskając adwokatowi dłoń. — Profesor też będzie panu wdzięczny.

— Zobaczmy. Może kiedyś ja będę potrzebował jego pomocy. Zresztą jako adwokat jestem przyzwyczajony do przecinania węzłów gordyjskich, jeśli się nie dają rozwiązać. Proszę spróbować tej pysznej szyneczki. Jajeczko też nie zawadzi. Nie może pan teraz opaść z sił. Jak to będzie wyglądało, gdy dostarczymy na miejsce narzeczoną, a z pana zostanie tylko skóra i kości? Filiżanka kawy? Co za aromat! Lemprechtowa to potrafi. Musi pan kiedyś zobaczyć, z jakim nabożeństwem ją przyrządza. Jako kadzidła używa specjalnych aromatów do kawy.

Gerd nie mógł się powstrzymać od śmiechu; Gering był zadowolony, że udało mu się rozśmieszyć przyjaciela. Zjedli porządne śniadanie, po czym adwokat pojechał do biura. Po pracy zabrał Gerda samochodem do domu profesora.

Przeczytawszy list, lekarz przystał na plan Geringa. Był dobrej myśli, że wszystko może zostać załatwione bez rozgłosu.

— Będę szczęśliwy — mówił — gdy ta sprawa zostanie załatwiona w taki sposób, jak to panowie mówią. Wisi to nade mną jak miecz Damoklesa, a moja praca wymaga spokoju. Odetchnę wreszcie, gdy uda się panom przywrócić mej siostrzenicy panięskie nazwisko. Ta biedna dziewczyna nic tu nie zawiła.

— To jasne jak słońce — przyznał Gerd. — Wszystko będzie dobrze, doktor Gering nie rzuca słów na wiatr — dodał ciepło.

— Niechże pan będzie cicho, doktorze — przerwał Gering, rumieniąc się. — To mnie krępuje. Spełniam tylko swój obowiązek.

— Będziemy panu stokrotnie zobowiązani, zarówno ja, jak i doktor Rainsberg — wtrącił profesor, ściskając dłoń adwokatowi. — A jeśli kiedyś będę mógł być panu w czymś pomocny, proszę przychodzić śmiało, nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie uczynił.

— Myśli pan, że się będę krępował? — roześmiał się Gering. — Proszę uważać, należę do ludzi, którzy chwytają rękę, gdy im dać mały palec.

Powiedział to tak komicznym tonem, że Gerd i profesor wybuchnęli śmiechem. Na tym zakończyła się rozmowa i goście pożegnali wiecznie zapracowanego lekarza.

W kilka dni później przysłała poczta od Valuza. Papiery zawierały wszystko, co potrzeba, tak iż małżeństwo Jolanty Warren zostało bez rozgłosu anulowane. Jo była wolna, nie wiedząc o tym.

Czasem ktoś ze znajomych dowiadywał się o nią, ale z tym nie było problemu. Pani Mally puściła już w obieg swoją nową ploteczkę o trudnościach adaptacyjnych i aferze ze zmianą wyznania. Towarzystwo wykazało zrozumienie. Za plecami mówiło się, że trzeba było o tym wcześniej pomyśleć, ale każdy miał dość własnych kłopotów i cała sprawa, myślała ciotka, pójdzie w niepamięć, nim Jo zdąży poślubić innego.

Zresztą los Jo wcale jej nie obchodził. Nigdy jej specjalnie nie lubiła, choć czuła wyraźnie brak jej pomocnej dłoni w prowadzeniu domu. Nie przyznawała się jednak do tego nikomu, zwłaszcza mężowi.

Przez kilka tygodni Gerd pracował w pocie czoła. Pewnego dnia przysłała znów poczta z Barcelony. Valuzo przesłał odpis aktu zgonu Rosity Respico. Zmarła 2 lipca. Detektyw — który w międzyczasie otrzymał sowite honorarium od Gerda — donosił, że sprawa Alberta Respica wciąż pozostaje w zawieszeniu. Co prawda wpłynęło kilka

pozwów z Lugano i innych kurortów szwajcarskich, ale policja wciąż nie mogła wytropić przestępcy.

*Ale przyjdzie dzień — kończył Valuzo — w którym ten łotr spod ciemnej gwiazdy upadnie we własne sidła! Przykro mi, że biedna panienka padła ofiarą tego łotra, i cieszę się, że mogłem przyczynić się do uwolnienia jej od niego. W nadziei na ponowne spotkanie w Barcelonie pozdrawiam Pana i pozostaję z szacunkiem*

*Pański oddany Jaime Valuzo*

Mniej więcej w tym samym czasie Gerd otrzymał długi list od kustosa zamku Mandrilla. Doniósł on swemu panu o postępach jego sobowtóra. Pan Almadaia był oburzony i zamierzał po powrocie wnieść oskarżenie przeciwko oszustowi, jeśli nie będzie mógł tego już teraz uczynić w jego imieniu notariusz. Pan na zamku Mandrilla obawiał się, by oszust nie narobił jeszcze więcej szkód podszywając się pod jego nazwisko.

Gerd odpisał kustoszowi, że takie niebezpieczeństwo nie istnieje, gdyż Alberto Respico przemierza świat prawdopodobnie już pod innym fałszywym nazwiskiem. W każdym razie nie zawadzi wytoczyć mu proces. Poradził kustoszowi, by skontaktował się z Valuzem.

Gerd sam zastanawiał się, czy nie należałoby wdrożyć postępowania przeciwko temu hochsztaplerowi. Ale w końcu pomyślał, że lepiej nie ruszać tej sprawy, skoro Jo nie ma już nic wspólnego z tym człowiekiem. I tak nie uniknie kary, gdy przeberze się miarka. Jego aresztowanie wzbudziłoby zapewne sensację, a przy okazji mogło wypłynąć nazwisko Jo. Tego zaś Gerd chciał uniknąć za wszelką cenę.

### XIII

W tym czasie Jo zwiedziła już kawał świata. W Genui zamieszkała ze swą panią w hotelu Miramar. Miały tu bazę wypadową, robiąc wycieczki na Riwierę. Najpierw pojechały do Nicei.

Miasto było już pustawę o tej porze roku, ale pani Gley wydało się nadto gwarne i niespokojne. Spędziły tu tylko dwa dni, odwiedzając przy okazji Cannes. I tu panował znikomy ruch, i pani Gley ze zdziwieniem pytała Jo, co też może się podobać w tym mieście, skoro dopiero ludzie dodają mu barwności. Jo podzielała zdanie pisarki i była zadowolona, gdy już następnego dnia opuściły słynną miejscowość.

Następnie pojechały do Monte Carlo. Pani Gley była zachwycona; wszystko, co widziała i słyszała w miniaturowym państewku Monako, zapładniało jej wyobraźnię. Było już po sezonie i w kasynach ostali się tylko nałogowi gracze. Ale i między nimi znalazło się sporo ciekawych typów, tak iż notatnik pisarki wzbogacił się o nowe materiały. Gdy pani Gley robiła notatki, w czym nie wolno jej było przeszkadzać, Jo spacerowała, oglądając panoramę miasta Monako lub błędząc wzrokiem po lazurowej tafli morza usianej białymi żaglami. Poza kasynem i nadmorską promenadą nie było tu nic ciekawego.

Pani Gley zamierzała też doświadczyć atmosfery sal gry.

— Zagram w ruletkę, panno Jo — tak zwracała się do dziewczyny od dnia pamiętnego spotkania — i wiem z góry, że przegram. Mój angielski przyjaciel, który jest tu częstym gościem, powiedział mi, że w Monte Carlo nikt nie wygrywa dużo, za to wielu dużo przegrywa. Ale pośród nich są także stali goście grający systemowo. Ci wygrywają tyle, że mogą się z tego utrzymać, i są tolerowani przez kierownictwo kasyna, stanowiąc swoistą przynętę dla nowych amatorów łatwych zysków. Mój przyjaciel nigdy nie gra, kupuje za to tanio biżuterię, którą zastawiają u jubilerów i w lombardach zdesperowani pechowcy. W ten sposób zwraca mu się podróż.

Tu pani Gley wyjęła niewielką sumę i oddając torebkę Jo powiedziała z humorem:

— Zamierzam przegrać to, co trzymam w ręce, by poznać smak hazardu w Monte Carlo. Proszę za żadną cenę nie dawać mi torebki, póki nie opuścimy kasyna. Mówiono mi, że tu najmocniejsze charaktery tracą głowę i zdrowe zasady. Niech więc pani będzie przez chwilę moim sumieniem i nie dopuści, by stara lekkomyślna kobieta przegrała więcej, niż zamierza.

Jo wybuchnęła śmiechem. Wesoły sposób bycia pisarki chronił ją przed popadnięciem w melancholię.



— Przrzekam, że będę bronić pani torebki z narażeniem życia, może pani być spokojną — żartowała.

— Dobrze, zdaje się całkowicie na panią.

Weszły po zewnętrznych schodach do gmachu i nabywszy za słońcą cenę biletu wstępu udały się do sal gry. Pisarka zaopatrzyła się w żetony pięciofrankowe i obie panie podeszły do stolika z ruletką. Przez chwilę przyglądały się grze, próbując zrozumieć zasady obstawiania numerów. Dokoła stolika siedziały dziwaczne indywidua: mężczyźni o zniszczonych twarzach i gorączkowo płonących oczach, kobiety, stare lub podstarzałe, z wykrzywionymi rysami jaskrawo uszmkowanych twarzy. Pomiędzy nimi krupierzy ze znudzonymi minami przesuwali długimi grabiami pieniądze, zabierając je przegrywającym, przysuwając zwycięzcom.

Jo z dreszczem przerażenia przyglądała się tym ludziom, opętanym pragnieniem wygranej. Pani Gley rzuciła dwa żetony na dwa różne pola i przegrała. Krupier obojętnie ściągnął należność. Zresztą przy tym stoliku nie było dramatycznych wydarzeń, nikt tu nie grał wysoko.

Pisarka przegrała, stawiając dwa następne żetony, w trzeciej kolejce wygrała niewielką sumę, ale zaraz znów straciła.

— Znudziło mi się — powiedziała, kręcąc z uśmiechem głową.

— Chodźmy, tam jest weselej.

Jo podążyła wolno za swą towarzyszką, z uczuciem litości wodząc wzrokiem po schylonych postaciach, gorączkowo notujących jakieś szczęśliwe kombinacje. Gdy podeszła do sąsiedniego stolika, pani Gley zdążyła już stracić dwa żetony i stawiała właśnie dwa następne. Jo przechyliła się ponad głowami graczy, obejmując spojrzeniem osobliwy plac boju, gdzie próbowano nagiąć szczęście do własnych potrzeb.

Tu również widziało się dziwaczne postacie. Przy stoliku tkwiła wiekowa dama cała w bieli, z białym lisem na ramionach i nieprawdopodobnymi białymi plerezami u kapelusza żywcem wziętego z poprzedniego wieku. Kobieta miała chorobliwe wypieki na wyschłych policzkach i podkrążone oczy. Nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie, wkładała czasem do sinych ust kawałek herbatnika — najwyraźniej było to jej jedyne pożywienie — i poruszała nerwowo palcami.

W kasynie znoszono jej obecność z litości, gdyż przegrała tu cały swój olbrzymi majątek. Powinna właściwie odstraszać swoim przykładem nowicjuszy, ale tak wcale nie było.

Teraz i pani Gley zwróciła uwagę na tę ruinę człowieka. Przyglądała się kobiecie z takim zainteresowaniem, że zupełnie zapomniała o grze. Nie zwróciła uwagi na drobną wygraną, którą przysunął jej krupier, a którą, korzystając z jej nieuwagi, najspokojniej w świecie przywłaszczył sobie obiekt jej studiów. Ale dla pisarki najważniejsze było, iż zdobyła nowy typ do swych notatek. Toteż, nie patrząc, rzuciła ze śmiechem dwa ostatnie żetony na czerwone pole, a gdy przegrała, odwróciła się z westchnieniem ulgi do Jolanty, mówiąc:

— Chodźmy, panno Jo. Zwiedzimy resztę sal i wtedy będę miała dosyć.

W chwili gdy zwracały się do wyjścia, do sali weszła elegancka para: wysoki, smukły młody mężczyzna w towarzystwie krępej, niemłodej już, ale bogato ubranej kobiety, prawdopodobnie Amerykanki.

Jo spojrzała — i zadrżała, jakby dostała obuchem w głowę. Wchodzący był mężczyzną, który pod nazwiskiem Almadei brał z nią ślub w Berlinie.

Błada jak ściana, odwróciła się szybko, by jej nie rozpoznał. Ale on był tak zajęty umizgiwaniem się do bogatej Amerykanki, że nie miał czasu rozglądać się dokoła. Znalazł więc sobie nową ofiarę, wyciął nowy „numer”!

Jo poczuła się tak, jakby była współniczką jego nowego szalbierstwa, bo na pewno o to tu chodziło. Na jej pobladłej twarzy wykwił rumieniec wstydu. Rzuciła się ku drzwiom, chcąc jak najszybciej zejść mu z pola widzenia. Nogi się pod nią ugiwały ze strachu, że ją zobaczy, że drogi ich życia znów się skrzyżują. Co by powiedziała pani Gley, gdyby wiedziała, że Jo była niegdyś żoną tego hochsztoplera, szykującego nowe łotrństwo?

Ziemia Monte Carlo paliła jej się pod stopami. Jak w męczącym śnie przemierzała obok swej pani sale kasyna modląc się, by nie trafiła więcej na tego człowieka. Ale jak tu uniknąć spotkania w Monte, gdzie wszyscy spotykają się w salach gry lub w pobliżu kasyna?

Odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie opuściły lokal. Pani Gley z humorem wspominała scenki z kasyna, opisywała ofiary hazardu. Ona też

była zadowolona, gdy znalazły się wreszcie na wolnym powietrzu. Nabrała ochoty, by zwiedzić kawałek Corniche i dojechać do La Turbie. Jo była zachwycona tym pomysłem. Byle dalej stąd, z niebezpiecznej i zawstydzającej bliskości tego człowieka!

Gdy znalazły się na szczycie wzniesienia, skąd roztaczał się widok na Monte Carlo, Monako i Morze Śródziemne, Jo uspokoiła się i zebrała myśli. Pisarka, nim zabrała się do podziwiania widoków, musiała zanotować w dzienniku cisnące jej się do głowy pomysły.

Po półgodzinnej jeździe samochodem pani Gley nakazała szoferowi zawrócić.

— Spóźnimy się na obiad, panno Jo — powiedziała. — A poza tym trzeba mieć umiar w przyjemnościach. Nawiasem mówiąc, ta słynna Corniche mnie rozczarowała, może z wyjątkiem piękna krajobrazu. Ale taki jest los ludzi obdarzonych fantazją. Człowiek wyobraża sobie wszystko o wiele piękniejsze, niż jest w rzeczywistości. Nicea i Cannes bardzo mnie rozczarowały, podobnie jak to ohydne kasyno. Natomiast samo Monte Carlo położone jest prześlicznie.

— Odniosłam podobne wrażenie — skinęła głową Jo — gdy byłam tu po raz pierwszy z rodzicami. Nasz pobyt przypadł akurat na środek sezonu, ale muszę powiedzieć, że bez tych tłumów podoba mi się tu jeszcze bardziej. Spokój morza, przepiękne wybrzeże, urocze położenie Monte — to wszystko dopiero teraz dociera do mnie z całą wyrazistością.

Gdy wróciły do hotelu w pobliżu kasyna, dominującym nad placem, którego trzeci bok zamykała Café de Paris, miały zaledwie tyle czasu, by przebrać się do obiadu.

Usiadły przy tym samym stoliku, co poprzedniego dnia podczas kolacji. Obsługa była dobra, gdyż gości było mało. Podano pierwsze danie. Wtem Jo drgnęła przerażona. Między stolikami przeciskała się ta sama para, która napędziła jej stracha w kasynie. Miała ochotę schować się do mysiej dziurki. Tymczasem para była już tak blisko, że Jo usłyszała strzęp rozmowy:

— Usiądźmy przy oknie — poprosiła kobieta łamaną francuszczyzną, a jej towarzysz odparł z uśmiechem:

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Przeszli obok nich; Jo usłyszała jeszcze, jak kelner zwraca się do mężczyzny per „monsieur Fleuron”. Para usiadła pod oknem naprzeciwko nich i Jo musiała wyteńczyć całą siłę woli, by nie uciec z sali. Siedziała przy stole jak sparaliżowana, zerkając ku tamtym ukradkiem.

Zauważył ją! Zaskoczony, zacisnął wargi, ale zaraz się opanował. Nie bał się, wiedział, że Jo go nie zdradzi — we własnym interesie.

Jo zaś zdawało się, że jego wzrok przepalają na wylot. Twarz jej się okryła śmiertelną bladością, gdy rzucił jej ironiczny uśmiech. Próbował poskromić ją wzrokiem, lecz nie miał już nad nią władzy. Jo nie mogła znieść myśli, że przykłada rękę do przestępstwa. Z trudem przelknęła kilka kęsów, a gdy posiłek dobiegł końca, wstała natchmiast, uciekając od tego człowieka jak od zmory sennej.

Gdy później, w czasie gdy pani Gley odbywała sjęstę poobiednią, była sama u siebie, pokojówka przyniosła jej bilecik. Palił ją jak ogniem, gdy go brała z tacy, ale nie śmiała zwrócić listu, by nie wzbudzać sensacji.

Po wyjściu pokojówki otworzyła kopertę drżącymi rękoma i wyjęła wizytówkę z nadrukiem: *Henri Fleuron*. Na odwrocie dobrze jej znanym charakterem pisma skreślono te słowa:

*Nic Pani nie grozi, jeśli mnie Pani nie będzie poznawać.*

Podarła bilet na drobniutki kawałki, po czym ukrywszy twarz w dłoniach rozpląkała się.

O czwartej poszła do pokoju Angielki. Serce zabiło jej mocno, gdy ta powiedziała ze śmiechem:

- Jak pani myśli, panno Jo, mamy już dość Monte Carlo?
- Ja tak, proszę pani, ale nie wiem, czy pani jest zadowolona...
- Całkowicie, moje dziecko, jeszcze tylko ostatni spacer do rezydencji i to będzie wszystko, co godne uwagi w Monte Carlo. Kiedyś, gdy będę znów prowadziła osiadły tryb życia, przyjadę tu na wypoczynek. Na razie dosyć. Jutro rano wracamy do Genui; po drodze zatrzymamy się co najwyżej w Menton i Bordigherze, może w San Remo. Pojedziemy samochodem aż do Ventimiglia, będzie przyjemniej niż pociągiem.

Jo była uszczęśliwiona, że nie musi zostawać tu dłużej. Bała się tylko jeszcze wieczoru. Czy znów ten monsieur Fleuron będzie siedział naprzeciwko niej, świdrując ją bezczelnym spojrzeniem? I czy nie powinna ostrzec tej kobiety, w jakim towarzystwie się znajduje? Ale jak? Nie mogła przecież zdradzić tego, z czego jej się zwierzył z cyniczną otwartością. Dobrze wiedział, że ją unieszkodliwi, wymuszając na niej obietnicę milczenia.

Na szczęście przy kolacji nie pojawił się ani on, ani jego towarzysza. Jo odetchnęła z ulgą i bardziej niż zwykle ożywiona rozmawiała ze swą panią.

Gdy kładła się spać, myślała tylko o tym, że jutro opuszcza Monte Carlo i że nigdy już nie spotka tego człowieka.

I rzeczywiście już go nie zobaczyła. Z uczuciem, jakie ma człowiek, który uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, jechała z pisarką wygodnym autem wzdłuż Riwiery, tak jak było zaplanowane. W Ventimiglia wsiadły w pociąg i wróciły do Genui.

Nazajutrz pojechały samochodem na Riwierę Włoską aż do Sestri Levante. Napatrzywszy się na olśniewające piękno przyrody, zadowolone wróciły do hotelu. Zdążyły na kolację.

Następnie pani Gley zarządziła dzień odpoczynku. Parowiec, który miał je zabrać, odpływał dopiero pojutrze. Spędziły więc następny dzień na pogawędce na tarasie hotelu. Pisarka po raz pierwszy mówiła dziś Jo o swych stosunkach rodzinnych. Dowcipnie i z humorem opowiadała, jak to jako młoda dziewczyna wyszła w Londynie za drobnego urzędnika. Nie była to wielka miłość, ale dziewczyna była zadowolona, że ma męża. Przeżyli tak ze sobą kilka lat, z trudem wiążąc koniec z końcem. Przyszła pisarka łamała sobie głowę, jakby tu samej podreperować budżet domowy. I któregoś dnia poszła za głosem wewnętrznym i zaczęła przelewać swe myśli na papier. Nie pamięta, jak to się właściwie stało, że zaczęła pisać, zresztą traktowała to początkowo jako zabawę. Ale weszło jej w nałóg; prowadzenie domu nie absorbowało jej zbyt, miała więc sporo czasu na pisanie. Z obowiązków pani domu wywiązywała się znakomicie. Aż pewnego dnia tak się zapomniała w pracy literackiej, że przypaliła obiad i mąż przyłapał ją na sekretnym zajęciu.

Zrobił jej straszną scenę, niedokończony rękopis wrzucił do pieca i nieprzytomny z gniewu, zabronił jej otążyć dotykać pióra.

— I rzeczywiście spłonął? — zawołała Jo ze zgrozą.

— Tak — roześmiała się pisarka — ten pierwszy rękopis mojej powieści był bezpowrotnie stracony. Zresztą, oszczędzając papier, pisałam po obu stronach kartki, więc i tak żadna redakcja by go nie przyjęła. Przypadkowo przeczytałam później w jakiejś gazecie, że powinno się pisać tylko po jednej stronie. Nie miałam nigdy dzieci, ale postępek męża zabolął mnie tak, jakby wrzucił do ognia moje ukochane dziecko. Od tamtego dnia zaczęłam go inaczej traktować. Nie rozumiałam, jak on może tak lekceważąco odnosić się do mojej pracy. Skąd mógł wiedzieć, że moja pisanina nic nie jest warta? Nie miałam najmniejszego zamiaru porzucić pisania. Pamiętałam prawie każde słowo, które napisałam, i już następnego dnia odtworzyłam mój utwór. Byłam pewna, że ta nowa wersja jest lepsza od poprzedniej. Oczywiście musiałam od tej pory bardzo uważać, pilnować się, by nie przypalić obiadu i nie pisać zbyt długo. Zaczęło się dla mnie zupełnie nowe życie; kochałam swoją pracę, pisanie wciągało mnie coraz bardziej i nie mogłam się nadziwić, jak łatwo mi to przychodzi. Czasem czułam wyraźnie, że piszę pod wpływem natchnienia, że ktoś wyższy ode mnie prowadzi moje pióro. Zachowywałam odtąd odpowiednie środki ostrożności, nastawiając budzik, który przywoływał mnie do rzeczywistości na godzinę przed powrotem męża. Nigdy więcej nie przyłapał mnie na pisaniu. Pewnego dnia skończyłam swoją pierwszą powieść. Było to niewielkie dziełko o objętości jakichś dziesięciu arkuszy, ale mnie się wydało dwunastotomowym leksykonem. Do tej pory pisywałam tylko listy. Byłam z siebie dumna, że mi się udało stworzyć tak ogromne dzieło, przez co rozumiałam głównie sam fakt zapisania tylu stron. Postanowiłam pokazać komuś rękopis. Drżąc ze strachu, zniosłam go do jakiejś redakcji. Chciano mnie splawić, ale dopomógł mi mój wisielczy humor; redaktorowi spodobały się moje dowcipne odpowiedzi i zaczął przerzucać maszynopis, zerkając na mnie sponad okularów i zadając mi pytania. Połapałam się, czym mogę go ująć, i nuż opowiadać z humorem o tym, jak to rękopis powieści powędrował do pieca z powodu przypalonego obiadu. Udało mi się go rozśmieszyć. Spytał, czy w moim utworze też są takie śmieszne epizody. Byłam przerażona, gdyż to, co pisałam, nie wydawało mi się wcale śmieszne, ale stawiając wszystko na jedną kartę i kuląc się w obliczu tego mocarza, który odprawi sąd nad moją

pisaniną, rzuciłam lekko, że mam taki właśnie styl mieszania powagi z żartem i że komuś może się to wydać śmieszne. I tak zdobyłam sobie w nim przyjaciela, którym pozostał do dziś; to właśnie jemu zawdzięczam swą zawrotną karierę. W ciągu kilku następných dni redaktor przeczytał rękopis i moja powieść została przyjęta do druku. Dostałam honorarium — była to dla mnie wtedy zawrotna suma, od której kręciło mi się w głowie — i zamówienie na nową pracę, dwa razy dłuższą.

— Ależ musiała się pani cieszyć! — rozpromieniła się Jo.

— O tak, moje dziecko — przyznała śmiejąc się pisarka — cieszyłam się, ale też obleciał mnie strach. Nie wiedziałam, co robić z taką górą pieniędzy. Bałam się nieprzytomnie, że mąż dowie się, iż złamałam jego zakaz. Praca literacka stopniowo oddalała mnie od niego. Czułam, że on tego nigdy nie zrozumie, że zawsze będzie gardził moim zajęciem. A przede wszystkim nie wybaczy mi, że tak od niechcienia w ciągu miesiąca zarobiłam prawie tyle, co on przez cały rok. Oddalałam się od niego coraz bardziej, stał mi się kulą u nogi. Pisałam nadal i w ciągu pierwszego roku zgromadziłam spory kapitał. Ale mąż stał mi się tak obcy, że dalsze pożycie z nim wydawało się po prostu niemożliwe. Czułam, że muszę być wolna, by rozwinąć skrzydła. On się chyba domyślał, że mu się wymykam, i zatruwał mi życie zrządzeniem. To mi ułatwiło decyzję. Pewnego dnia miałam dość. Poprosiłam, by mi zwrócił wolność. Zrobił mi straszną scenę. Za kogo ja się uważam, że ośmielam się proponować mu coś takiego? Czy już zapomniałam, że wziął mnie gołą, bez posagu, troszczył się o mnie, i co ja bym bez niego zrobiła? Wtedy powiedziałam mu o wszystkim, spokojnie i rzeczowo. Przeklął mnie, przepowiadając mi marny koniec, powiedział, że moje miejsce jest w domu wariatów. Ale ja postawiłam na swoim; instynkt samozachowawczy jest w człowieku bardzo silny. Wiedziałam, że będę zgubiona, jeśli zostanę z nim, i że każda inna kobieta pasowałaby do niego lepiej niż ja. W końcu rozwiedliśmy się. Wkrótce znalazł inną, prostą kobietę, która nie robiła mu takich przykrych niespodzianek. A gdy w wiele lat później dowiedziałam się, że stracił posadę, pomogłam mu założyć własny interes. Teraz jest zadowolony, że dużo zarabiam, bo korzysta z tego i on, i dwójka jego dzieci. Nigdy się już nie spotkaliśmy. Ale gdy przyciśnie ich bieda, jego żona — przy całej swej prostocie mądrzejsza

od niego — pisze do mnie i prosi o pomoc.

— Och, i wtedy pani im pomaga! Jaka pani jest dobra i szlachetna!

— Ani dobra, ani szlachetna, panno Jo; po prostu nie mam nikogo innego, komu mogłabym pomagać. Jego dzieci, dwie dorodne panny bez kompleksów, co jakiś czas proszą mnie o coś, czego ojciec na pewno by im odmówił. Spełniam ich prośby, one odchodzą uszczęśliwione, a ja cieszę się, że im pomogłam, co mnie w gruncie rzeczy nic nie kosztuje. Łączy nas wspólne nazwisko i nic poza tym. Za każdym razem cieszę się na nowo, że udało mi się wydzwignąć do innej sfery. Myślę, że pani to rozumie.

— Oczywiście, proszę pani; jak to dobrze, że pani się uwolniła. Ale... dostarczając czytelnikom pięknych przeżyć, pozostała pani samotna.

— To prawda! Ale w małżeństwie byłabym jeszcze bardziej samotna. Czyż nie wie pani o tym, że każdy człowiek jest tak naprawdę samotny? Są tylko nieliczne wyjątki od tej reguły. I właśnie takich wyjątkowych ludzi próbuję kreować w swych książkach. Jestem idealistką. Jestem zakochana w swych bohaterach i bohaterkach, gdyż są tacy, jacy chciałabym, by byli wszyscy ludzie. Dlatego moje książki to baśnie.

— Ale jakże piękne baśnie, proszę pani! Pozwalają nam one odewnąć się od szarzyzny życia.

— Widzę, że pani też jest marzycielką. Życzę pani, by pani któregoś dnia znalazła się pośród wyjątków i doznała wyjątkowego szczęścia.

Jo pomyślała o Gerdzie Rainsbergu i oczy jej zabłysły. Nie uszło to uwadze pani Gley, która przyglądała jej się pilnie, uśmiechając się domyślnie. Ale nic nie powiedziała.

W ciągu ich wspólnej podróży, Jo stawiała jej się coraz bliższa. Nigdy dotąd nie pragnęła mieć dzieci, ale teraz pomyślała, że chciałaby mieć taką córkę jak Jo. Czowała, że istnieje między nimi pokrewieństwo dusz.

Pani Gley z Jo płynęły wielkim parowcem do Tunisu. Starsza pani dużo pisała w swym opasłym notatniku i wtedy bywała zła i opryskliwa. Jo nie miała łatwego życia; pani Gley potrafiła być nieprzyjemna. Ale dziewczyna zносиła dzielnie swój los pamiętając o tym, co jej powiedziała pisarka, i nie brała tamtej za złe wybuchów złości.



Jeszcze w Genui przed odjazdem pani Gley dostała od wydawcy swą najnowszą książkę.

Widząc, że Jo pożera książkę oczyma, pisarka z uśmiechem podała jej egzemplarz.

— Ja ją znam — powiedziała — więc może pani zacznie czytać; na statku będzie pani miała dużo czasu.

Odtąd Jo siadywała na pokładzie w pobliżu swej pani, zgłębiając jej najnowsze dzieło. Czasem wybuchiała śmiechem, gdyż zniewalający humor pani Gley znajdował odbicie w jej książkach. Chwilami była bliska łez, gdyż smutek i radość przeplatały się w powieściach Angielki. Za każdym razem, wybuchając głośnym śmiechem, Jo zerkąła na panią Gley, czy jej nie przeszkadza, ale pisarka tylko uśmiechała się zadowolona. Gdy zaś Jo zaszkliły się oczy, mawiała:

— Proszę, panno Jo, by pani zapamiętała, które miejsca panią wzruszyły. Bo ja nigdy nie wiem, czy pobudzam ludzi do śmiechu, czy do płaczu.

— I właśnie dlatego pani dzieła są tak świeże i naturalne. Wszystko wypływa u pani z głębi serca, nie używa pani sztuczek, by śmieszyć czy wzruszać. I dlatego wszystkie sceny, te smutne i te śmieszne, są tak fascynujące.

Starsza pani słuchała tych pochwał w zadumie. Wreszcie za którymś razem powiedziała:

— Czy pani wie, że nigdy jeszcze niczyje uznanie nie sprawiło mi takiej przyjemności, jak pani słowa?

— Jak to? Przecież pani na pewno bez przerwy zbiera same pochwały.

— No tak, ale nigdy jakoś nie mogłam uwierzyć, że są szczerze. A pani wierzę. Dlatego czasem wołałam napaści od pochwał.

— Napaści? — zdumiała się Jo. — A któż by śmiał panią atakować?

— Ach, drogie dziecko — roześmiała się pani Gley — każdy człowiek, który osiągnie sukces, ma wrogów. Taka już jest natura ludzka. Jedno jest pewne: więcej się człowiek uczy z krytyk niż z pochwał, choć te ostatnie są przyjemniejsze. Mówiłam pani o tym redaktorze, który przyjął moją pierwszą powieść i pozostał do dziś moim przyjacielem. Otóż nie usłyszałam od niego nigdy słowa pochwały, a najczęściej nie zostawiał na mnie suchej nitki. Kiedy wysłuchawszy go uważnie, obiecywałam na drugi raz wystrzegać się tych błędów, kwitował to mruklwym: „Inaczej po co miałbym sobie strzępić język?”

Takie rozmowy zbliżały obie panie, tak iż pisarka ani przez chwilę nie żałowała, że zabrała Jo w podróż. Jolanta tymczasem skończyła czytać książkę pani Gley. Pewnego razu stały oparte o reling, podziwiając piękno wybrzeża afrykańskiego. I nagle Jo powiedziała:

- Mam do pani ogromną prośbę.
- Proszę mówić śmiało! — zachęciła ją pisarka, odwracając się.
- Gdy czytałam nową powieść pani, przyszła mi wielka ochota przetłumaczyć ją na niemiecki. Tylko nie wiem, czy pani by się na to zgodziła.

Pani Gley przez chwilę patrzyła na nią w zadumie, wreszcie odparła:

- Co za dziwny zbieg okoliczności. Właśnie przed wyjazdem z Genui poinformowano mnie o śmierci mojej niemieckiej tłumaczki. Już się martwiłam, czy uda nam się znaleźć kogoś równie dobrego na jej miejsce. Nie widzę powodu, by pani nie mogła spróbować. Tylko trzeba wysłać próbkę do mojego niemieckiego wydawcy, gdyż ja nie znam niemieckiego i nie potrafię ocenić jakości pani przekładu. Ma pani dużo czasu. Proszę spróbować przetłumaczyć kilka rozdziałów mojej nowej powieści. Wyślemy wydawcy do oceny. Napiszę mu, że gotowa jestem powierzyć pani tłumaczenie powieści, o ile ocena próbki wypadnie pozytywnie. Jeśli wydawca się zgodzi, przeznaczy pani cały wolny czas na tłumaczenie.

— Pani jest dla mnie za dobra, jak mam się pani odwdziaczyć? — zawołała wzruszona Jo, całując pisarkę w rękę.

— Cicho, ani słowa o wdzięczności! Jeśli pani sobie poradzi, ucieszę się tylko, że będzie pani miała dodatkowy zarobek.

— O nie, nie o to mi chodzi — zaprotestowała Jo. — Chciałam tylko pożytecznie spędzić wolny czas.

— Ach, mała marzycielko — roześmiała się pani Gley. — Niechże pani będzie choć odrobinę praktyczna. Nie powinno się pracować za darmo, nie zgodziłabym się na to. Niech pani tylko nie sądzi, że zbije pani majątek na tłumaczeniach. Tego rodzaju prace nie są zbyt dobrze płatne, gdyż jest zbyt wielu ludzi, którzy mogą je wykonywać. Ale na pewno odłoży pani jakąś sumę na trudne czasy. A więc jazda do pracy! Ja też chcę teraz popracować i nie będę pani potrzebowała.

Jo z zapalem zabrała się do dzieła. Nie miała w tym wielkiej wprawy. Tłumaczenia, które wykonywała dla wuja, to było jednak coś innego.

Ale miała lekkie pióro i tłumaczyła z potrzeby serca, miała więc nadzieję, że poradzi sobie z tym nowym zadaniem. Pani Gley udostępniła jej maszynę. Nim zawinęli do Tunisu, Jo miała gotowe kilka pierwszych rozdziałów. Za radą pani Gley pisała przez kalkę, by mieć kopię przetłumaczonych stron, jeśli wydawca zaakceptuje propozycję. Pisarka wysłała wydawcy maszynopis wraz z listem, w którym proponowała powierzenie przekładu jej najnowszej powieści pannie Warren. Tym bardziej, że po śmierci dotychczasowej tłumaczki, trzeba znaleźć kogoś na jej miejsce.

Czas postoju w Tunisie dzieliły między zwiedzanie bazarów i wycieczki w głąb kraju. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi i wkrótce wyruszyły w dalszą podróż tym samym parowcem. Dokuczliwe upały dały się pani Gley bardziej we znaki, niż się spodziewała, toteż odetchnęła na pokładzie, gdzie było zdecydowanie chłodniej. Jo otoczyła pisarkę troskliwą opieką; wkrótce Angielka przyzwyczała się do upałów i odzyskała dobry humor.

Ich stosunki zacieśniały się coraz bardziej. Jo często myślała, że ta dziwna kobieta jest dla niej jak matka. Nawet częste wybuchy złości i złego humoru Angielki nie psuły dodatniego wrażenia. Mijały one szybką i bez śladu, a stara pisarka pokpiwała z siebie.

— Zachowuję się jak zły pies, gdy mu zabierają kość — mówiła. — Proszę sobie tego nie brać do serca, panno Jo. Ach nie, proszę pozwolić mi mówić do siebie po prostu: Jo. To imię jest cudownie lapidarne i pasuje do pani, ma w sobie coś niepospolitego. Czy pani wie, że jest pani bardzo dystygowaną osobą?

— Nie, nigdy mi to nie przyszło na myśl — powiedziała Jo rumieniąc się.

— A mnie tak! Ktoś, kto pochodzi z nizin społecznych, najłatwiej to zauważa. A najśmieszniejsze jest to, że podziwiam ludzi wytwornych, choć sama nigdy taka nie będę.

— Czy chce pani, bym pani prawiała komplementy? Nie znam drugiej kobiety równie wytwornej jak pani.

— Ależ, moje dziecko, niechże pani nie mówi głupstw! Jestem taką sobie zwyczajną kobietą, pochodzę ze sfery drobnomieszczańskiej.

— To o niczym nie świadczy. Ma pani w sobie tyle wielkości, że aż zdumiewa mnie pani skromność. Z dnia na dzień coraz bardziej

panią podziwiam. Proszę nie myśleć, że prawię pani komplementy; to nie w moim stylu, wstydziłabym się tego. Ale muszę pani wreszcie wyznać, że mam dla pani ogromny szacunek nie tylko jako do pisarki, ale i jako do człowieka. Reprezentuje pani sobą ten rodzaj wytworności ducha, który zjednuje wszystkich. Wrażenie to podnosi pani skromny sposób ubierania się.

Pani Gley zarumieniała się i żartem próbowała pokryć zakłopotanie.

— A co będzie, jeśli pani uwierzę i od dziś zacznę się uważać za wytworną damę?

Komiczny wyraz twarzy pisarki rozśmieszył Jo. Śmiejąc się i całując ją w rękę, powiedziała serdecznym tonem:

— Będę się cieszyła z całego serca. Uważam, że nikt nie jest bardziej niesprawiedliwy dla pani Ellen Gley, niż ona sama.

Wtedy starsza pani przytuliła ją nagle do siebie, pocałowała w policzek i wyrzekła cicho:

— Moje dobre dziecko, pani tak dobrze patrzy z oczu, wierzę, że pani to wszystko mówi szczerze.

— Bardzo bym chciała, by pani w to uwierzyła — zawołała Jo ze łzami w oczach.

Od tego dnia obie były dla siebie jeszcze serdeczniejsze, znosząc wspólnie trudy podróży i rozkoszując się jej przyjemnościami.

W Aleksandrii opuściły parowiec, by dostać się łądem do Kairu, gdzie zamierzały pozostać kilka tygodni. Pani Gley dostała się od razu w wir wytwornego towarzystwa. Było tu wielu Anglików, a każdy znał nazwisko Ellen Gley. Już pierwszego dnia przy śniadaniu stolik, przy którym jadły, ugiął się od kwiatów przysłanych przez wielbicieli i wielu gości ofiarowywało pisarce swe usługi. Znalazło się też paru bliższych znajomych pani Gley, między innymi młody lord Raleigh, z którym się bez przerwy droczyła. Spędziła kilka tygodni w posiadłości jego rodziców i „przy tej okazji poznali się i pokochali”, jak twierdził młody lord. Na co pani Gley odparła z humorem:

— Ależ, Bobby, niechże mnie pan nie kompromituje, nie chcę, by sądzono, że byłam jedną z pańskich licznych miłostek.

— Chce mi pani złamać serce?

— A czy tam jeszcze jest coś do łamania, Bobby?

Z zabawnym wyrazem twarzy lord obmacał swoją pierś, po czym westchnął:

— Rzeczywiście, jest mocno nadwerżone, zwłaszcza że znów ukłuła je strzała Amora.

To mówiąc rzucił Jo zabójcze spojrzenie. Gdy zostały same, pani Gley powiedziała:

— Mam nadzieję, że pani się nie przejmie Bobbym Raleighem, Jo; to lekkoduch, który, gdy tylko spojrzy na ładną kobietę, natychmiast robi do niej słodkie oczy. Proszę przyjmować spokojnie jego hołdy, ale nie dać się zwieść, że to cokolwiek poważnego. On lata jak motyl z kwiatka na kwiatek. Zresztą, wcale mu się nie dziwię, że pani nie ominął, moje dziecko.

— Może pani być o mnie spokojna — odparła Jo, uśmiechając się melancholijnie. — Lord Raleigh nie zawróci mi w głowie.

Pisarka spojrzała na nią uważnie. Nie po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że serce Jo, mimo jej zapewnień, nie było wolne. Ale w takim razie musiała to być nieszcześliwa miłość i Jo nie liczyła na szczęśliwe zakończenie.

Uspokoiwszy się względem Jo, pani Gley niepokoiła się o młodego lorda. Wiedziała, jak niewiele mu trzeba, by zadurzyć się w Jo i nie odstępować jej na krok.

A Bobby Raleigh zakochał się nie na żarty, mimo że Jo traktowała go z chłodną uprzejmością i doprowadzała do rozpaczony ironicznymi uwagami. Gdy pani Gley zdradziła swój zamiar podróży Nilem wraz z Jo, lord uparł się, że będzie im towarzyszył. W jego ślady poszło niestety kilkoro innych panów i pań. Pisarka przyjęła to bez entuzjazmu. Bobby'ego chętnie widziała u swego boku, gdyż ją rozweselał i lubiła go mimo jego wad. Ale reszta towarzystwa będzie jej przeszkadzała. Nie było jednak sposobu, by się ich pozbyć. Najbardziej zainteresowana wspólną podróżą była młoda lady Sholms, zakochana po uszy w Bobbym, czego on wcale nie dostrzegał. Znał ją zbyt długo, by teraz ulec jej urokowi.

Koniec końców najwytrwalsi postawili na swoim i miast dwu — na wycieczkę w górę Nilu popłynęło osiem osób.

Bobby był tak zakochany w Jo, że zmartwiona pisarka próbowała przemówić mu do rozsądku:

— To naprawdę bez sensu, drogi Bobby, że pan rozbudza w sobie namiętność do panny Warren. Czy pan nie widzi, że ona pana nie dostrzega?

— Widzę, i właśnie dlatego wydaje mi się tak urocza i godna pożądania. Po raz pierwszy w życiu myślę poważnie o małżeństwie.

— Z panną Warren?

— Tak, z nią, tylko z nią!

— Ależ ona nie ma najmniejszego zamiaru wyjść za pana.

— Może zmieni zdanie.

— Drogi Bobby, to prawda, że panna Warren doskonale nadaje się na żonę lorda. Ale proszę pomyśleć, co by powiedzieli pańscy rodzice, gdyby się okazało, że ich synowa jest moją byłą damą do towarzysstwa i w dodatku ubogą dziewczyną.

Bobby pozostał niewzruszony.

— Mama zemdleje, ale zaraz przyjdzie do siebie, a tata mnie wydziedziczy, by, poznawszy pannę Warren, wystawił mi tym wyższy weksel. Za miesiąc tata i mama będą się bić o zaszczyt rozpieszczania panny Warren, a ja będę bezgranicznie szczęśliwy.

— Póki pańskie niestałe serce nie znajdzie sobie innego obiektu zainteresowania.

— Wykluczone, tym razem zakochałem się na amen.

— Słyszałam to już nie raz.

— Nie, nie, tym razem to już na zawsze. No, niech pani powie sama: czy ona nie jest urocza? Jaka z niej będzie dumna lady!

— Niechże pan będzie poważny, Bobby; to nie uchodzi. Niech się pan lepiej zakocha w lady Sholms. To inna sprawa; pańscy rodzice bardzo temu sprzyjają. Ona pana kocha i jest również uroczą dziewczyną, ma wiele wdzięku, jest wesoła; pasuje do pana.

— Właśnie, aż za bardzo! Rodzice od dawna suszą mi tym głowę, bo wszystko się tak cudownie składa. To wystarczy, bym jej nie lubił.

— No, tak, pańscy rodzice popełnili błąd, polecając ją panu. Lepiej by zrobili, grożąc panu klątwą i wydziedziczeniem, gdyby pan się odważył wziąć ją za żonę. Gdyż pana pociąga tylko zakazany owoc, czyż nie tak?

— Jak pani mnie dobrze zna — mówił Bobby, całując ją w rękę.

— Gdyby pani była w moim wieku, musiałaby pani zostać moją żoną.

— Jakież z pana dzieciak, Bobby! Gniewałabym się na pana jeszcze bardziej, gdyby nie pewność, że dostanie pan kosza, jeśli się pan oświadczy pannie Warren.

— Naprawdę uważa to pani za możliwe? — spytał obrażony lord.

— Absolutnie pewne!

— Nie wierzę pani. Na razie się jeszcze broni, ale na szczęście wszystkie kobiety tak się zachowują na początku. Inaczej flirt byłby czymś straszliwie nudnym.

— Z taką kobietą jak Jo Warren się nie flirtuje. Ona jest na to za dobra.

— Właśnie dlatego chcę się z nią ożenić!

— Wracamy do punktu wyjścia. Bobby, chyba nie chce pan się skompromitować, dostając kosza. Niech się pan zakocha w lady Sholms i wtedy wszystko będzie dobrze.

— Równie dobrze mogłaby pani żądać ode mnie, bym wyrwał sobie serce z piersi i kazał wstawić inne.

— Och, co za tragiczny ton! Bobby, ręczę, że za miesiąc obudzi się pan z tego snu. Więc lepiej niech się pan obudzi teraz, nim dostanie pan kosza. U lady Sholms miałby pan murowany sukces, ona pana szczerze kocha mimo pańskich wad.

— Czy ja wiem?

— Chyba trochę znam się na ludziach.

Lord zerknął na młodą Angielkę, ale zaraz jego wzrok powędrował ku Jo, rozmawiającej nie opodal z kilkoma panami, i szanse lady Sholms znów spadły do zera.

— Proszę się nie trudzić, nie przekona mnie pani — powiedział.

— Nie dam się zastraszyć koszem. Zdobędę miłość panny Warren.

— Proszę bardzo, jeśli chce się pan sparzyć! Zresztą będzie to niegroźne poparzenie.

Młody lord patrzył na nią roześmianymi oczami.

— Już dziś zapraszam panią na mój ślub z panną Warren.

— Nic więcej nie powiem. Bobby. Ostrzegalam pana. Poniesie pan konsekwencje swego szaleństwa.

Lord roześmiał się swawolnie. Dziecko szczęścia, nie wyobrażał sobie, by jakiegokolwiek pragnienie mogło mu się nie spełnić. Zmusił się, by podejść do lady Sholms i pogawędzić z nią przez chwilę. Taka

najgorsza nie jest, pomyślał mimochodem, choć gdzie jej tam do panny Warren.

Po czym ruszył szeroką aleją ogrodową okalającą hotel Sheppard i podszedł do Jo, stojącej w towarzystwie kilku panów. Byli to starsi mężczyźni i Jolanta rozmawiała z nimi serdecznym tonem. Bobby'ego potraktowała chłodniej.

— Pani Gley wzywa panią, panno Warren — powiedział lord. — Mogę panią do niej zaprowadzić?

Odebrawszy w ten sposób Jo pozostałym panom, poprowadził ją w głąb ogrodu. Zorientowawszy się, że młodzieniec nie prowadzi jej wcale do pisarki, Jo powiedziała spokojnie:

— Dziękuję panu za fatygę, lordzie; teraz już sama trafię.

— Pospacerujmy trochę — poprosił.

— Przecież mówił pan, że pani Gley mnie wzywa — roześmiała się.

— To był wybieg! Chciałem z panią porozmawiać, ci panowie już zbyt długo cieszyli się pani obecnością.

— Czy pozwoli pan, lordzie, bym sama o tym decydowała?

— Dlaczego traktuje mnie pani z taką rezerwą? Dla innych jest pani miła i dobra, a dla mnie surowa.

Jolanta spojrzała na niego poważnym wzrokiem.

— Może nie zasługuje pan na lepsze traktowanie?

— Ja? Czyż pani nie ubóstwiam?

— Tego właśnie nie powinien pan robić. To nie licuje z moją obecną pozycją. Niechże pan będzie rozsądny. Stawia mnie pan w niezręcznej sytuacji, a pańskie hołdy dla mnie są źle przyjmowane przez innych.

Lord Raleigh zarumienił się pod wpływem jej spojrzenia, w którym malował się wyrzut.

— Czy lady Sholms robiła pani przykrości?

Po twarzy Jo przemknął cień uśmiechu.

— Lady Sholms nie zaszczyciła mnie do tej pory ani jednym słowem — odparła. — A to znaczy więcej od słów.

— Niech się pani tym nie przejmuję.

Jo zatrzymała się. Była bardzo blada, cierpiała. Wiedziała, że straciła już dobre imię — nie z własnej winy — ale nie chciała, by umizgi lorda wytworzyły wokół niej aurę sensacji; szkoda jej było pani Gley.

— Czy może pan coś dla mnie zrobić, lordzie?



— Wszystko!  
— Więc proszę się mną więcej nie zajmować; to mi naprawdę komplikuje życie.

Lord zbladł.

— Mówi to pani poważnie? Nawet gdybym pani powiedział, że chcę panią pojąć za żonę?

Na jej twarzy wykwitł rumieniec. Tego się nie spodziewała. Sądziła, że lord chce z nią po prostu poplirtować.

— Mój Boże, lordzie! — wykrzyknęła. — Mam nadzieję, że nie mówi pan tego poważnie.

— Jak najpoważniej!

— Nie, nie, proszę tak nie mówić, to przecież niemożliwe!

— Czy jestem pani aż tak wstrętny?

Jo uśmiechnęła się lekko; lord miał minę zawiedzionego chłopczyka, który nie dostał zabawki.

— Bynajmniej, jest pan bardzo miły i wesoły, i chętnie bym się z panem zaprzyjaźniła. Zachowywałam się wobec pana z rezerwą, gdyż czułam, że pan niepotrzebnie wzbudza w sobie uczucia, które przyniosą panu rozczarowanie.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ nie mogę zaspokoić pańskich pragnień i muszę to panu powiedzieć.

— Czy to znaczy, że nie mogłaby mnie pani polubić?

— Nie tak, by zostać pańską żoną.

— Ale ja mam pani do zaoferowania rzeczy, którymi nawet wybredna kobieta by nie wzgardziła.

— Właśnie za dużo pan oferuje jak dla mnie, nie licząc pańskiej interesującej osobowości. Może pan uszczęśliwić każdą kobietę, tylko nie taką, która — mówię to panu w całkowitej dyskrecji — już nie dysponuje swobodnie swym sercem.

— Ach, kocha pani innego — zawołał blednąc i cofając się o krok — i jemu odda pani rękę? Zjawiłem się za późno?

— Właśnie, i dlatego nie powinien pan sobie tego brać do serca. Nawiasem mówiąc, nigdy nie wyjdę za człowieka, któremu oddałam serce, gdyż to po prostu niemożliwe.

— Chyba nie chce pani powiedzieć, że on pani nie kocha?

Na te słowa oczy Jolanty rozblęły takim blaskiem, że lord poczuł ukłucie w sercu. Tak, Bobby Raleigh dziś po raz pierwszy poczuł, że naprawdę ma serce.

— Owszem — mówiła Jolanta — może kocha mnie tak samo jak ja jego, a mimo to nigdy się nie zejdziemy. Proszę, nie mówmy więcej o tym. Tylko dlatego panu o tym powiedziałam, by pan czym prędzej porzucił niepotrzebną skłonność. Przykro by mi było, gdybym musiała pana zasmucić.

Lord westchnął, pocierając nerwowo czoło.

— Mimo wszystko jest pani jeszcze bardziej czarująca, niż myślałem. To bardzo bolesne dla mnie, proszę mi wierzyć. Ale dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. To bardzo szlachetnie z pani strony. I kiedy... kiedy to przeboleję, pragnąłbym, byśmy zostali przyjaciółmi.

— Bardzo się z tego ucieszę. Życzę panu, by pan i tym razem szybko się wyleczył; pani Gley powiedziała mi, że pan fruwa z kwiatka na kwiatek.

— Kiedyś tak, ale teraz zdaje mi się, że opaliłem sobie skrzydełka.

— Jestem pewna, że się zagoją — powiedziała Jo, uśmiechając się filuternie.

Lord patrzył na nią zbolalym wzrokiem czując, że odrobina melancholii dobrze robi, pogłębia odczucia.

— I co ja teraz pocznę z moją nieszczęśliwą miłością? — żalił się.

— Niech pan nią obdarzy inną kobietę, lordzie, która z radością będzie pana leczyć — odparła Jo, zerkając wymownie na lady Sholms.

— To nie będzie takie łatwe — lord westchnął tak, że kamień by się wzruszył.

— Muszę iść do pani Gley; proszę wybaczyć, lordzie.

Bobby Raleigh postąpił jeszcze chwilę, po czym obrócił się na pięcie i podszedł do lady Sholms. Zauważył, że oczy dziewczyny zabłyły, i było to jak balsam na jego zranione serce.

Jo podeszła do pani Gley, która obserwowała całą scenę.

— No jak tam, Jo, rozmowa z lordem Raleighem zakończyła się pomyślnie?

— Mam nadzieję — roześmiała się Jo.

— Dziecino, dokonała pani wspaniałego podboju, wyznał mi, że chce się z panią ożenić.

Jo zarumieniła się, lecz patrząc swej pani prosto w oczy, odparła poważnie:

— Skoro tak, to nie muszę przed panią ukrywać, że przed chwilą mi się oświadczył.

— Ach! — wykrzyknęła pani Gley zaintrygowana. — I co pani na to?

— Odrząciłam go, proszę pani, choć było mi przykro, że sprawiam mu ból.

— Czy pani się dobrze zastanowiła? — pytała pani Gley, przyglądając jej się uważnie. — Raleighowie to stary, bogaty ród z tradycjami, a Bobby'ego rodzice tak kochają, że zgodziliby się nawet na panią jako synową. Bobby mie miał co do tego wątpliwości.

— Nie było się nad czym zastanawiać, proszę pani — stwierdziła lakonicznie Jo.

— Wiedziałam! — zawołała pani Gley, kiwając głową. — Kobieta taka jak pani wybiera sercem, nie rozumem.

— Nie miałam wyboru.

— Podejrzywałam coś takiego. Czytam w pani oczach, że przeżyła pani tragedię. Ale nie zamierzam wchodzić z butami do pani serca.

— Kochana, dobra pani, nie potrzebuje pani tego robić. Moje serce jest przed panią otwarte. Dumna jestem z tego, że i pani obdarzyła mnie zaufaniem i opowiedziała mi swoje życie. Niczego bardziej nie pragnę, jak móc pani kiedyś opowiedzieć o wszystkim co mi leży na sercu. Myślę, że to by mi ulżyło. Ale jeszcze nie mogę tego uczynić; dałam słowo, że będę milczała. Dałam je wprawdzie człowiekowi niegodnemu, ale to niczego nie zmienia, prawda?

— Oczywiście.

— A więc, gdy będę już zwolniona ze słowa, opowiem pani moją historię, i mam nadzieję, że pani nadal będzie dla mnie dobra. Zasługuję na to, choć okoliczności... ach nie, proszę jeszcze poczekać!

Pani Gley pogłaskała ją łagodnie po rękę.

— Poczekam, Jo; proszę się uspokoić, cokolwiek pani przeszła, może pani liczyć na moją wyrozumiałość. A teraz dość już o tym. Jakże młody lord zniósł kosza? Zdaje się, że dostał go po raz pierwszy w życiu, bo nigdy dotąd nie oświadczył się kobiecie.

— Przeżyje to; może pomoże mu to zbliżyć się do lady Sholms. Mówiła pani, że jego rodzice chętnie widzieliby w niej córkę. Pokazałam mu drogę i jak widzę prowadzi z nią ożywioną rozmowę.

— Ja też mu wskazywałam tę drogę — mówiła pani Gley odzyskując dobry humor. — Ale pani wskazówki okazały się skuteczniejsze. Pospiskujemy trochę, Jo, i zabawmy się w Opatrzność. Może uda nam się pobudzić Bobby'ego do poważnej decyzji.

— Jestem gotowa wkraść się w łaski lady Sholms — uśmiechnęła się Jo. — Do tej pory patrzyła na mnie wilkiem.

— To się zmieni, gdy tylko zauważy, że pani nie zamierza usidlić Bobby'ego. To miła i mądra dziewczyna. Ale miłość odbiera człowiekowi rozum. Kocha Bobby'ego i dlatego jest do pani wrogo usposobiona; może nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Szepnę jej niby od niechcenia słówko, że nie potrzebuje się obawiać konkurencji z pani strony. To ją na pewno odmieni.

— Jest pani mądra i dobra jak zawsze. Jestem pewna, że potrafi jej to pani powiedzieć w taki sposób, by nie wspominać o oświadczeniach lorda Raleigha. Za nic bym tego nie chciała!

— Nie ma obawy! — skinęła głową pani Gley. — Ale cieszę się, że nie chce się pani chełpić tym podbojem. Inna na pani miejscu nie byłaby tak dyskretna.

W tej chwili podeszło do nich kilka pań, by omówić z panią Gley szczęśliwy wycieczki w górę Nilu.

## XIV

Wieczorem tego samego dnia, znalazłszy się w swoim pokoju, Jo skończyła szczegółową spowiedź pisemną przeznaczoną dla wuja. Gdy zawiąną do Bombaju, nada list jako przesyłkę poleconą, tak by profesor otrzymał ją w połowie sierpnia.

W dwa dni później, wczesnym rankiem, ośmioosobowe towarzystwo wsiadło na parostatek, który miał ich powieźć w górę Nilu aż do

Wadi Haifa. W Luksorze miano przerwać podróż na kilka dni, by zwiedzić ruiny świątyń i grobów królewskich. Parowiec popłynie dalej, by po kilku dniach przyjąć ich znów na pokład.

Mijali Heluan. Większość towarzystwa zwiedziła tę miejscowość już wcześniej; z Kairu można się tam było dostać pociągiem. Celem takich wycieczek było słynne i piękne miasto hoteli Al Hayat, którego białe budynki lśniły z daleka. Po drugiej stronie rzeki, w oddali, wznosiły się piramidy, a nieco dalej na południe — tajemniczy sfinks. Kilka dni wcześniej pani Gley z Jo zwiedziły te cuda architektury. Przy okazji pisarka zwierzyła się Jolancie, że te archaiczne kamienne wzgórza nie robią na niej żadnego wrażenia.

— Dla mnie istoty żeńskie — mówiła — tak stare jak sfinks nie mają w sobie nic pociągającego ani tajemniczego. Tylko niech pani nikomu nie zdradzi moich heretyckich poglądów, Jo. Nie chcę być ukamienowana.

Teraz przyglądały się tym dziwom przeszłości majaczącym na horyzoncie i pani Gley stwierdziła, że z oddali wyglądają korzystniej. Zgodnie ze swą naturą milczała jednak sceptycznie, gdy reszta towarzystwa rozpyływała się w głośnych zachwytach.

Widok tych dziwnych budowli wrzynających się w niewzruszony błękit nieba i odcinających ostro na tle świecącej krechy horyzontu, zachwycił pisarkę. Miała ochotę wykrzyknąć: proszę państwa, pięć minut ciszy!

Jo rozumiała jej uczucia, gdyż sama cierpiała z powodu naiwnych zachwyków podróży, przeszkadzających jej w kontemplacji wspaniałych obrazów.

Wreszcie towarzystwo zmęczyło się i zapanował spokój. Statek zbliżał się do Dederah, zaraz za Tebami, gdzie Nil tworzy wielkie kolano, a stamtąd było już niedaleko do Luksoru.

W czasie podróży lady Sholms kilkakrotnie zwracała się do Jo, a ona odpowiadała jej uprzejmie. Widać pani Gley zrobiła swoje. A gdy w Luksorze schodzili na ląd i lord Raleigh pomagał damom przejść po, trapie, młoda Angielka, wzięwszy Jo pod ramię, zwierzyła jej się, iż nie wiedziała, że Jo mówi tak świetnie po angielsku, inaczej dawno już nawiązałyby z nią znajomość.

— Pani Gley mi o tym powiedziała — ciągnęła. — Prawda, że to wspaniała kobieta? A jej książki są zachwycające.

Jolanta żywo dzieliła z nią zachwyty nad powieściami pani Gley, a gdy na dodatek przyłączył się do nich Bobby, ożywiając konwersację, młoda lady była wniebowzięta. Rzeczywiście, nim wsiedli na statek, pisarka niby to przypadkiem powiedziała do niej kilka zdań na temat Jo.

— Panna Warren to bardzo wartościowy człowiek. Jest trochę przygaszona, gdyż ma za sobą ciężkie przeżycia. Cieszę się, że lord Raleigh trochę się nią zajął, bardzo go o to prosiłam. Wydaje mi się, że to jedyna kobieta, dla której Bobby żywi wyłącznie uczucia przyjaźni i z którą nie zamierza flirtować.

Młoda lady słuchała ciekawie tych wynurzeń i w końcu spytała z lekkim powątpiewaniem w głosie:

— Jest pani tego pewna?

— Absolutnie pewna — skinęła energicznie głową pisarka. — Słyszałam to z jego własnych ust, a i panna Warren mówiła mi, że pozostają ze sobą na stopie przyjacielskiej.

W tym samym czasie, z wiadomych powodów, lord Raleigh zaczął się nią bardziej interesować, mówiąc między innymi:

— Panna Warren zwróciła mi uwagę, jakie pani ma piękne i pełne wyrazu oczy, lady Sholms.

Tak więc młoda Angielka uwierzyła wreszcie, że Jo nie zagraża jej planom. Obie dziewczyny zbliżyły się w czasie podróży parowcem.

Gdy potem w Luksorze na tarasie hotelu podziwiano cudowną księżycową noc, pani Gley i Jo postarały się, by Bobby i Maud Sholms zostali sami w tej romantycznej scenerii. Zranione serce Bobby'ego łaknęło ukojenia, Maud Sholms zaś — miłości lorda.

I, jak to bywa w takich razach, ani się obejrzeli, jak Maud znalazła się w ramionach Bobby'ego, a jej pocałunki były tak gorące i namiętne, że młodzieniec musiałby być z kamienia, by im się oprzeć.

A pani Gley i Jo zjawily się w odpowiedniej chwili, by nie dać Bobby'emu ochłonąć z wrażenia. Ellen Gley poczęła gratulować młodym, Jo dołączyła się do tych gratulacji — i zareczyny stały się faktem. Maud rzuciła się w ramiona Jo, wyznając z zakłopotaniem:

— I pomyśleć, że byłam o panią zazdrosna i nawet nie podejrzewałam, że Bobby mnie kocha.

Jo wymieniła kpiąco spojrzenie z Bobbym ponad jej ramieniem, mówiąc z uśmiechem:

— Okropnie się pani myliła, lady Maud.

Gdy potem Bobby poszedł ze swą narzeczoną na spacer nad Nilem, a ona znów powiedziała, że była zazdrosna o Jo, lord odparł, po raz ostatni czując lekkie ukłucie w sercu:

— Wyobraź sobie, Maud, że ona kocha innego, a rozmawialiśmy przeważnie o tobie. Uważała, że jesteś czarująca.

Teraz i Bobby uważał, że Maud jest czarująca, gdy wtulona w jego ramiona patrzyła na niego kochającymi, błyszczącymi niebieskimi oczyma. Nie miał pojęcia, że w tej dziewczynie jest tyle ciepła, i rana w jego sercu zablizniała się szybko.

Za zgodą Bobby'ego pani Gley jeszcze tego wieczoru nadała telegram do jego rodziców, donosząc o tak pożądanym przez nich zaręczynach.

Gdy obejrzano już wszystko, co było do obejrzenia w Luksorze i okolicy, towarzystwo popłynęło dalej w górę Nilu, mijając Edfu, Kom Ombo i Asuan. Minęli wielkie zapory wodne, po prawej ręce Abu Simbel, po lewej Korosko, aż dotarli do Wadi Haifa. Stamtąd podjęto jeszcze wycieczkę pociągiem do Chartumu.

Ellen Gley była zadowolona, że wreszcie skończyła się ta męcząca wycieczka po Nilu w zbyt licznym towarzystwie.

— Po tym doświadczeniu cieszę się podwójnie, że wreszcie znów zostaniemy same — szepnęła do Jo.

Jo czuła to samo, choć lepiej zniosła tę podróż od swej pani. Pi-sarka zaś miała przynajmniej tę satysfakcję, że pomogła swym przyjaciółom wprowadzić płochego syna w stałe koleiny małżeńskie. W Kairze czekały dwa radosne telegramy: od rodziców lorda Raleigha i od rodziców Maud. Dziewczyna podróżowała bowiem tylko w towarzystwie ciotki — starej panny pilnującej Maud niby kwoka kurczą-cia. Gdyby nie energiczna pomoc pani Gley i Jo, trzymających ciotkę z daleka od podopiecznej, na pewno nie doszłoby do zaręczyn.

Pani Gley również otrzymała pocztę. Był to list od wydawcy, który donosił, że tłumaczenie Jo jest doskonałe, że to najlepszy przekład z angielskiego, jaki mu się kiedykolwiek trafił. Pytał, czy nie chciałaby dla niego tłumaczyć również innych książek z angielskiego. Będzie jej płacił takie samo honorarium, jak jej poprzedniczce.

Przeczytawszy list, pisarka z uśmiechem podała go Jolancie. Jo na przemian bladła i rumieniała się, a skończywszy czytać, przycisnęła kartki do serca.

— To cudowne, proszę pani! Mam w to wierzyć, czy też wydawca chciał tylko zrobić pani przyjemność?

— Nie, nie, Jo, to człowiek interesu. Może pani być pewna, że jest zadowolony z pani tłumaczenia. A więc może pani kontynuować pracę nad przekładem mojej książki. A co z innymi pracami dla wydawnictwa?

— Przecież pani mi na to nie pozwoli — niepewnie odparła Jo, wzruszając ramionami.

— A dlaczego to?

— Bo traciłabym zbyt wiele czasu.

— Ależ, dziecko, kiedy sama pracuję, nie potrzebuję pani. Będzie pani miała dość wolnego czasu.

— Jaka pani dobra! Ale jeśli mam tłumaczyć, to domagam się zmniejszenia pensji.

— Aha, dumna jak Hiszpan! Dobrze, zmniejszę pani wynagrodzenie o jedną trzecią, gdy tylko dostanie pani pierwsze honorarium.

— Ale to będzie ze stratą dla pani.

— Nie szkodzi! Pani mi wyświadcza tyle przysług, których nie ma w naszej umowie... A poza tym, polubiłam panią, mała Jo, i chcę pani pomóc wystartować. Gdy nasza podróż dobiegnie końca, może straci pani u mnie pracę. Chcę mieć pewność, że pani sobie beze mnie poradzi. Przygotuję dla pani odpowiednią umowę z wydawcą; niech wie, że zyskuje w pani wartościowego współpracownika. A co z francuskim? Czy mam napisać wydawcy, że może pani także tłumaczyć z francuskiego? Czuje się pani na siłach?

— Chyba tak. Skoro tłumaczenie kilku rozdziałów z pani książki było udane, to i z francuskim sobie poradzę.

— W porządku! Napiszę w tym duchu do wydawcy. Muszę mu nakłąć do głowy, jakim to pani jest dla niego wspaniałym nabytkiem, i zażądać porządnego honorarium. Nie mogę tego zostawić pani, bo pani jest za skromna na takie pertraktacje.

Wzruszona Jo bez słowa pocałowała pisarkę w rękę, ta zaś przytuliła ją do serca.



— Dziecino, dopiero teraz, od kiedy pani jest przy mnie, czuję, jakie to musi być wspaniale mieć córkę. A może kiedyś zdecyduje się pani przenieść na stałe do Anglii i zamieszkać blisko mnie? Żał mi rozstawać się z panią. Mogłaby pani mieszkać w moim domu w zamian za dotrzymanie mi towarzystwa, zwłaszcza przy posiłkach, bym nie czuła się taka samotna. Dopiero gdy pani przy mnie nie będzie, poczuje, jak samotna byłam dawniej. Mogłybyśmy razem pracować: pisałabym powieści, które pani by tłumaczyła. Co pani na to?

Jo słuchała w zadumie. Może dobrze byłoby wyjechać z Niemiec; za granicą nikt nic o niej nie wie. Impulsywnie ścisnęła dłoń pani Gley mówiąc:

— To by było wspaniale, proszę pani. Muszę wyznać, że kocham panią i szanuję jak matkę. Ta propozycja jest cudowna, fantastyczna. Ale zanim się pani zdecyduje zabrać mnie ze sobą, musi pani poznać historię mego życia. Będę ją mogła opowiedzieć w połowie sierpnia. Jeśli po tych zwierzeniach nadal będzie mnie pani uważała za godną, by mieszkać z panią, to... och, brak mi słów, by wyrazić moją radość!

Tu Jo nie wytrzymała i rozplakała się. Pani Gley głąskała ją po głowie, uspokajając ją.

— Już teraz wiem, że nie zmienię zdania. A więc postanowione: jeszcze dziś napiszę do wydawcy, a potem zobaczymy.

Na tym zakończyła się rozmowa. Jo wróciła do swego pokoju i bez sił opadła na fotel. Jej myśli krążyły wokół tego, co jej powiedziała pani Gley. Czuła ogromną wdzięczność dla tej wspaniałej kobiety. Nareszcie przestała się martwić o swoją przyszłość, mając zapewnione źródło dochodów. O, dołoży wszelkich starań, by dobrze tłumaczyć!

Lecz właśnie dziś było jej bardzo smutno, myślała bowiem dużo o Gerdzie Rainsbergu. Chcąc się uspokoić, zabrała się do tłumaczenia dalszych rozdziałów książki pani Gley.

Jo siedziała w towarzystwie swej pani, lorda Raleigha, lady Sholms i jej ciotki na tarasie hotelu. Po upalnym dniu panował tu miły wieczorny chłód, wygwieżdżone niebo nad głowami stanowiło niezrównany widok. Rozmawiano o bliskim wyjeździe narzeczonych i ciotki Maud. Rodzice zażądali natychmiastowego powrotu dzieci,

gdyż, z uwagi na pozycję towarzyską obu rodów, należało urządzać huczne przyjęcie zaręczynowe.

Pani Gley również miała dość Egiptu. Zamierzała wrócić do Aleksandrii, skąd za trzy dni odpływał statek do Indii.

Jo przysłuchiwała się z zainteresowaniem rozmowie. Wtem drgnęła gwałtownie: w rześścicie oświetlonych drzwiach prowadzących na taras ukazała się nowa para, rozglądając się za odpowiednim miejscem. Jo natychmiast poznała w wysokim mężczyźnie „Henri Fleurona”; był w towarzystwie tej samej kobiety, co w Monte Carlo. Jo dreszcz przebiegł po plecach. Zacisnęła kurczowo ręce zimne jak lód. Czy nigdy nie będzie mogła zapomnieć o tym człowieku? Jak długo będzie go jeszcze spotykać na drodze swego życia? Znów załała ją fala wstydu; chciała uciekać, gdzie ją nogi poniosą. Mężczyzna wyglądał fascynująco w eleganckim ciemnym stroju wieczorowym, a jego towarzyszką, ubrana trochę zbyt krzykliwie, mieniła się od pereł i diamentów. Musiała być bardzo bogata. Zresztą, to zrozumiałe, ten człowiek zadawał się tylko z bogatymi kobietami.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Ellen Gley:

— Proszę spojrzeć na ten sklep jubilerski. Więcej kosztowności już chyba nie miała!

Wszyscy od razu domyślili się, kogo pisarka miała na myśli. Przyjrzeni się uważnie dziwnej parze.

— Jej towarzysz jest piękny jak malowanie! — zauważyła Maud.

Bobby natychmiast poczuł się zazdrosny.

— Nie patrz na niego, Maud, bo będę się musiał z nim boksować! — zawołał pół żartem, pół serio.

— Och, Bobby — wykrzyknęła mile polecthana dziewczyna — czy nikt inny nie może mi się już podobać?

— Nikt poza mną, Maud, zapowiadam ci to raz na zawsze. Prawda, ciociu Mary, że jako narzeczony Maud mam prawo tego od niej żądać?

— Ależ oczywiście, Bobby; Maud tylko żartowała — wyjaśniła przestraszona stara panna.

— Proszę cię, Bobby — powiedziała Maud, ujmując jego dłoń — napędziłeś stracha cioci. Zachowujesz się jak prawdziwy Otello.

Młody lord podniósł ukradkiem dłoń dziewczyny do ust, a pani Gley stwierdziła, że zupełnie już zapomniał o nieszczęśliwej miłości.

Tylko Jo była niespokojna. Przestraszona zerkała ukradkiem ku obcej parze, a nie mogąc się schować w mysią dziurę, ukryła się za szerokimi plecami lorda Raleigha, gdzie nie mógł jej dosięgnąć wzrok Henri Fleurona alias Alberta Respica.

Udało jej się niepostrzeżenie przejść obok niego, gdy wraz ze swym towarzystwem opuszczała taras. Bobby poszedł do recepcji dowiedzieć się o nowo przybyłych. Wróciwszy do pań oznajmił:

— Francuz, monsieur Fleuron. Zresztą to widać po nim, choć nosi się z przesadną elegancją. Za to jego małżonka wygląda tak, jakby była żoną amerykańskiego hodowcy świń.

W ten sposób Jo dowiedziała się, że Alberto Respico prawdopodobnie znów się ożenił — i znów pod fałszywym nazwiskiem. Wyglądało na to, że tym razem ziściły się jego marzenia: związał się wreszcie z bogatą kobietą.

Gdy wróciła do siebie, znów opadły ją wątpliwości. Może popełnia czyn karalny, pozwalając temu hochsztaplerowi spokojnie uprawiać niecny proceder? Jego „żona” nie wie zapewne, że ożenił się z nią pod fałszywym nazwiskiem, a przy tym on ma już jedną żonę w Hiszpanii. Jo czuła się nieszczęśliwa i opuszczona. Co robić? Czy ma spokojnie patrzeć na to, jak on oszukuje tę kobietę, chcąc zagarnąć jej majątek?

Ale czy mogła cokolwiek przedsięwziąć, sama nie padając ofiarą okropnego skandalu? Czy ma obowiązek ostrzec tę obcą kobietę? A czy ją ktoś ostrzegł? Zresztą teraz jest już za późno. Poza tym — jaka ona jest szczęśliwa i dumna, pokazując się w towarzystwie tak przystojnego mężczyzny. Czy nie odda jej niedźwiedziej przysługi, otwierając jej oczy?

Ach, sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Po prostu usprawiedliwia się sama przed sobą, nie mając odwagi zdemaskować tego łobuza. Wzdrygnęła się na myśl o tym, co by powiedziała lady Maud, jej świętoszkowata ciotka i lord Raleigh, gdyby się domyślali, co ją tak poruszyło.

Ogarnęło ją przerażenie. Co będzie, gdy ją zobaczy? Trudno uniknąć spotkania, gdy się mieszka w jednym hotelu. Czy znów by jej się przyglądał z tym swoim perfidnym uśmiechem albo przysłał znów bilecik z ukrytą groźbą? A gdyby ktoś to przeczytał — na przykład pani Gley?

Ach, ona na pewno by ją zrozumiała. To mądra i dobra kobieta. Ale kto wie, może nie chciałaby mieć z nią więcej nic wspólnego?

Zacząła się modlić, by Alberto Respico jej nie spotkał. Dzięki Bogu mają tu być tylko kilka dni. A do Indii ten człowiek chyba nie pojedzie.

Prawie nie spała tej nocy, co jakiś czas budziła się, patrząc z przerażeniem w mrok pokoju. Z utęsknieniem czekała na tę chwilę, gdy wuj przeczyta jej spowiedź. Może uda mu się podjąć jakieś kroki, by unieszkodliwić tego osobnika.

Nazajutrz wstała rozbita i nieszczęśliwa. Pani Gley wybierała się dziś z Bobbym Raleighem, jego narzeczoną i ciotką na przejażdżkę po pustyni. Gdy Jo jak co ranka weszła do pokoju swej pani, gdzie zwykle spożywały wspólnie śniadanie na ocienionym balkonie, poprosiła pisarkę, by zwolniła ją z wycieczki. Nie czuje się dobrze i boi się upału.

— Wołałabym dziś zostać w domu, proszę pani — mówiła.

— Wygląda pani nieszczęśliwie, dziecińco — zatroskała się Angielka. — Oczywiście zwalniam panią. Dla mnie też byłoby pewnie lepiej, gdybym została w domu zamiast drapać się na grzbiet wielbłąda, ale nie chcę sprawiać zawodu Bobby'emu i lady Maud. No, jakoś to przeżyję. Od jutra zostaniemy same i nikt nie będzie nam dyktował, co mamy robić. Ta cała wyprawa egipska w towarzystwie moich hałaśliwych ziomków wyszła mi bokiem. Mam wrażenie, że w kraju łatwiej ich znieść niż tutaj, gdzie przez cały dzień nie mają nic innego do roboty, jak działać człowiekowi na nerwy. Dobrze, niech pani zostanie. Myślę, że najlepiej będzie pani tutaj na balkonie, gdzie jest dużo cienia.

Jo została na balkonie. Tymczasem na dole pisarka dosiadła wielbłąda i rzuciwszy Jo żalosalne spojrzenie, skierowała się wraz ze swymi towarzyszami na pustynię.

Jolanta siedziała z zamkniętymi oczami w bambusowym fotelu, zadowolona i bezpieczna. Docierały do jej uszu stłumione odgłosy życia hotelowego, z ulicy dobiegało czasem czyjeś wołanie, dźwięk klaksonu, szum przejeżdżających samochodów. Nagle wyprostowała się, pilnie nadstawiając uszu. Piętro niżej jacyś ludzie także wyszli na balkon. Słyszała głosy mężczyzny i kobiety. Głos męski — aksamitny, uwodzicielski — był jej dobrze znany. To głos Alberta Respica. Jo zamieniła się w słup soli. W tej chwili mężczyzna mówił:

- Słodka Jenny, wyglądasz uroczko w tej podomce.  
Kobieta roześmiała się piskliwie i spytała:
- Podobam ci się, Henri?
- Jak zawsze, moja droga!
- Pocałuj mnie, Henri, jeszcze mnie dziś nie pocałowałeś na dzień dobry.
- Wybacz, ten upał czyni człowieka tak apatycznym.
- Tak, ten upał jest nie do zniesienia, Henri, w ogóle myślałam, że Kair jest ładniejszy. Może wrócimy na północ, marzę o kąpielisku na Riwierze.
- Cudownie, moja droga. Wracajmy do Francji, gdzie zaczęło się nasze szczęście. Wiesz, nigdy nie zapomnę tego błogiego uczucia, gdy cię poznałem w Paryżu.
- Pochlebca! — zaskrzeczała kobieta.
- Nie wolno ci tak mówić, Jenny! Naprawdę zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. A więc kiedy wyjeżdżamy?
- Kiedy zechcesz!
- Dowiem się, kiedy odpływa do Francji jakiś elegancki parowiec. Ale musimy przedtem zwiedzić piramidy i sfinksy, inaczej nas wyśmieją.
- No dobrze! Jutro obejrzymy piramidy.
- Zgoda! Zdaje się, że za kilka dni mamy statek z Aleksandrii. Jak długo zamierzasz zostać we Francji?
- Jeszcze nie wiem; w każdym razie w końcu października mam wracać do Nowego Jorku. Muszę przedstawić moim ludziom młodego, eleganckiego małżonka.
- Myślisz, że mnie dobrze przyjmą?
- To oczywiście, skoro ja jestem z ciebie zadowolona.
- Nie będą protestować?
- Wykluczone! Wszyscy są ode mnie zależni. Jestem bogata, więc jestem potężna — mówiła kobieta, dumna ze swej sakiewki.
- Jesteś urocza, słodka Jenny. Ale za oceanem nie będziesz się już zajmowana czymś tak przyziemnym jak interesy; zostawisz to swojemu mężowi?
- Ach, mój słodki Henri — zachichotała kobieta — wydaje mi się, że znam się na interesach o wiele lepiej od ciebie.

— Szybko się wciągnę. Nie mogę dopuścić, by moja słodka żonka się zaharowywała.

Znów gruchający śmiech kobiecy.

— Ty nic nie potrzebujesz robić, słodki Henri, tylko kochać mnie, dawać mi szczęście. Zajmie ci to cały dzień.

Jo słuchała nie mogąc się poruszyć. W tej chwili mężczyzna westchnął zrezygnowany. Nie było to zbyt pochlebne dla kobiety, bo zaraz spytała:

— Czemu wzdychasz, Henri?

— Ponieważ nie chcesz, bym zdjął z twoich delikatnych ramion ogromny ciężar.

— Pocałuj mnie, Henri.

Teraz na dole zapanowała cisza. Jo znalazła w sobie dość siły, by wstać i wrócić do pokoju. Nie chciała dłużej tego słuchać.

Tymczasem nad głową Alberta Respica gromadziły się groźne chmury. Hiszpański detektyw Valuzo nie próżnował. Wydobywszy od Rosity Respico dodatkowe informacje, których nie przekazał mu Gerd Rainsberg, czekał na nakaz aresztowania. Gdy prawdziwy Alfonso de Almadaia złożył donos za pośrednictwem swego adwokata, ten ostatni skontaktował się z Valuzem. Wkrótce do wszystkich miast portowych nad Morzem Śródziemnym rozesłano za Respikiem listy gończe z wyszczególnieniem wszystkich fałszywych nazwisk, którymi się posługiwał. Policja w Aleksandrii знаła już jego rysopis i wiedziała, że posługuje się między innymi paszportem na nazwisko Henri Fleuron.

Toteż gdy tylko Respico zszedł z pokładu parowca w Aleksandrii, policja zaraz się nim zainteresowała. Nie zatrzymano go jednak, gdyż nie było jeszcze nakazu aresztowania.

Ale tajni agenci udali się za nim do Kairu. I gdy nieświadom niebezpieczeństwa Respico siedział sobie na balkonie pokoju hotelowego, próbując przekonać żonę, by go uczyniła pełnomocnikiem swego majątku, na dole agenci pokazywali właśnie dyrektorowi nakaz aresztowania gościa, który zatrzymał się w jego hotelu pod nazwiskiem Henri Fleuron.

Dyrektor nie był zachwycony takim obrotem sprawy. Ale jedyne co mu pozostało, to prosić funkcjonariuszy o możliwie dyskretne

działanie, by nie wzbudzać sensacji. Odebrawszy stosowne zapewnienie, zaprowadził agentów do apartamentu zajmowanego przez „Henri Fleurona” z małżonką.

Jo usiadła na fotelu tuż przy drzwiach balkonowych, nie mając siły nic robić. Czuła zamęt w głowie. Nagle poderwała się, spłoszona dziwnymi odgłosami dochodzącymi z dołu. Podniesione głosy, wywracające się krzesło, piskliwy krzyk kobiecy, nawoływania na ulicy – zwabiły ją na balkon, który przed chwilą opuściła. Wychyliwszy się ostrożnie, ujrzała mężczyznę w eleganckiej jedwabnej pidżamie przełazącego przez balustradę balkonu piętro niżej i skaczącego do ogrodu. Był to Alberto Respico umykający przed agentami. Ale szczęście mu nie opisało. Na dole rzucili się na niego inni policjanci i w mgnieniu oka Alberto Respico został obezwładniony i stał teraz z kajdankami na rękach między dwoma funkcjonariuszami.

Z balkonu „żona” wołała coś do niego rozpaczliwie, czego Jo nie rozumiała. Wiedziała tylko jedno: Alberto Respico został aresztowany. Odskokzyła w tył i opadła na fotel. Uświadomiła sobie, że mogłaby zostać wciągnięta w tę aferę, gdyby Respico ją zauważył. Na pewno pomyślałby, że go zdradziła i próbowałby się na niej zemścić.

Siedziała drżąc na balkonie. A gdy po chwili wyjrzała ostrożnie na ulicę, zobaczyła Respica wsiadającego do auta policyjnego, które szybko odjechało.

Cała akcja trwała zaledwie kilka minut i prawdopodobnie nikt z przechodniów ani gości hotelowych nie zorientował się, co się stało.

Na dole w pokoju słychać było wciąż krzyki i szloch kobiety, którą próbował uspokajać jakiś męski głos. Prawdopodobnie ta biedna kobieta dopiero teraz dowiedziała się od policji, że padła ofiarą oszusta. Z wolna cichły gwałtowne krzyki i po chwili słychać było tylko ciche pochlipywanie nieszczęśliwej Amerykanki.

Jo było jej okropnie żal. Miała ochotę ją pocieszyć, ale nie mogła tego zrobić. Musiała unikać wszystkiego, co mogłoby zwrócić na nią uwagę policji. Pocieszała się myślą, że nawet bez jej pomocy ta biedaczka dowiedziała się prawdy na temat swego rzekomego małżonka.

Wróciwszy z przejażdżki po pustyni, pani Gley zastała Jo na balkonie swego pokoju. Przestraszona jej wyglądem, zawołała:

— Boże drogi, Jo, czy pani jest chora?

— Nie, nie, proszę pani, po prostu strasznie rozboleła mnie głowa. Jutro wszystko będzie dobrze. Czuję się już lepiej.

Nie zdobyła się na to, by powiedzieć Angielce, że w hotelu aresztowano człowieka. Ale gdy potem siedziała przy pożegnalnej kolacji w towarzystwie narzeczonych i ciotki Mary, Bobby stwierdził z zadowoleniem:

— Najdroższa Maud, mam dla ciebie przykrą wiadomość. Ten przystojny mężczyzna, który ci się wczoraj tak spodobał, został dziś rano aresztowany. Podobno to hochsztapler. Próbowano to zatuszować, ale prawda wyszła na jaw.

Wszyscy z wyjątkiem Jo spojrzeli na lorda z przerażeniem.

— Czy pan sobie z nas przypadkiem nie żartuje? — spytała z niedowierzaniem pani Gley.

— Niestety nie. Przed chwilą jego żona zapłakana opuściła hotel. Podobno jest jedną z jego ofiar i nie miała pojęcia, za jakiego ptaszka wyszła.

— Czy to wszystko prawda, Bobby? — zawołała Maud, gestykulując gwałtownie.

— Tak, moja słodka Maud. Sama widzisz, że lepiej zadowolić się moją urodą.

— Bądź dla mnie dobry, Bobby! — prosiła Maud, ściskając narzeczonego za rękę.

— Dobry, pocziwy Bobby! — ironizował lord.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i atmosfera się rozluźniła. Wkrótce potem pożegnano się, gdyż narzeczeni z ciotką mieli wyjechać nazajutrz skoro świt.

Po wyjeździe ostatnich znajomych pani Gley obie panie odetchnęły. Miały wolny dzień i mogły się spokojnie przygotować do dalszej podróży. Jo była szczęśliwa, że uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa.

Gdy opuszczały Kair, Jo poczuła się nareszcie bezpieczna. Wiedziała, że na razie nic jej nie grozi ze strony Respica. Zachodziła w głowę, kto też się postarał o to, by go aresztowano. W życiu by się nie domyśliła, że za tym wszystkim tkwi Gerd Rainsberg. Nie odczuwała satysfakcji, że aresztowano Respica, ale cieszyła się, że nikomu już nie zrobi krzywdy.



W Aleksandrii czekał na nich piękny, wygodny parowiec, którym miały popłynąć do Indii.

Na statku znalazło się grono wielbicieli pani Gley, ale żadnego z nich nie znała osobiście. Wśród pasażerów było wielu oficerów brytyjskich; spędziwszy urlop w kraju, wracali teraz do swych indyjskich garnizonów. Nie brakowało też urzędników z żonami; odwiedzali dzieci w Anglii, które wychowywały się tam ze względu na zabójczy klimat indyjski.

Jo była bez przerwy adorowana. Nie chciano wierzyć, że jest Niemką, tak doskonale mówiła po angielsku.

## XV

Prócz Jo na pokładzie znajdowała się jeszcze jedna Niemka. Wkrótce obie panie zapalały do siebie ogromną sympatią. Pewnego popołudnia, gdy pani Gley odbywała sjęstę poobiednią, Magda Held — bo tak nazywała się ta młoda osoba — opowiedziała Jo swoją historię. Była w Anglii guwernantką. Kilka lat temu zaręczyła się, lecz oboje z narzeczonym byli tak biedni, że nie mogli się pobrać. Ale rok temu jej narzeczony dostał dobrą posadę jako dyrektor plantacji swego przyjaciela ze studiów, który odziedziczył po wuju wielkie dobra na Jawie. Przyjaciel ten potrzebował zaufanego człowieka, gdyż wracał na dłużej do Niemiec. Zawarli wieloletnią umowę i teraz dostała list od narzeczonego, że jeśli nie boi się mieszkać na Jawie, to on jest w stanie zapewnić jej spokojną i przyjemną egzystencję. Nie wiele myśląc Magda porzuciła posadę guwernantki i teraz właśnie jest w drodze na Jawę.

Jo słuchała zaciekawiona. Nie domyślała się, że przyjaciel narzeczonego Magdy to Gerd Rainsberg; wiedziała przecież że uczoney nie jest bogaty. Skąd mogło jej przyjść do głowy, że był właścicielem rozległych plantacji na Jawie! Ale gdy spoglądała w rozmarzone oczy Magdy Held, obraz Gerda stawał jej przed oczami i zazdrościła dziewczynie szczęścia.

Potem przyłączyła się do nich pani Gley i Jo powiedziała jej, że panna Held również udaje się na Jawę. Gdy pisarka zaczęła się dopytywać, w której części wyspy młoda dziewczyna zamieszka, okazało się, że plantacje holenderskiego szwagra Angielki muszą leżeć po sąsiedzku. Panie wyraziły więc nadzieję, że będą się mogły widywać.

Jo i Magda zbliżyły się do siebie podczas wspólnej podróży statkiem. Pokrewne natury, a przy tym jedyne Niemki pośród Anglików, Hindusów, Malajów i Mongołów — trzymały się razem, wspominając ojczysty kraj. Magda Held przez dwa lata miała dobrze płatną posadę w Anglii, toteż odłożyła trochę pieniędzy na wyprawę ślubną.

Jo opowiedziała nowej przyjaciółce, w jaki sposób zdobyła posadę u pani Gley, jaka to stara pisarka jest dla niej dobra, jak jej pomogła z tłumaczeniami, dając jej nowy zawód. Magda pogratulowała Jo tak dobrej pani i wyznała, że bardzo lubi jej powieści, gdyż mają w sobie tyle ciepła, a zarazem są pełne humoru. Jo nie omieszkła powtórzyć tego pani Gley, ta zaś była jak zwykle zakłopotana pochwałami. Stawowczo lepiej znosiła krytyki.

Podróż statkiem upływała im w przyjemnej atmosferze. Pani Gley matkowała nowej znajomej, a młoda dziewczyna uwielbiała ją. Wszystkie trzy umówiły się, że się spotkają na Jawie i z góry cieszyły się na to. Jo nawet nie podejrzewała, jak ważna miała się okazać dla niej znajomość z Magdą.

W wolnych chwilach Jo tłumaczyła pilnie powieść pani Gley; szło jej coraz lepiej, doskonaliła styl, nabrała płynności i coraz lepiej trafiała w specyficzny charakter książek angielskiej pisarki.

Na Oceanie Indyjskim zaczęło trochę huśtać i Jo miała okazję pielęgnować panią Gley, która zapadła na chorobę morską i czuła się fatalnie. Na szczęście szybko wydobrzała i gdy zawinęli do Bombaju, była zdrowa jak ryba.

Jo dowiedziała się, że w porcie cumuje niemiecki statek pocztowy, gotów do powrotu do ojczyzny. Według rozkładu miał być w Niemczech 16 sierpnia. Wuj nie otrzyma więc przesyłki ani o dzień za wcześniej.

Jo spadł kamień z serca, gdy nadała wreszcie list do wuja. Do wszystkich poprzednich informacji dodała jeszcze opis aresztowania Alberta Respica w Kairze. Może wuj potrafi wykorzystać tę informację, by ją całkiem uwolnić od tego człowieka.

Nikt nie czekał tak niecierpliwie na zapowiadany list jak Gerd Rainsberg, który wciąż liczył dni, jakie pozostały do połowy sierpnia.

W międzyczasie otrzymał od Valuza wiadomość, że Alberto Respi- co doczekał się wreszcie zasłużonej kary, gdyż został aresztowany w Kairze podczas podróży poślubnej z bogatą Amerykanką, z którą ożenił się pod fałszywym nazwiskiem Henri Fleurona. Kobieta ta, wdowa po amerykańskim producencie konserw mięsnych, była na tyle przebiegła, że nie przekazała mężowi pełnomocnictwa do swego majątku, co ją uchroniło przed większymi stratami. Po przesłuchaniu tej damy pozwolono jej wyjechać; Amerykanka zrezygnowała z wyto- czenia sprawy oszustowi. Respi- co — kończył Valuzo — zostanie wy- dany najpierw władzom szwajcarskim, gdyż tam popełnił pierwsze przestępstwo, a potem ewentualnie Hiszpanom.

Na szczęście nie należało się obawiać procesu Respi- ca w Niem- czech, o ile Jo nie wytoczy mu sprawy. A Gerd był pewien, że ani profesor, ani jego siostrzenica tego nie zrobią, chcąc uniknąć rozgłosu. Wystarczy, jeśli złożą oświadczenie na ręce Valuza, a ten zajmie się resztą. Gerd miał nadzieję, że proces Respi- ca w Hiszpanii nie odbije się echem w Berlinie. Jo nie miała już z tym człowiekiem prawie nic do czynienia, lepiej więc było zostawić sprawę ich biegowi.

Gerd odczuł ogromną satysfakcję, że człowiek, który uczynił tyle złego Jolancie, poniesie zasłużoną karę. Nienawidził go jak dotąd nikogo w życiu. Profesor również odetchnął z ulgą na wieść o uwię- zieniu oszusta, ciesząc się, że cała ta sprawa rozegra się gdzieś daleko i nie zaszkodzi jego reputacji.

Od połowy sierpnia Gerd codziennie zjawiał się w domu profesora. Ale dopiero osiemnastego przyszedł gruby list od Jo. Gdy tego dnia Gerd wszedł do gabinetu profesora, ten zdążył już przeczytać list i machając nim wołał:

— Dzięki Bogu, dzięki Bogu, wszystko się dobrze skończyło, ko- chany doktorze! Dziecko jest bezpieczne i towarzyszy w podróży do- około świata słynnej angielskiej pisarce, Ellen Gley.

Gerd z wrażenia usiadł nieproszony na fotelu z napięciem wpatru- jąc się w profesora.

— Jak ona się czuje? — wykrztusił wreszcie.

— Ma się tak dobrze, jak na to pozwalają okoliczności — odparł profesor podając mu list. — Powinien pan przeczytać te zwierzenia, doktorze, zasłużył pan na to. Dam panu list do domu. Tylko to jedno panu powiem, że dzięki jej energii Respico nie zdołał się do niej zbliżyć. Przypadkowo była też świadkiem aresztowania go w Kairze. Ich drogi skrzyżowały się jeszcze kilka razy i Jo najadła się strachu. Choć całkiem niewinna, jest przekonana, że okryła się hańbą. Prosi, bym ją uwolnił ostatecznie od tego człowieka, o ile to leży w mojej mocy. Nie wie, oczywiście, że to już nastąpiło dzięki pańskim wysiłkom. Nawet się nie domyśla, że pan tyle dla niej zrobił. Ale mam wrażenie, że w jednym miejscu wspomina pana, nie wymieniając pańskiego nazwiska, tak mi się przynajmniej wydaje. Sam pan zresztą przeczyta. Wysłałem już do niej telegram z zapowiedzią długiego listu. Podała adres, pod którym będzie mieszkała z panią Gley przez kilka miesięcy. Pisarka ma zamiar odwiedzić siostrę, która mieszka na Jawie, gdzie jej mąż, Holender ma plantacje. Jo z panią Gley zostaną tam kilka miesięcy.

Gerd drgnął, gdy profesor wspomniał o Jawie.

— Mogę znać adres? — zainteresował się.

— Nie mam powodu go przed panem taić, choć Jo podkreśla w liście, że nigdy nie wyjdzie za mąż, gdyż nie wyobraża sobie, by uczciwy człowiek mógł ożenić się z kobietą tak zhańbioną jak ona. Na szczęście my jesteśmy innego zdania w tej kwestii, prawda, doktorze?

Gerd zacisnął zęby i tylko skinął głową w odpowiedzi.

— Więc gdzie ona będzie na Jawie? — spytał przez ściśnięte gardło.

— Adres znajdzie pan w liście, wyleciał mi z głowy. Teraz musimy się niestety rozstać. Ale jeśli ma pan czas wieczorem, to proszę wpaść i przyprowadzić ze sobą tego przemiłego doktora Geringa. Wtedy o wszystkim porozmawiamy. Proszę go we wszystko wtajemniczyć, oddał nam nieocenione usługi.

Nie mogąc zadawać więcej pytań, Gerd wsunął list do kieszeni, czując, że robi mu się ciepło na duszy. Pożegnawszy profesora, pojechał do domu.

Na szczęście był sam, gdyż doktor Gering zjawiał się dopiero w porze obiadowej. Gerd zamknął się więc w swym gabinecie i zabrał

się do lektury listu Jo. Głęboko wzruszony czytał te zwierzenia — tak proste, szczerze, bez żadnych upiększeń.

Jo opisała wszystko dokładnie od chwili, gdy opuściła dom wuja, aż do momentu, w którym kończyła pisać list w Kairze. Scena w hoteliku w Zurychu, gdy celowała do Respica z rewolweru, a on jej go odebrał przedstawiona była wręcz dramatycznie. Jo wspomniała też, że Respico zameldował ich w hotelu pod nazwiskiem Bernd. Nic dziwnego, że Gerd nie mógł jej odnaleźć! A gdy doszedł do miejsca, w którym Jo opisywała jak go zobaczyła na dworcu w Zurychu i ukryła się przed nim, Gerd jęknął z rozpaczą. Ach, gdyby tego nie zrobiła, oszczędziłaby mu tylu cierpień i niepokojów!

Czytał dalej. Jo relacjonowała szczegółowo, jak pani Gley zatrudniła ją w charakterze damy do towarzystwa, jak się ucieszyła z tej posady jaka dobra i serdeczna jest jej chlebodawczyni; pisała o szoku, jakiego doznała, gdy w Monte Carlo spotkała Respica, i o tym, jak się martwiła że pani Gley się jej wyrzeknie, gdy się o wszystkim dowie.

Potem następował opis podróży po Morzu Śródziemnym i relacja o tym, jak została tłumaczką dzieł Ellen Gley.

Wreszcie Gerd dotarł do miejsca, o którym wspominał profesor. Ten ustęp listu brzmiał następująco:

*Muszę pomyśleć o zabezpieczeniu na przyszłość. Skromny kapitał jaki posiadałam, przywłaszczył sobie ten okropny człowiek; te cztery tysiące marek, które mi zostały, chciałabym zachować na czarną godzinę gdyby mi się zdarzyło zachorować. Do Twego domu, kochany Wuju, nie chcę i nie mogę wrócić, by nie sprawiać Ci kłopotów; nie mogę Cię więcej obarczać swoją osobą. Siedząc bezczynnie w Twoim domu, nie miałabym nawet na ubranie jak przedtem. Nie, kochany Wuju, właśnie dlatego że jestem Ci wdzięczna za przygarnięcie mnie, nie mogę być dla Ciebie ciężarem. Za mąż nigdy już nie wyjdę. Kocham mężczyznę, którego znalazłam wprawdzie bardzo krótko, ale który na zawsze pozostanie w moim sercu. Lecz nawet — co śmiem przypuszczać — gdyby odzwajemniał ma miłość, nigdy za niego nie wyjdę. Okryta hańbą — choć nie z własnej winy — nie miałabym czelności oddać ręki uczciwemu człowiekowi. Zwłaszcza mężczyźnie, którego kocham i bezgranicznie szanuję. I dlatego muszę stanąć na własnych nogach. Myślę, że mi się to uda.*

*Pani Gley złożyła mi wspaniałą propozycję: poleciła mnie swojemu niemieckiemu wydawcy jako tłumaczkę z angielskiego i francuskiego. Był bardzo zadowolony z próbki mojego przekładu. Po zakończeniu tej podróży pani Gley chce mnie przyjąć do swego domu w Anglii, gdzie będę mogła spokojnie pracować. W zamian za dach nad głową będę się opiekowała panią Gley jak córka. Jestem bardzo szczęśliwa. Ta kobieta jest dla mnie tak dobra jak matka; dzięki niej będę miała nie tylko dach nad głową, ale i możliwość zarabiania na życie. Jedno mnie tylko martwi: obawiam się, czy pani Gley podtrzyma swoją propozycję, gdy jej wyznam prawdę o sobie. A to będzie możliwe dopiero w połowie sierpnia. Dowiesz się tego z mojego następnego listu, gdyż zamierzam pisywać do Ciebie regularnie. Zataję przed panią Gley Twoje nazwisko, byś przypadkiem nie ucierpiał. Jeśli mnie przyjmie, będę uratowana. Ale nawet gdyby cofnęła propozycję, nie boję się już życia, potrafię się utrzymać sama.*

Następował opis aresztowania Respica w Kairze, po czym list kończył się tymi słowami:

*Znajdujemy się obecnie na pokładzie statku płynącego do Indii. W Bombaju wyślę ten list; otrzymasz go w połowie sierpnia i wtedy przestaniesz się o mnie martwić. Podróżujemy angielskim parowcem. Ja i jeszcze jedna młoda dama jesteśmy jedynymi Niemkami na pokładzie. Dama ta, niejaka panna Magda Held, jedzie na Jawę, by tam wyjść za mąż. Jej narzeczony jest tam dyrektorem plantacji, które niedawno otrzymał w spadku jego przyjaciel ze studiów. Dzięki temu panu Magda Held i jej narzeczony będą się mogli wreszcie pobrać. Spotkamy się z nią na Jawie, gdyż okazało się, że te plantacje leżą po sąsiedzku z dobrami szwagra pani Gley, gdzie się na jakiś czas zatrzymamy.*

*Pani Gley zamierza napisać tam powieść, a ja skończę moje pierwsze tłumaczenie. No i spotkam się z moją nową przyjaciółką, którą bardzo polubiłam. Podaję Ci adres, gdybyś chciał tam do mnie napisać. Ale najpierw dwa miesiące — a może nawet więcej — spędzimy w Indiach i Syjampie. Telegram możesz wysłać do Kolombo na Cejlonie, ale listy zdążą chyba dopiero na Jawę. Mam nadzieję, że uda Ci się wkrótce uczynić mnie kobietą wolną. Wybacz mi, proszę, że wprowadziłam tyle niepokoju do Twego życia, ale*

*naprawdę nie ma w tym mojej winy. Ciocia może Ci opowiedzieć, w jaki sposób — z powodu najścia fałszywego Almadei*

*— zmuszona byłam zgodzić się na zaręczyny. Tylko troska o Twój honor sprawiła, że byłam bezbronna wobec tego łobuza. Mam nadzieję, że udało Ci się wszystko zatuszować.*

*Pozdrów ode mnie serdecznie ciocię Mally. Pozdrawia Cię Twoja bardzo dzielna siostrzenica*

*Jo*

Do listu dołączony był adres i nazwa plantacji należących do holenderskiego szwagra pani Gley.

Adres ten był dla Gerda bardzo ważny. Plantacje tego Holendra — nazywał się Evan Booss — leżały bowiem w sąsiedztwie jego własnych posiadłości. Znał nawet bardzo dobrze tego pana i jego angielską żonę. Wiedział również, że kolega ze studiów, którego zrobił dyrektorem swych plantacji, był zaręczony z jakąś Magdą Held. Co za przedziwny zbieg okoliczności! Dzięki Bogu, nareszcie wiedział, gdzie ma szukać Jo.

Czytając słowa: *Kocham mężczyznę, który na zawsze pozostanie w mym sercu*, poczuł gwałtowne bicie serca i pulsowanie w skroniach. Nie miał cienia wątpliwości, że to chodziło o niego. Jakże by mogło być inaczej? Wierzył święcie w to, że tego rodzaju silne uczucia są zawsze wzajemne.

Ani trochę nie przejmował się oświadczeniem Jo, że nigdy nie wyjdzie za mąż, gdyż okryła się hańbą. Niech się tylko spotkają, spojrzą sobie w oczy, a wszystko się ułoży. Wreszcie spadł mu kamień z serca. Dzięki Bogu, Jo była chwilowo bezpieczna. Gdy tylko dotrze na Jawę, on już tam będzie lub przyjedzie zaraz po niej. Jeszcze dziś napisze do przyjaciela, że zamierza przyjechać, lecz by pod żadnym pozorem nie wymieniał jego nazwiska, gdy pani Gley i panna Warren dotrą na miejsce, a także by poprosił o to samo mijnheera Boossa i jego żonę. Obawiał się, że Jo ucieknie, gdy się dowie, że to on jest właścicielem plantacji, gdzie dyrektorem jest narzeczony — a teraz pewnie już mąż

— Magdy Held.

Przeczytał jeszcze kilkakrotnie list Jo, przyciskając go za każdym razem do serca.

Doktor Gering zastał go pogrążonego w lekturze. Od razu domyślił się, że przyjaciel otrzymał wreszcie upragnioną wiadomość, gdyż był zupełnie odmieniony.

— No jak, doktorze, jest list od panny Warren? — rzucił od progu.

— Tak jest, drogi doktorze — kiwnął wesoło głową Gerd — i dzięki Bogu dobre wieści. Niech pan wejdzie, pani Lemprecht jeszcze nie nakryła, zdąży pan przeczytać list. Należy się to panu za trudy, jakie pan poniósł dla panny Warren. Zobaczysz pan, że się pan wzruszy. Ja sobie zupełnie miejsca nie mogę znaleźć.

Doktor Gering zaczął czytać list. Lektura nie poruszyła go, rzecz jasna, tak bardzo jak Gerda, lecz przyznawał w duchu, że panna Warren jest dzielną i wartościową dziewczyną. Gdy doszedł do miejsca, gdzie Jo wspomniała o swej miłości, podniósł wzrok znad kartki i zauważył:

— Aha, ten fragment pewnie mile pana polectał, bo to może chodzić tylko o pana.

Gerd przyjął to zapewnienie z westchnieniem ulgi.

— Nie dopuszczam innej możliwości! — wykrzyknął. — No, niechże się pan uspokoi, na pewno chodzi o pana.

Doktor Gering wrócił do lektury i w miarę czytania twarz mu się coraz bardziej rozjaśniała. Wreszcie z uśmiechem oddał list mówiąc:

— Czy może być piękniejsze zrzączenie losu? Oto nowy niepodważalny dowód, że ziemia jest okrągła: każdy wraca do punktu wyjścia.

— To prawdziwy cud, doktorze!

— Nie, nie, to się odbyło w sposób całkiem naturalny. Jeśli można tu mówić o cudzie, to chyba tylko o cudzie waszej miłości. Coś mi się zdaje, że czyjaś dusza wyrывa się na Jawę — dodał żartobliwie.

Gerd patrzył przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

— Jak można tak bezgranicznie kochać kogoś, z kim zamieniło się zaledwie kilka słów? — powiedział w zadumie.

— Ach, jeśli o to chodzi, to czasem wystarczy jedno spojrzenie. Cieszę się, naprawdę bardzo się cieszę! Przykre jest tylko to, że stary kawaler Gering znów zostanie sam. Coś mi się wydaje, że pan tak szybko nie wróci do Berlina.

— Ale za to pan może się wybrać na urlop na Jawę.

— Boże drogi, na samą myśl o tym kręci mi się w głowie.



— Nie, mówię poważnie, podróż morska to świetny wypoczynek, a pan jest strasznie przepracowany.

— Ee, nie, doktorze, to dla mnie za daleko. Proszę nie zapominać, że moja praktyka adwokacka w Berlinie jest stosunkowo świeżej daty. Na Riwierę — tak, ale na Jawę to za daleko.

— W porządku! — wykrzyknął wesoło Gerd. — Spotkajmy się na Riwierze.

— Niech pan nie mówi hop! — roześmiał się Gering. — Ale to niezły pomysł. Muszę przecież popatrzeć na wasze szczęście, do którego i ja się odrobinę przyczyniłem.

— Na pewno się znów spotkamy; gdzie i kiedy, jeszcze nie wiadomo.

— Nie zostanie pan na Jawie?

Gerd zastanawiał się przez chwilę, wreszcie rzekł potrząsając energicznie głową.

— Nie, tropiki są zabójcze, nie zostawiłbym tam na zawsze ukochanej kobiety, chyba że nie miałbym wyboru. Od czasu do czasu przyjemnie się tam znaleźć, ale na stałe? Musiałby pan widzieć, jak szybko starzeją się białe kobiety w tropikach, dosłownie usychają na słońcu. Nie, nie, to nie dla nas. Znajdziemy sobie jakiś zakątek na kuli ziemskiej, świat jest duży — ani na Jawie, ani w Berlinie. Co jakiś czas będę zastępował mego przyjaciela w obowiązkach, by mógł ze swą żoną zmienić klimat. A poza tym najlepiej tam, gdzie zimą jest dużo śniegu; może Szwajcaria? Będzie nas pan co roku odwiedzał!

— Uwaga! Ja naprawdę przyjadę, gdy mnie pan zaprosi!

— Teraz nie chcę jeszcze tego robić; dobry Boże, nigdy nie można być pewnym. Najpierw muszę przycisnąć Jo do serca. Wtedy pomyślimy o zaproszeniu.

W tej chwili zjawiała się pani Lemprecht z niezadowoloną miną.

— Wątróbka mi się przypali, jeśli panowie zaraz nie przyjdą do stołu — powiedziała z wyrzutem.

— Na Boga — przeraził się Gering — spalona wątróbka smakuje jak podeszwa!

Śmiejąc się panowie przeszli do jadalni, gdzie na stole dymiła już zupa.

— Pani Lemprecht, proszę przynieść butelkę reńskiego! Dziś jest wyjątkowy dzień, musimy wznieść toast za pomyślność! — wykrzyknął Gering.

Wino perliło się i skrzyło rubinowo, przyjaciele patrzyli sobie w oczy i wtedy Gerd, wznosząc kielich, rzekł uroczyście:

— Wprawdzie jest pan starszy, doktorze, i nie bardzo mi wypada, ale pomyślałem sobie, że to mylące, gdy sobie bez przerwy „doktorujemy”. Mam na imię Gerd!

— A więc — odparł Gering, rozbawiony i wzruszony — wypijmy bruderszaft. Jestem Gustaw; takie staromodne imię.

Wypili, czując, że już na zawsze pozostaną przyjaciółmi. Po obiedzie Gerd powiedział do towarzysza:

— Mamy dziś być u profesora, żeby omówić wszystkie sprawy. Masz czas, Gustawie?

— Jasne! Jestem ciekaw, jak pani Mally to wszystko przyjęła. Czy profesor coś mówił na ten temat?

— Ani słowa!

— Jedno jest pewne: nigdy nie pałała zbytnią miłością do twojej Jo.

— Mojej Jo? Chciałbym, żeby już była moja, Gustawie!

— Jeszcze chwila cierpliwości!

— Czasami się boję, że mogła mieć kogoś innego na myśli.

— O to się nie martw. Z tego, co wiem, tylko ty możesz wchodzić w grę.

Wieczorem przyjaciele jedli kolację u profesorostwa. Nie było innych gości i jak zwykle w takich okolicznościach przyjęcie ograniczyło się do herbaty i kanapek. Rozmawiano długo o Jo, a gdy w końcu Gerd stwierdził z mocą, że jedzie na Jawę, by prosić ją o rękę, pani Mally zawołała gorączkowo:

— Drogi doktorze, po tym wszystkim Jo powinna być zadowolona, jeśli w ogóle znajdzie męża, ale proszę nie zapominać, że jest pan biedny i Jo tak samo. A my ani nie możemy wam pomóc finansowo, ani przyjąć Jo z powrotem do domu.

Jej małżonkowi twarz nabiegła krwią z gniewu, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, Gerd wpadł mu w słowo:

— Czas najwyższy odkryć karty, skoro oficjalnie staram się o rękę pańskiej siostrzenicy. Rozumiem, że milcząco zgodził się pan na to,

gdyż powiedziałem, że szukając żony, nie muszę troszczyć się o pieniądze. Aby uspokoić pańską małżonkę, pozwolę sobie powiedzieć, że w zeszłym roku pochowałem wuja. Zostawił mi w spadku ogromne posiadłości na Jawie i okazały majątek w gotówce, co mi pozwoli urządzić życie mojej żony całkiem według jej uznania.

Profesor spojrział zdumiony na Gerda, pani Mally zaś wybuchnęła:

— Dlaczego pan tego od razu nie mówił?

Gerd uśmiechnął się z odrobiną złośliwości, po czym odparł spokojnie:

— Gdyż nie chciałem być dobrą partią na rynku matrymonialnym, łaskawa pani. Dla mężczyzny to nie jest zbyt przyjemne, a czy ktoś jest bogaty, czy biedny, nie ma nic do tego, czy jest wartościowym człowiekiem, czy nie. Przynajmniej ja tak sądzę.

— Brawo, doktorze! — wykrzyknął profesor. — W zupełności się z panem zgadzam. Mimo to cieszę się z całego serca, że moja siostrzenica nie będzie klepać biedy. Chyba mi wolno?

— Oczywiście. Jeśli o mnie chodzi, to cieszę się ze swego bogactwa ze względu na moją przyszlą żonę.

Tu Gerd wyjaśnił, że zarządca jego plantacji miał się ożenić z niejaką Magdą Held i że jest to ta sama osoba, którą Jo spotkała na statku. Wspomniał również o swej znajomości ze szwagrem pani Gley i jego żoną, którzy byli jego sąsiadami.

— Widzą państwo — ciągnął — że wdała się w to Opatrzność. Jo zamieszka w sąsiedztwie moich posiadłości, nie wiedząc o tym. Napisałem już do mego przyjaciela, by jej o niczym nie mówiono. Na szczęście panna Held nie wymieniła mego nazwiska, inaczej Jo by o tym napisała w liście. Gdyby się o tym dowiedziała, na pewno zaczęłaby mnie unikać, jak to już raz niestety zrobiła — w Zurychu. Dlatego prosiłem mojego dyrektora o dyskrecję, a zwłaszcza, by nie zdradził, że wybieram się na Jawę. Mój sąsiad Booss i jego żona też będą wtajemniczeni. Tylko w ten sposób mogę się zabezpieczyć przed tym, by Jo mi nie uciekła.

— Ale wygląda na to, że ona pana kocha! — nie rozumiała ciotka Mally.

Gerd wiedział, że ta kobieta nigdy nie zrozumie Jo. Usta mu drgnęły gniewnie, ale opanowawszy się wyjaśnił spokojnie:

— Właśnie dlatego, że mnie kocha, gorąco w to wierzę, będzie mnie unikała. Muszę po prostu któregoś dnia zjawić się przed nią niespodziewanie, by jej uniemożliwić ucieczkę.

Przy buteleczce wina rozpoczęła się rozmowa o tym i o owym; Gerd musiał szczegółowo opowiedzieć o swych jawajskich posiadłościach. Pani Mally nie posiadała się ze zdumienia. Okazało się, że wychodząc za doktora Rainsberga Jo zrobi tak samo dobrą partię, jak gdyby wyszła za prawdziwego Alfonsa de Almadeię. W końcu profesor spytał, kiedy Gerd zamierza wyjechać.

— Obliczyłem — brzmiała odpowiedź—że pani Gley i Jo zjawią się u siostry pisarki w końcu października lub na początku listopada. Gdybym wyruszył od razu, mógłbym się spotkać z paniami już w Kolombo. Ale pomyślałem sobie, że w podróży trudno będzie załatwić tę sprawę. Jo niepotrzebnie by się tylko denerwowała. Nie będzie mi łatwo czekać, ale myślę, że zostanę za to wynagrodzony. Gdy Jo otrzyma w Kolombo pański telegram, panie profesorze, dowie się, że jest ostatecznie wolna i nie ma już nic wspólnego z tym łobuzem. To ją powinno uspokoić. Zapomni o wszystkim, pozbiera się i może wtedy łatwiej uda mi się ją przekonać. Nie będzie to proste. Wbiła sobie do głowy, że jest kobietą zhańbioną, podczas gdy jest zupełnie niewinną ofiarą prześladowań ze strony złego człowieka. Będę jej musiał to wytłumaczyć. Ale jeśli mnie kocha, to na pewno wszystko skończy się dobrze. Zaczekam jeszcze kilka tygodni, rozejrzę się za jakimś wygodnym statkiem i wyjadę tak, by być w moich posiadłościach na początku października. Będę miał wtedy dość czasu, by się spokojnie przygotować do rozstrzygającej batalii. Magda Held — a właściwie w tej chwili już pewnie pani doktorowa Winterowa — musi pod jakimś pozorem przywieść do mnie Jo. W ten sposób odetniemy jej drogę odwrotu i mam nadzieję, że zdołam przełamać jej opory.

— Przypuszczam, że pierwotnie nie zamierzał pan tak szybko wracać na Jawę? — spytał profesor.

— Rzeczywiście. Chciałem spędzić zimę w Niemczech lub w Szwajcarii. Wprawdzie mam za sobą zaledwie dwa lata tropików — wiadomość o śmierci wuja doszła do mnie, gdy przebywałem na Nowej Gwinei — o tyle więc doktor Gering i ja nie mijaliśmy się z prawdą, zatailiśmy tylko fakt otrzymania przeze mnie spadku... A więc,

jak mówiłem, mam za sobą zaledwie dwa lata tropików. Z Nowej Gwinei pojechałem prosto na Jawę; badania prowadziłem wraz z doktorem Winterem, który zgodził się przyjechać na Jawę i zająć się moimi plantacjami. Ale dwa lata w tamtym klimacie wystarczą w zupełności, by człowiek zatęsknił za lodem i śniegiem. Dlatego miałem zamiar spędzić zimę na północy. A teraz muszę wracać na południe, by zabrać Jo. Zresztą może jeszcze złapiemy odrobinę śniegu w Europie.

— Mój Boże, tak pan o tym wszystkim opowiada, jakby to chodziło o niewinny spacerek!

— Dla mnie to naprawdę drobiazg — mówił Gerd, patrząc w zdumioną twarz pani Mally. — Uwielbiam podróże morskie. Na porządnym parowcu człowiek czuje się jak u siebie w domu.

## XVI

Zwiedziwszy Indie, gdzie widziały wiele pięknych i wspaniałych rzeczy, zmęczone, ale zadowolone, panie udały się na Cejlon. Pani Gley miała ze sobą listy polecające do wpływowych osobistości angielskich przebywających w Kolombo. Miano i tam służyć jej wszelką pomocą w poznawaniu hinduskiego życia. W Indiach była przyjmowana na dworach maharadzów i doświadczyła tylu ciekawych rzeczy, że, jak mówiła, na tej kanwie może napisać sto powieści. Wielki notatnik zapełnił się wnet aż do ostatniej strony i pisarka nie mogła się doczekać chwili, gdy zabierze się wreszcie do opracowania tego materiału.

Jo nie zdążyła jeszcze zwierzyć się swej chlebodawczyni. Nie nadarzała się jakoś sposobna chwila. Poza tym Jo wciąż odkładała rozmowę na później z obawy, że pani Gley wyrzeknie się jej, gdy pozna prawdę.

Wreszcie zdecydowała się pomówić z nią w Kolombo. Spodziewała się zastać tam telegram od wuja. Gdy tylko go otrzyma, poszuka sposobności do rozmowy z panią Gley.

Gdy panie wylądowały w Kolombo i rozgościły się w miarę wygodnie w poleconym im hotelu — jednym z tych eleganckich angielskich karawanserajów, przez które przewijają się tłumy, a gdzie mimo to podróźny znajduje błogi spokój — przyniesiono im pocztę. Pani Gley otrzymała mnóstwo listów, Jo zaś jeden jedyny telegram.

— Mam nadzieję, że to nie jest przykra wiadomość, Jo — powiedziała pisarka, podając jej blankiet i widząc, że dziewczyna blednie i ręce jej się trzęsą.

Jo rozerwała kopertę i czytała:

*Jesteś wolna — uspokój się — wszystko załatwione — niech Bóg ma Cię w swojej opiece — list w drodze — wuj.*

Gdy to przeczytała i poczuła falę radości, że wreszcie jest wolna — rozkleiła się po tyłu miesiącach, gdy musiała być dzielna i opanowana. Łzy trysnęły jej z oczu, nogi się pod nią ugięły i usiadła bez sił na fotelu. Pani Gley podniosła głowę znad listu, który trzymała w ręce, i spojrzała na załamaną dziewczynę.

— Boże drogi! — zawołała przerażona. — Co pani jest? Dostała pani złe wieści?

Jo opanowała się z trudem i odparła połykając łzy:

— Nie, nie, przeciwnie, dobre, wspaniałe wieści! Czy pani tego nie doświadczyła, że dobra wiadomość po okresie straszliwych lęków zwala człowieka z nóg? I tak jest ze mną dzisiaj, proszę pani. Spadł mi z serca ogromny ciężar. Pamięta pani, że obiecałam pewnego dnia wyznać pani moją historię. Nareszcie mam odwagę to zrobić. Kiedy pani przeczyta listy, proszę mnie wysłuchać.

— Listy mogą poczekać — powiedziała Ellen Gley poruszona do głębi wzburzeniem dziewczyny. — Przerzuciłam je i nie znalazłam nic pilnego. Proszę więc ulżyć swemu sercu. Czuję, że pani musi się wygadać.

— To prawda. Dawno już chciałam pani o wszystkim powiedzieć, ale do połowy sierpnia byłam związana słowem, a potem, och, tak się bałam, że pani nie będzie chciała mnie znać, gdy powiem wszystko. Zanim zacznę opowiadać, chcę panią zapewnić o jednym: że nie byłam winna temu, co się stało, musi mi pani uwierzyć.

Ellen Gley usiadła obok Jolanty i głaszcząc ją po jedwabistych włosach, mówiła łagodnie:

— Proszę się uspokoić, moje dziecko. Chyba poznała mnie pani na tyle, by wiedzieć, że nie potrafię obwiniać kogoś, kogo dotknęło nieszczęście. Jeśli się nie mylę, pani również cierpiała niewinnie?

— Tak, wiele wycierpiałam — odparła Jo, spoglądając ufnym wzrokiem na Angielkę. — Proszę mnie wysłuchać.

I Jo opowiedziała o tym, jak wuj przygarnął ją po śmierci rodziców, jak starała się być pomocna wujostwu, lecz nie udało jej się zdobyć sympatii ciotki, która za wszelką cenę chciała się jej pozbyć z domu. Prawdopodobnie ona to rozpowszechniła fałszywą pogłoskę, że Jo jest bogatą partią.

Z kolei przedstawiła pojawienie się fałszywego Alfonsa de Almadei, nie ukrywając, że zrobił na niej wrażenie eleganckim wyglądem i szarmanckim zachowaniem i skłonna była dać posłuch ciotce, gdy ta sugerowała jej, iż rzekomy Hiszpan byłby dla niej idealnym mężem.

Dodała następnie, że czar, jaki wywierał na nią ten mężczyzna działał tylko tak długo, jak długo był obok niej, i że pewnego wieczoru poznała mężczyznę, któremu od pierwszego wejrzenia oddała serce na zawsze. I od tej chwili czar tamtego stracił swą moc.

Jo niczego nie ukrywała przed swą chlebodawczynią. Opowiedziała jej o wszystkich przeżyciach, troskach i lękach jak rodzonej matce. A na koniec wyznała z rozpaczą, że okryła się hańbą i nigdy już nie odważy się zostać żoną uczciwego człowieka. Choć kocha nad życie Gerda Rainsberga, choć jest pewna jego miłości, nigdy nie będzie do niego należała. I dlatego była taka uszczęśliwiona, gdy pani Gley ją zaangażowała, pozwalając jej stanąć na nogi. Nigdy bowiem nie będzie też mogła wrócić do domu wujostwa.

Pani Gley słuchała tej spowiedzi z zapartym tchem. Nareszcie zrozumiała tajemnicze zachowanie Jolanty, ale poznawszy jej sekrety, wcale nie przestała jej lubić. Przeciwnie, dziewczyna stała się jej nawet bliższa. Gdy Jo, wyczerpana, umilkła, pisarka przytuliła ją do piersi i głaszcząc po głowie mówiła:

— Moje biedne, kochane dziecko, ileż pani się nacierpiała! Bardzo mi pani żal. Wprawdzie wszystko skończyło się w miarę pomyślnie, ale jednego nie da się już odwrócić: straciła pani widoki na związek

z mężczyzną, którego pani kocha. Nie dlatego, bym uważała, że po tym wszystkim on zrezygnuje z małżeństwa z panią; jeśli panią kocha, nie zrobi mu to różnicy, a gdyby było inaczej, niewiele pani traci. Chodzi mi raczej o to, że pani sama skazała się na banicję i może już nigdy w życiu ten człowiek nie stanie na pani drodze życia. Znam panią dobrze i wiem, że nie będzie pani szukała zbliżenia z nim. Trudno tu coś radzić, każdy musi sam rozstrzygnąć o swoim losie. Ale proszę o jednym pamiętać: to nie my wybieramy swój los, lecz los wybiera nas, a od nas zależy jedynie, jak ten los znosimy. Nie umiem pani powiedzieć nic innego na pocieszenie.

Jo, zdruzgotana, spojrzała na nią nieśmiało.

— Proszę mi powiedzieć jedno: czy po tym wszystkim zatrzyma mnie pani przy sobie, tak jak pani mówiła?

Starsza pani przycisnęła ją z uśmiechem do serca.

— Moja mała Jo, właśnie po tym wszystkim jest mi pani tak bliska jak własna córka. Jak pani może w to wątpić? Oczywiście, że panią zatrzymam przy sobie, jak długo pani zechce.

Jo schyliła się i ze wzruszeniem ucałowała dłonie Angielki.

— Jak ja mam pani dziękować za dobroć? — szepnęła.

— A czy zapomniała już pani o tym, że zawdzięczam pani życie, a co najmniej zdrowie? Bo ja nie zapomniałam i nadal jestem pani dłużniczką.

Siedziały tak jeszcze długo obok siebie. Ellen Gley pytała o różne szczegóły, wreszcie Jo pokazała jej telegram od wuja, mówiąc:

— A więc jednak mu się udało uwolnić mnie od tego człowieka. Mam nadzieję, że nie naraził się przy tym na nieprzyjemności.

— Zawsze myśli pani najpierw o innych, a o sobie na samym końcu — powiedziała na to z wyrzutem pisarka. — Drogie dziecko, to panią w końcu zabije. Musi się pani wreszcie odważyć pomyśleć najpierw o sobie. Zdobyła się pani dla swego wuja na czyn heroiczny. Niechże teraz on się panią zajmie; w końcu jest mężczyzną i do tego człowiekiem wpływowym.

— Na pewno uczyni wszystko, co w jego mocy, gdyż zawsze był dla mnie bardzo dobry.

— Doprawdy nie może pani ponosić dalszych ofiar. Mój Boże, przecież pani przeszła przez prawdziwe piekło! Zupełnie jak w książce;



proszę wybaczyć, że o tym myślę w ten sposób, ale to by był dla mnie temat na dobrą powieść. My pisarze jesteśmy prawdziwymi zbójcami: jak tylko napotkamy jakiś wartościowy materiał, zaraz dobywamy pióra. A teraz musimy się zrobić na bóstwo. Przyszło zaproszenie od pułkownika Macverlena. Mamy zjeść z nim dziś kolację we dwie. To wuj lady Sholms; on i jego żona chcą się dowiedzieć szczegółów na temat zaręczyn lady Maud z Bobbym Raleighem. Musimy im opowiedzieć romantyczną historię. Proszę otrzeć łzy i spojrzeć optymistycznie w przyszłość! Bez Bożego zrządzenia nie spadnie nawet wróbel z dachu; i pani losem kieruje więc ręka Opatrzności. W tym wszystkim, co pani przeżyła, był palec Boży. Proszę pamiętać, że wyszła pani obronną ręką z wielkich opresji. Kto wie, może los trzyma dla pani w zanadrzu wielkie szczęście? Nie, nie, proszę nie robić takiej smętnej miny, nie mogę na to patrzeć. Proszę pomyśleć, co by się ze mną stało, gdybym nie umiała patrzeć odważnie w przyszłość.

— Ma pani rację! — wykrzyknęła Jo, całując znów dłoń starej pisarki. — Przecież nieba zesłały mi panią!

— W porządku! Tak to lubię! A teraz niech pani szybko założy tę białą koronkową sukienkę, w której jest pani tak do twarzy. Muszę się panią pochwalić; na stare kobiety patrzy się łaskawszym okiem, gdy przychodzą w towarzystwie młodych. Oby tylko jakiś maharadza nie capnął pani do haremu! — zakończyła wesoło.

Jo nareszcie spokojna, parsknęła śmiechem.

W godzinę później pułkownik Macverlen przysłał po nie samochód. Miała to być kolacja w wąskim gronie, tymczasem przy stole zebrało się aż dwanaście osób. Wiedziano już o przyjeździe słynnej Ellen Gley i wybrańcy zdołali się wcisnąć do domu pułkownika.

Splaciwszy daninę podziwu należnego Ellen Gley, towarzystwo zainteresowało się piękną młodą damą w białej koronkowej sukni, którą pisarka przedstawiła jako swoją „niemiecką tłumaczkę i towarzyszkę podróży, pannę Warren”.

Wieczór był bardzo interesujący. Pułkownik i inni oficerowie brytyjscy, którzy przyszli na przyjęcie z żonami, opowiadali ciekawe rzeczy i Jo czuła, że notatnik jej chlebobawczyni znów wzbogaci się o cenne uwagi.

Nazajutrz pułkownik wprowadził je do domu hinduskiego dostojnika. Maharadża nie wyglądał wcale jak gwiazdor filmowy, lecz był otyły i poruszał się niezdarnie. Pozwolił obu paniom obejrzeć swój harem, z czego pani Gley niezmiernie się ucieszyła. Zwiedzanie harem obfitowało w zabawne epizody. Żony maharadży były bardzo wścibskie i poddały obie kobiety krytycznym oględzinom oraz formalnemu przesłuchaniu. Jedna z córek maharadży, obecna przy wizycie, otrzymała nowoczesne wychowanie; przez dwa lata podróżowała z ojcem po Anglii i Francji. Widząc zakłopotanie białych kobiet, córka wciągnęła je w ożywioną rozmowę, przepraszając za dziecinne zachowanie ciekawskich Hindusek. A żony maharadży przysłuchiwały się rozmowie z uroczą pootwieranymi buziąmi, chichocząc w najmniej odpowiednich momentach.

Odbyły jeszcze wiele interesujących wizyt, a wieczorem w przeddzień ich wyjazdu korpus oficerski wydał przyjęcie w kasynie na cześć słynnej pisarki. Gdy jej pani zbierała zasłużone hołdy, Jo poczuła się nagle zagubiona i samotna pośród tego świetnego towarzystwa. Czuli, że z winy złego człowieka stała się banitką, że nigdy już nie wróci do ojczyzny.

Jej melancholii nie łagodził fakt, że nie mogła się opędzić od adoratorów. Wiedziała, że chodzi tu o powierzchowny podziw i była szczęśliwa, gdy pani Gley zdecydowała się wrócić do domu. Rankiem miały odpłynąć do Syjamu. I znów Ellen Gley otrzymała na drogę listy polecające i dobre rady, gdzie ma się zatrzymać, co koniecznie obejrzeć i tak dalej.

— Widzę, moje dziecko — westchnęła w drodze powrotnej — że nie zaznamy już spokoju, póki nie znajdziemy się na Jawie u mojej siostry. To rezolutna niewiasta i potrafi zadbać o to, by nikt nas nie niepokoił. Czy pani się dobrze bawiła?

Jo przytaknęła, nie chcąc martwić swej chlebobawczyni.

— Znów pani zrobiła furorę! — zawołała tamta. — Zasypywano mnie pytaniami o moją piękną towarzyszkę podróży.

Jo zacisnęła boleśnie usta, ale zaraz pomyślała, że dobroć pani Gley wyrównuje wszystkie krzywdy, jakich doznała od ludzi. Pocałowała pisarkę w rękę, ta zaś pogłaskała ją po głowie. Pod wpływem tej pieczyoty łzy napłynęły do oczu Jo.

Nazajutrz weszły na pokład parowca, którym miały popłynąć do Syjamu. Opłynęły cały Półwysep Indochiński, rozkoszując się wspaniałymi widokami.

Pewnego dnia stały na pokładzie oparte o reling i pani Gley powiedziała:

— Obawiam się, że dotrzemy do mojej siostry dopiero na początku listopada.

— Planowała pani inaczej?

— Myślałam, że zdążymy na koniec października, ale mamy jeszcze tyle przed sobą. Chciałabym jeszcze koniecznie zwiedzić Sumatrę.

Podróż morską upłynęła im w spokoju. Ale gdy dotknęły stopą ziemi syjamskiej, znów porwał je wir wydarzeń. Zetknęły się z dziwnym, fascynującym światem, lecz jakoś nie mogły się odnaleźć w tym obcym środowisku. Obejrzawszy wszystkie dziwy Syjamu, odechnęły z ulgą, ruszając w dalszą podróż.

— Nie wiem, Jo, co bym zrobiła bez pani w tych wszystkich obcych krajach — mówiła pani Gley. — Chyba bym uciekła zaraz pierwszego dnia. A szkoda by było. Myślę, że nigdy nie napiszę powieści, której akcja rozgrywałaby się w Syjamie. Ale za to widziałyśmy tyle dziwnych, tajemniczych rzeczy, nie sądzi pani?

— Tak, mam podobny problem jak pani. Mogłabym przez wiele lat mieszkać w Syjamie i nie poczułabym się ani odrobinę bardziej swojsko.

— W takim razie jedźmy dalej! — roześmiała się pani Gley. — Na Sumatrze też jest wiele ciekawych rzeczy do obejrzenia.

Płynęły wciąż dalej i dalej! Przemierzyły Zatokę Syjamską, minęły Malakę, zatrzymały się na jeden dzień w Singapurze, wreszcie statek zawinął do portu Palembang na Sumatrze. Tam panie zatrzymały się na dłuższy postój, zwiedzając bliższe i dalsze okolice Sumatry. Dotarły nawet w góry, gdzie wypoczywały przez kilka dni. Bujna roślinność okryta była o tej porze roku kwieciami; nie brakło nawet rodzimych niezapominajek, które zdumiały i wzruszyły Jolantę.

Z Sumatry Ellen Gley napisała do siostry, zapowiadając swój przyjazd z początkiem listopada. Nagle wezbrała w niej tak wielka tęsknota za siostrą, której nie widziała od wielu lat, że serce biło jej z emocji, gdy myślała o niedalekim spotkaniu. Karmiła Jo opowieściami z dzieciństwa. Wychowała się wraz z siostrą w ubogim domu,

bieda często zaglądała im w oczy. Jej siostra Jane nie dojadła. Ledwo opierzone pisklę, wyfrunęła w świat. Znalazła posadę w jakiejś holenderskiej rodzinie — uczyła dwójkę dzieci angielskiego. Pisała do domu entuzjastyczne listy, w których bez przerwy opisywała, jak dobrze się jada w Amsterdamie. Opisywała szczegółowo, co podawano do stołu w domu jej chlebobawcy, bogatego Holendra, nie zapominając dodać, że może sobie dokładać potraw, ile zechce.

A potem poznała młodego Evana Boossa, kuzyna swych wychowanków. Ów Evan Booss dla zmiany klimatu przyjechał na urlop z Jawy. Zamierzał poszukać sobie żony w kraju i zakochał się bez pamięci, a za to z wzajemnością w rezolutnej, świeżej Jane. Młodzi szybko pokonali opory rodziny; Jane trudno było nie polubić. Po upływie kwartału młodzi wyjechali na Jawę jako mąż i żona. Przejazdem odwiedzili w Londynie rodziców Jane i jej siostrę. Od tego czasu widywały się nieczęsto — przy okazji podróży państwa Boossów do Europy podyktowanych koniecznością zmiany klimatu.

— Najwyższy czas, by pani wyrobiła sobie właściwe zdanie o mojej siostrze i szwagrze, Jo — powiedziała pewnego dnia pani Gley. — To ludzie praktyczni, zadowoleni z życia, bez kompleksów. W miarę upływu lat bogacili się coraz bardziej i teraz mogą mieć wszystko, czego zapragną. Mają tylko jedną córkę, która także wyszła za mąż za majątnego człowieka. Życie oszczędziło im wstrząsów i kłopotów. To wspaniali ludzie; w ich towarzystwie człowiek czuje się dobrze i może wypocząć. Jane jest namiętną czytelniczką moich powieści. Po przeczytaniu każdej nowej książki pyta, skąd czerpałam do niej materiał, czy to wszystko sama przeżyłam, dlaczego napisałam coś tak, a nie inaczej, ile wyniosło honorarium. Męczy mnie odpowiadanie na te wszystkie pytania, ale to takie wzruszające, jak ona jest ze mnie dumna, jak wznosi się niejako w wyższe rejony życia, gdy jesteśmy razem. To zdrowa natura, absolutnie nieskomplikowany człowiek, ta moja Jane. Jej córka jest kubek w kubek taka jak ona, a szwagier zakatrupiłby każdego na miejscu, kto by chciał zagiąć mały palec na żonę lub córkę. Tacy właśnie są ludzie, których pani wkrótce pozna. Są zachwyceni, że przywożę ze sobą młodą damę, mieszkają bowiem na pustkowiu i cieszą się z każdego gościa. Proszę się przygotować na to, że Jane będzie panią niemiłosiernie tuczyć, a spiżarnię ma zawsze świetnie zaopatrzoną. W tym względzie nie zna litości; sama je bardzo

dużo, ale o dziwo jest bardzo szczupła i zwinna. Pewnie to sprawa klimatu. Zwierzyła mi się, że tylko dlatego udało jej się przetrwać cało pobyt w tropikach, że mogła dobrze jeść. Córka dorównuje jej i pod tym względem. A Evan Booss jest przeświadczony, że żadna inna kobieta nie dałaby mu szczęścia tak jak Jane. Jo słuchała uśmiechnięta, wreszcie stwierdziła:

— Bardzo się cieszę, że ich poznam!

— Będzie się pani u nich dobrze czuła, tego jestem pewna. A jeśli będziemy łaknęły wyższej strawy duchowej, poradzimy sobie same. Myślę, że wytrzymamy tam z pół roku. Odpoczniemy wspaniale, gdyż dom mojej siostry położony jest na wzgórzu, tylko plantacje leżą w dolinie.

Potem gawędziły jeszcze o tym i o owym; pani Gley tryskała humorem — Jo mogła jej słuchać godzinami.

Otaczała swą chlebobdawczynię coraz większą miłością i czcią, gotowa usuwać każdy pyłek spod jej stóp.

## XVII

Zgodnie ze swym postanowieniem Gerd Rainsberg dotarł na Jawę na początku października. W Dżakarcie opuścił pokład parowca i pojechał koleją do Bogoru, gdzie czekał na niego z samochodem dyrektor, doktor Ernest Winter. Przywitali się serdecznie i Gerd bez dalszych wstępów spytał:

— Czy pani Gley z towarzyszką są już w Szandzie?

Tak się nazywała posiadłość Evana Boossa.

— Nie, Gerdzie; pani Booss twierdzi, że jej siostra przyjeżdża w pierwszych dniach listopada. Moja młoda żona powiedziała mi, że pani Gley przywozi ze sobą towarzyszkę, pannę Jolantę Warren.

Gerd uściśnął przyjacielowi dłoń i powiedział serdecznie:

— Prócz krótkiego telegramu nie miałem jeszcze okazji pogratulować ci, Erneście. Pozwól, że zrobię to teraz. Wiesz, że życzę ci szczęścia z całego serca.

— Wiem, Gerdzie.  
— Jesteś szczęśliwy?  
— Nie potrafię tego wyrazić słowami. Życzę ci, byś jak najprędzej poszedł w moje ślady.

— Ja też niczego bardziej sobie nie życzę — westchnął Gerd. — Powiem ci w zaufaniu: kocham Jolantę Warren i myślę, że ona też mnie kocha. Smutne wypadki zmusiły ją do ucieczki przede mną. Jestem szczęśliwy, że udało mi się wreszcie trafić na jej ślad. Przyjechałem tu tylko po to, by zabrać kobietę, bez której moje życie nie ma żadnego sensu. Ale jest coś, co sprawia, że uciekłaby stąd lub w ogóle nie przyjechała, gdyby wiedziała, że tu jestem. Dlatego prosiłem cię o dyskrecję; mam nadzieję, że uprzedziłeś o tym wszystkich zainteresowanych.

— Możesz być spokojny, zrobiłem, co mogłem. Szczęśliwy przypadek sprawił, że moja żona nie wymieniła twojego nazwiska w rozmowie z panną Warren. Pani Booss również nigdy nie wspominała o tobie w listach do siostry i nie robi tego, póki nie odwołasz zakazu. Kiedy ją prosiłem w twoim imieniu o dyskrecję, od razu zwietrzyła miłosną aferę i pali się do tego, by doprowadzić wszystko do szczęśliwego końca. Znasz ją, to wspomniała kobieta. Ma o tobie wysokie mniemanie i twierdzi, że gdyby jej córka nie była jeszcze zamężna, gdy zjawileś się na Jawie, musiałbyś koniecznie zostać jej zięciem. Jestem przekonany, że ani twój opór, ani opór córki na nic by się nie zdał. Jest tak uparta, a przy tym tak serdeczna i rezolutna, że nikt nie zdoła jej się oprzeć. Ona jest błogosławieństwem dla każdego, kto się do niej zbliży. Zapewniam cię, że byłbyś szczęśliwy z jej córką Katje. Pani Booss już by się o to postarała!

— W takim razie cieszę się, że Katje była już wtedy żoną Willego Saamsa — roześmiał się Gerd. — Na pewno lepiej do niego pasuje niż do mnie. Jest urocza i przemiła, ale nie w moim typie.

— Zapewniam cię, że nie wpadłbyś na to. Jane Booss owinęłaby cię dookoła palca i wmówiła ci, zanim byś się obejrzał, że nikt inny nie może dać ci szczęścia poza jej Katje. W każdym razie jest wniebowzięta, że ma okazję pomóc dwojgu kochającym się ludziom przezwyciężyć dzielące ich przeszkody. Nie zdradzi twego nazwiska ani ona, ani nikt z jej ludzi, gdyż głos pani Jane to dla nich głos Boga.

Wsiadaj, musimy zdążyć na obiad. Magda od rana sterczy w kuchni, czerwona od żaru, pichćąc dla ciebie wspaniałą pieczeń. Bo trzeba ci wiedzieć, że Magda poza wszystkimi zaletami jest także wspaniałą kucharką. Od czasu do czasu nasz malajski kucharz musi jej więc ustąpić pola. Wtedy z właściwym swej rasie stoicyzmem patrzy jej pilnie na ręce, ucząc się różnych sztuczek kulinarnych, co nam, rzecz jasna, wychodzi na zdrowie.

Doktor Winter usiadł za kierownicą, Gerd obok niego i ruszyli z początku wolno, a potem coraz szybciej coraz bardziej stromymi drogami. Samochodzik spisywał się znakomicie. Wkrótce wydostali się z niżej położonych parnych terenów i poczęli oddychać świeżym, czystym powietrzem.

Panowie mieli sobie wiele do powiedzenia; trzeba było omówić mnóstwo kwestii tak prywatnych, jak i dotyczących plantacji. Toteż podróż im się nie dłużyła, choć trwała kilka godzin. Miejscami droga wiodła przez dziewiczą puszcę pełną bujnej tropikalnej roślinności. Co jakiś czas wyskakiwało na drogę zwierzę, prychając gniewnie, a raz nawet przejechali węża wygrzewającego się na słońcu. Wyżej nie było już węży. W miarę jak teren się podnosił, las tracił coraz bardziej charakter tropikalny. Podczas gdy na nizinie rosły mangrowce, sięgające sterzcącymi nad ziemią korzeniami ku podmokłym terenom, tu w górze przeważały drzewa tekowe i dęby indyjskie. Można było pomyśleć, że to zwykły europejski las, gdyby nie stada małych skaczących w koronach drzew. Wśród kwiatów były tu i niezapominajki, i rezeda. Czasem na polance pośrodku zielonej płachty łąki pyszniła się olbrzymia kępa niezapominajek porastających małe strumyki tryskające z górskich źródełek, dające doskonałą wodę pitną.

Wielkie plantacje położone były na nizinach, gdzie klimat był typowo tropikalny i gdzie pracowali tubylcy. Doktor Winter nadzorował prace w polu, jeżdżąc samochodem i rozmawiając z ekonomami, którzy z kolei pilnowali robotników pracujących na polach ryżowych, herbacianych, kawowych, na plantacjach bawełny. Pośrodku tych terenów była wyniosła góra, na której stał rozległy bungalow mieszkalny oraz pomieszczenia gospodarcze. W lasach i na plantacjach pobudowane były drewniane domki, dające robotnikom osłonę przed największymi upałami i służące do spożywania posiłków. Robotników karmić było łatwo. Ryżu było pod dostatkiem, owoce rosły

wszędzie; mięso dostawali raz dziennie, a poza tym inne pożywne produkty.

Gdy przejeżdżali przez plantacje, robotnicy nie zwracali na nich najmniejszej uwagi. Ożywiali się tylko, gdy na plantacji zjawiał się rozklekotanym samochodem handlarz, oferując im przeróżne towary. Ludzie ci handlowali przeważnie opium, stąd też podlegali surowej kontroli. Robotnik, który wpadał w nałóg, był stracony.

Czasami przyjeżdżali handlarze chińscy, i na tych trzeba było szczególnie uważać, mieli bowiem sugestywne sposoby zachwalania narkotyków. Gdy tylko w okolicy pojawiał się Chińczyk, ekonomowie zabierali się do uświadamiania robotników, strasząc ich piekłem, gdyby popadli w nałóg palenia opium. Rząd wprowadził ostre kary dla handlarzy narkotykami.

Nie sposób było natomiast bronić robotnikom kupowania świecidełek i innej tandety, zastępującej im wartościowsze rzeczy.

Gdy znaleźli się na szczycie góry, ujrzeli osiedle robotnicze, a nieco z boku, na eksponowanym miejscu — bungalow państwa. Był to drewniany budynek wzniesiony na kamiennym fundamencie, z jaskrawo pomalowanymi kolumnami i ścianami i z długimi rzędami okien. Bungalow był jednopiętrowy, ale za to szeroko rozciągnięty. Wprawdzie tereny te były położone z dala od obszarów wulkanicznych, ale ten styl budowy, rozpowszechniony w całym kraju, okazał się najbardziej praktyczny. Zdarzały się bowiem i na północy lekkie wstrząsy wulkaniczne; mieszkańcy czuli się więc bezpieczniej w niskich domach. Zresztą miejsca było wszędzie dosyć na rozległe budowle.

Doktor Winter włączył klakson i w tej chwili na szerokiej werandzie okalającej cały budynek ukazała się jasna postać kobieca machająca do nich rękoma.

— Moja żona! — powiedział z uśmiechem Winter i oczy mu zabłyśły.

W chwilę później samochód zatrzymał się u podestu szerokich schodów prowadzących na werandę. Na ostatnim stopniu stała Magda Winter, witając się z doktorem Rainsbergem, którego jej mąż przedstawił.

Oboje od pierwszej chwili przypadli sobie do gustu. Magda była piękną kobietą o jasnobłękitnych oczach, szczupłą i dobrze zbudowaną,



z ciemnokasztanowatymi włosami; uroczy uśmiech odsłaniał zdrowe, białe zęby. Przyjemnie było na nią patrzeć, gdy tak stała w jasnej płóciennej sukience, praktycznej i twarzowej.

Gospodyni wprowadziła gościa do domu, gdzie wszystko było przygotowane na jego przyjazd. W przewiewnych pomieszczeniach, urządzonych w stylu domku letniskowego, panował przyjemny chłodek. Nawet w jadalni stały jasno lakierowane meble. W urządzeniu domu praktyczność szła w parze z estetyką. Na oknach wisiały białe muślinowe firanki i kolorowe zasłony.

Gerd został wprowadzony do przygotowanego dla niego pokoju, gdzie czekało dwóch służących. Jeden zaprowadził go do łazienki, drugi w tym czasie rozpakowywał jego bagaże. Byli to ci sami ludzie, którzy obsługiwali go podczas jego pierwszej bytności w Zorlodze. Gerd wykapał się, włożył biały płócienny garnitur i wszedł u boku doktora Wintera do jadalni, gdzie zaraz podano obiad.

Jedzenie było rzeczywiście doskonałe i Gerd prawił pani domu komplementy. Pani Magda rumieniła się z radości.

Przy stole toczyła się żywa dyskusja; Magda opowiadała o wrażeniach z podróży. Wkrótce rozmowa zesłała na panią Gley i Jo, co Gerda najbardziej interesowało. Magda zachwyciła się nie tylko starą pisarką i jej książkami, ale także Jo, której przyjazdu na Szandę oczekiwała z wielką radością. „Jo jest nie tylko piękna i mądra — mówiła — ale także miła i wartościowa. Tyle tylko, że ma bardzo smutne oczy, choć zawsze jest bardzo opanowana.” Magda opowiedziała o zażyłych stosunkach, w jakich pozostawały ze sobą pani Gley i Jo, dodając, że wszyscy panowie na statku nadskakiwali dziewczynie. Ale bezskutecznie; Jo była dla wszystkich bardzo uprzejma, ale potrafiła trzymać wielbicieli na dystans. Żaden nie mógł się pochwalić szczególnymi względami Jo. Pani Gley opowiadała też Magdzie, że w Kairze niejaki lord Raleigh prosił Jo o rękę, ale ona go bez namysłu odrzuciła. Potem pani Gley i Jo postarały się o to, by lord zaręczył się z niejaką lady Sholms.

Ta ostatnia informacja wstrząsnęła Gerdem. A co by było, gdyby Jo przyjęła te oświadczenia? Ale zaraz się uspokoił. Czyż nie pisała w liście, że kocha innego, którego znała tylko parę godzin? Poza tym miała niewzruszony zamiar nigdy nie wyjść za mąż. Z trudem zmusił

się do spokoju, choć jego tęsknota wzmogła się pod wpływem opowieści Magdy.

Zaraz nazajutrz Gerd udał się z wizytą do Szandy, mając nadzieję dowiedzieć się czegoś bliższego o dacie przyjazdu Ellen Gley i jej towarzyszek.

Dom państwa Boossów w Szandzie położony był również na wzgórzu. Jane była w domu sama — mąż pojechał na plantacje — ale w otoczeniu licznej służby, którą tu można było mieć za psie pieniądze. Ucieszyła się niezmiernie na widok gościa.

— Nie spodziewaliśmy się zobaczyć pana tak szybko, panie doktorze — mówiła — ale tym większa to dla nas radość. Proszę do domu; a może chce pan usiąść tu, w cieniu?

Gerd wybrał to ostatnie. Jane poleciła służącemu przynieść napoje orzeźwiający i coś na przekąskę. Zamówienie było obszerne i bardzo szczegółowe, ale Gerd wiedział już, że chcąc sprawić przyjemność mevrouw Booss, należało dać się porządnie nakarmić. Pani domu zawsze dotrzymywała gościowi pola. Silnie zbudowana, postawna, ale nie otyła — nie dawała podstawy do domysłów, że lubi dobrze zjeść. Nie omijała żadnej okazji, by zaspokoić swój zaiste wilczy apetyt. Gerd nie śmiał pisnąć słówkiem, gdy nakładała mu na talerz coraz to nowe smakołyki, nie zaniedbując własnego żołądka.

Jedząc rozmawiała z gościem żywo i z humorem. Wspominała Ellen Gley, która potrafiła być bardzo wesoła, z tym że była nieco niższa i nie tak ruchliwa jak siostra.

Gdy Gerd dla świętego spokoju prawie nabawił się niestrawności i kategorycznie odmówił zjedzenia czegokolwiek więcej, Jane zjadła jeszcze szybko trochę słodczy, po czym kazała zabrać resztki jedzenia. Na stoliku została tylko schłodzona butelka lemoniady i dwie szklaneczki.

I teraz Gerd musiał opowiedzieć, dlaczego to życzył sobie, by zataić jego nazwisko przed Jo. Zwierzył się szczerze z kłopotu wiedząc, że może zaufać swej gospodyni, która musi przecież znać szczegóły, by zrozumieć, o co chodzi. Pani Jane kiwała głową, a gdy skończył, powiedziała serdecznie:

— Tak, teraz wiem już, w czym rzecz. Może pan liczyć na moją pomoc. Kiedy człowiek działa po omacku, popełnia błędy; ale kiedy

wiadomo, o co chodzi, to co innego. To mi się podoba. Chętnie panu pomogę, wspaniale będzie urządzić tu wesele. Musi mi pan obiecać, że ślub odbędzie się tu, na Jawie. Rzadko mamy okazję urządzić tu wesele. Koniecznie musi się ono odbyć u nas w Szandzie.

— Może byliby zręczniejsi urządzić je w Zorlodze — oponował ze śmiechem Gerd, potrząsając jej dłońmi. — Proszę pamiętać, że Zorloga ma teraz gospodynię, żonę mego przyjaciela Wintera. Ona też ma coś do powiedzenia.

Jane Booss zasmuciła się, że traci taką okazję urządzenia wspaniałej uczty.

— Ale panna Warren będzie naszym gościem i właściwie to my winniśmy jej wyprawić wesele — nie dawała za wygraną.

— Proponuję — próbował ułagodzić ją Gerd — by u państwa odbył się wieczór panieński, a wesele wyprawimy w Zorlodze. W ten sposób spadnie na pani głowę część kłopotów, których się pani z niezrozumiałych względów domaga, a część na panią Winter. Odpowiada to pani?

— Bardzo dobrze! — rozpromieniła się Jane. — Umowa stoi.

— Ale najpierw trzeba doprowadzić do tego, żeby wesele w ogóle mogło się odbyć. Panna Warren ma tu ostatnie słowo.

— Myślę — powiedziała Jane, mierząc Gerda spojrzeniem od stóp do głów — że to słowo jakoś przejdzie jej przez gardło. Może się trochę certuje; młode dziewczęta są nieprzystępne i lubią, żeby je zdobywać. Ale byłaby bardzo niemądra, gdyby się nie zgodziła z radością. Drugiego takiego ze świecą nie znajdzie!

Gerd nie chciał swej gospodyni zdradzać prawdziwych powodów, dla których Jo mogła odrzucić jego rękę. Jane nigdy by tego nie zrozumiała, mimo że była wspaniałą i mądrą kobietą. Ale jej wsparcie było dla niego bardzo ważne, toteż omówili szczegółowo dalszą strategię.

Pani Booss powiedziała, że jej siostra jest teraz w drodze z Syjamu na Sumatrę, gdzie zatrzyma się przez kilka tygodni, nim przyjedzie na Jawę.

— Trochę mi się to dłuży, ale wiem, że jak moja siostra coś sobie wbije do głowy, to umarł w butach. Jest pisarką i musi wiedzieć strasznie dużo i wciąż poznawać nowe rzeczy. Na pewno przywiezie pomysły na kilka wspaniałych powieści. Bardzo się z tego cieszę. A

poza tym, to chyba jej pierwsza i ostatnia podróż dookoła świata. Prowadzi bardziej osiadły tryb życia ode mnie i byłam zdumiona, że w ogóle się wybrała w tę podróż. I do tego pojechała samiusienka jak palec — co pan na to? Wszyscy znajomi łącznie ze mną radzili jej, by wzięła kogoś do towarzystwa, ale ona się uparła. I co? Dotarła zaledwie do Lucerny i o mały włos byłaby wpadła pod samochód. Gdy rozmyśla o swojej pracy, to nie widzi i nie słyszy, co się wokół niej dzieje. Na szczęście właśnie w tym momencie znalazła się tam przypadkiem panna Warren i wyciągnęła ją spod kół samochodu. Byłam przerażona, gdy mi to opisała w liście. I wtedy zrobiła jedyną sensowną rzecz w jej położeniu: zaangażowała tę młodą damę jako osobę do towarzystwa. A teraz jest nią zachwycona. Nie chcę nawet myśleć o tym, co to będzie, gdy moja siostra znów zostanie sama.

Gerd słuchał z zainteresowaniem. O tym wydarzeniu Jo nie wspomniała w liście do wuja. Zamiast o uratowaniu życia pisała o drobnej przysłudze, jaką oddała pisarce.

Ale nic nie powiedział, ciesząc się w duchu, że Jo jest taka skromna i szlachetna.

Zaczęli rozmawiać o czym innym, a po chwili zjawił się Evan Boss, witając się serdecznie z gościem. Gerd musiał teraz opowiadać o tym, co słychać w Europie.

Zatrzymano Gerda na obiedzie. Nim zasiedli do stołu, do domu wpadła z hałasem mevrouw Katje Saams z mężem. Odwiedzała często rodziców, gdyż mieszkali zaledwie o dwie godziny drogi samochodem stąd. Katje przywitała się z gościem serdecznie, z typową także dla jej matki żywością. Za to Will Saams był powolny i ociężały — prawdziwy Holender, którego nie tak łatwo było wyprowadzić z równowagi. Ubóstwiał swoją żonę, a ponieważ do niego należała, nie widział powodu, by ulegać emocjom.

Przez krótki czas — nim Katje zgodziła się zostać jego żoną — i on żył jak w gorączce. Na samo wspomnienie włos mu się dotąd jeżył na głowie i często zrywał się w nocy z męczącego snu i uspokajał się dopiero trzymając dłoń Katje w swojej. Wtedy Katje śmiała się z niego, że matka za dobrze go nakarmiła wieczorem. Między rodzicami a córką i zięciem panował serdeczny ton; nie krępowano się dając hałaśliwie wyraz swym uczuciom.

Gerd poczuł się zmęczony, gdy po obiedzie wsiadał do samochodu, udając się w drogę powrotną. Gospodarze zapraszali go do częstych odwiedzin, a Katje powiedziała, że się pogniewa, jeśli nie odwiedzi także ich we własnym domu. Gerd solennie obiecał przyjechać i młoda kobieta pożegnała się z nim rozpozgodzona.

Mimo serdecznego przyjęcia, jakiego doznał na farmie Boossów, Gerd był trochę przybity. Nie chciałby mieszkać tu na stałe i być skazany tylko na takie towarzystwo. Żał mu było przyjaciela Wintera i postanowił umożliwić mu częściej dłuższy urlop, by mógł odprężyć się nie tylko fizycznie, ale i duchowo.

Zaraz po powrocie do Zorlogi powiedział mu o tym. Ale doktor Winter roześmiał się serdecznie.

— Nie martw się, Gerdzie; nie zdiczejemy tutaj. Dotąd widziałeś na Jawie tylko swoje plantacje i najbliższą okolicę. A tymczasem tutaj są miasta, gdzie znajdziesz także strawę duchową. A poza tym nie zapominaj, że mamy radio. Dla nas to o wiele ważniejsze niż dla was, mieszczuchów. Dzięki radiu nie jesteśmy wcale odcięci od świata. Samochód i odbiornik radiowy sprawiły, że nawet mieszkając w dżungli można być ze wszystkim na bieżąco.

To uspokoiło Gerda, który miał wyrzuty sumienia, że zafundował przyjacielowi warunki życia trudne do zniesienia. Tak czy owak, obiecał go co jakiś czas zmieniać lub, gdyby nie mógł przyjechać osobiście, postarać się o zastępstwo.

## XVIII

Mijnheer Booss wyjechał po Ellen Gley i jej towarzyszkę aż do Dżakarty, dokąd przyplłynęły parowcem. Przy okazji załatwił parę interesów w mieście. Czuł się w porcie jak ryba w wodzie; skakał zręcznie z jednej łodzi mieszkalnej na drugą, nie mogąc się nadziwić jej lokatorom, którzy większość czasu spędzali na pokładzie, wylegując się beczynniami całymi godzinami.

Evan Booss przyjechał w samą porę; wkrótce już witał się serdecznie ze szwagierką. Po czym podszedł, by powitać także jej towarzyszkę. Patrzył na nią z uśmiechem i upodobaniem, trochę speszony jej wytwornością, zastanawiając się, czy będzie się dobrze czuła w jego domu. Ale widząc, jak jest prosta i szczerą, uspokoił się szybko.

Pani Gley i Jo były zafascynowane widokiem portu i całego bujnego życia, które się tu rozgrywało na wodzie. Ledwie w hotelu odświeżyły się po podróży, Evan Booss musiał zabrać je na przejażdżkę łodzią, by poznały życie prostego ludu jawajskiego. Wieczorem wrócili do hotelu, zjedli kolację i udali się na spoczynek. Nazajutrz skoro świt mieli wyruszyć do Szandy.

Podróż autem z Dżakarty na plantacje była bardzo ciekawa. W Bogorze wypadł im godzinny postój na posiłek; Holender chciał oszczędzić paniom jazdy w skwarze południa.

Do Szandy dotarli więc w porze podwieczorku. Powitanie było burzliwe i nadzwyczaj serdeczne. Pani Boossowa nie chciała wprost wypuścić siostry z objęć, toteż córka i zięć musieli się chwilowo zadowolić witaniem się z Jo. Ci uczciwi i nieskomplikowani ludzie zachowywali się wobec niej bardzo naturalnie i Jo zaraz poczuła się jak u siebie w domu. Przywitawszy się z ciotką (scena powitania rozgrywała się przed domem), Katje, wzięwszy Jo pod rękę, zaprowadziła ją do przygotowanego dla niej pokoju.

Bungalow Boossów zbudowany był i umeblowany podobnie jak dom w Zorlodze. Wszystko tu lśniło od czystości. Służąca zaprowadziła Jo do łazienki; po kąpieli pomogła jej się ubrać, i w kilka minut później dziewczyna siedziała przy dużym stole w jadalni, gdzie pani Jane kazała podać do herbaty stopy ciast, grzanki, miód i masło.

Pomna przestróg pani Gley, Jo nakładała sobie solidne porcje zyskując sobie tym od razu sympatię pani domu. Posiłkowi towarzyszył zmieszany gwar głosów, wszyscy pytali i odpowiadali jedni przez drugich; śmiano się i żartowano, czasem w czyimś oku błysnęła ła radości. A wszystko płynęło ze szczerego serca i goście wnet poczuli się jak u Pana Boga za piecem.

Jo nie wiedziała oczywiście, że Gerd Rainsberg przebywa w pobliżu, że to on jest właścicielem często wspominanej w rozmowie Zorlogi i że ukrył się w krzakach na skrzyżowaniu dróg, by choć na moment złowić obraz przejeżdżającej. Jeśli chodzi o sąsiednią plantację,

to wiedziała tylko tyle, że mieszka tam wyglądająca jej niecierpliwie pani doktorowa Winterowa.

Ellen Gley oświadczyła stanowczo, że przez pierwszy tydzień nie ruszy się nigdzie krokiem, chcąc wreszcie poczuć, że wróciła do osiadłego trybu życia. Tymczasem gospodarze wiedzieli, jak niecierpliwie czeka Gerd Rainsberg w Zorlodze na odwiedziny nowo przybyłych. Trzeba więc było do niego zatelefonować, że na razie nic się nie da zrobić. Może zresztą będzie lepiej, gdy panie wypoczną wpierw po trudach podróży. Niech tymczasem wpadnie z wizytą pani Winter.

Gerd, zgrzytając zębami i cierpiąc niewymownie, musiał się pogodzić z losem.

Ellen Gley i Jo szybko przyzwyczyły się do życia na farmie, czując się tu wspaniale. Przez cały dzień wylegiwały się na werandzie, usuwając się w cień, w miarę jak słońce wędrowało po nieboskłonie. Do jadalni schodziły tylko na obiad i kolację, gdyż śniadanie i podwieczorek podawano na tarasie.

I ta błoga cisza nocą! Nikt i nic nie zakłócało im snu. Tu, na szczycie wzniesienia, panował rajski spokój. I dziwna rzecz — tak zawsze hałaśliwa pani Booss okazała niezwykle takt i zrozumienie dla potrzeb siostry. Gdy pisarka pracowała, nikomu nie wolno było się zbliżyć do niej, a co najważniejsze, ona sama odmawiała sobie tej przyjemności. Umówiły się, że Ellen Gley będzie wywieszała czerwoną chustkę na werandzie na znak, że ma w danej chwili ochotę pogawędzić. Gdy Jane nie widziała czerwonej chustki, w domu panowała idealna cisza. Ale skoro tylko pojawił się radosny sygnał, pędziła na werandę roześmiana i mało nie udusiwszy siostry w uściskach, siadała wreszcie obok niej, podczas gdy Ellen ściągała czerwoną chustkę.

Ellen Gley była więc zachwycona warunkami do pracy i rozplywała się w pochwałach, pozwalając Jo tłumaczyć przy sąsiednim stoliku.

W błogim nastroju i poczuciu bezpieczeństwa obie panie spędzały długie godziny na wspólnej pracy. Co jakiś czas, nawet gdy brak sygnału nie dawał nikomu wstępu do samotni, tajemnicza ręka wsuwała przez balustradę werandy misę pełną owoców lub innych smakołyków. Jane wiedziała, że siostra, pracując, zapomina o jedzeniu i picciu, starała się więc, by ta miała zawsze pod ręką coś smacznego.

Istotnie, pani Gley, pogrążona w myślach, sięgała czasami ręką do talerza, wsadzała do ust smakołyk, ocierała palce o leżącą obok papierową serwetę i spokojnie pracowała dalej. Pewnego razu powiedziała z humorem:

— Kiedy utknę w martwym punkcie, w roztargnieniu opycham się tymi łakociami i opuszczając ten dom będę grubsza niż dłuższa.

Jo roześmiała się; ona też raczyła się od czasu do czasu specjalami pani Jane stwierdziwszy, że w tym klimacie obżarstwo nie jest tak groźne dla sylwetki.

— Myślę, że nie musi się pani tego obawiać — odparła. — A ja jestem zadowolona, że siostra tak dba o panią. W przeciwnym razie zupełnie opadłaby pani z sił. Troskliwość pani Booss jest doprawdy wzruszająca.

— O tak, umiem to docenić. I tylko dlatego odważyłam się przyjechać tu na pół roku z zamiarem napisania powieści. Prawda, że człowiek czuje się tu jak u Pana Boga za piecem?

— Wspaniale! Od śmierci moich rodziców nie czułam się nigdzie lepiej. Mam wręcz odwagę sądzić, że, mimo iż obca w tym domu, nie jestem nikomu zawadą.

— Pod skrzydełkami Jane trudno mieć takie poczucie. Ale skoro już zaczęłyśmy gawędzić, wywieszę chorągiew, niech biedna Jane się do nas przyłączy, byśmy jej mogły jeszcze raz podziękować.

Czerwona chusta załopotała nad balustradą i po chwili na werandzie zjawiała się Jane prowadząc ze sobą białą ubraną damę.

— Ellen, panno Jo, mamy gości! — wykrzyknęła z triumfem. Gościem tym była pani Magda Winter, która przyjechała właśnie z Zorlogi przywitać stare znajome. Zaczęła się ożywiona rozmowa. Jane nie omieszkła poczęstować wszystkich herbatą i ciastkami. Jej zdaniem należało to do dobrego samopoczucia, a ponieważ podróżowało się tu szmat drogi, częstowanie gościa przekąskami było ze wszech miar wskazane.

Doktor Rainsberg błagał panią Magdę, by namówiła panie na przyjazd do Zorlogi nazajutrz. Zżerała go tęsknota za Jo.

Magda spisała się na medal. Po prostu nie zostawiła obu paniom wyboru, musiały przyrzec, że będą u niej jutro na herbacie, a jeśli wolą, to już nawet na obiedzie. Jane poparła ją energicznie stwierdzając, że tylko na podwieczorek nie warto przyjeżdżać i że powinny zjeść u sąsiadów obiad.



Ellen Gley miała ochotę się zbuntować, ale widząc niemą prośbę w oczach Magdy pomyślała, że nie sposób odkładać dłużej tej wizyty. Przynęła więc, że przyjedzie nazajutrz z siostrą i z Jo.

Magda była uszczęśliwiona, że udało jej się spełnić prośbę doktora Rainsberga. Gdy Ellen Gley się zgodziła, wymieniły z Jane porozumiewawcze spojrzenia.

— A pan Booss nie zaszczyci nas swoją obecnością? — spytała obłudnie.

— Spytam go — odparła Jane — czy może się uwolnić od zajęć gospodarskich. Zadzwoń do pani. I z góry przepraszam, gdyby nie mógł.

Jane i Magda umówiły się bowiem już wcześniej, że panie przyjadą same. Mężczyźni tylko przeszkadzają, gdy chodzi o tak subtelne sprawy. One obie usuną się dyskretnie, by Gerd Rainsberg mógł się rozmówić z Jo. A Ellen już ona tak zagada, że nawet nie zauważy nieobecności dziewczyny.

I w ten sposób plan batalii został przygotowany w najdrobniejszych szczegółach. Pani doktorowa zaraz się pożegnała, chcąc rzekomo dać paniom możliwość popracowania w spokoju, skoro jutro mają świętować.

Gerd, w najwyższym stopniu poruszony, wysłuchał raportu Magdy: panie przyjadą przed obiadem; pani Booss i ona zatroszczą się o to, by nikt im nie przeszkadzał; ona, Magda, zaprosi Jo na spacer, po czym zostawi ją samą pod jakimś pozorem. Gerd zna tę ławeczkę na skraju lasu, skąd roztacza się przepiękny widok. Na tej właśnie ławeczce Jo będzie czekała na jej, Magdy, powrót. A skoro tylko ona się oddali, Gerd wyjdzie z ukrycia, nikt im nie przeszkodzi... a reszta należy do nich.

Wszystko zostało więc omówione; odwoły w tej batalii na pewno wykonają zadanie.

Od wczesnych godzin porannych Gerd był na nogach, biegając co chwila na skrzyżowanie dróg, skąd można było z daleka ujrzeć podróżnych nadjeżdżających od strony Szandy. Czas mu się dłużył niemiłosiernie, ale w końcu dostrzegł samochód w oddali. Rozpromienionym spojrzeniem śledził auto pełną parą pod górę. Chwilowo doktor Winter był również wyłączony z gry; przebywał na

plantacjach, oczekiwano go dopiero na obiad.

Płonąc z niecierpliwości, Gerd patrzył ze swej kryjówki, jak samochód zajeżdża pod dom. Serce waliło mu jak młotem, krew pulsowała w skroniach. Jedno było pewne: stąd już Jo mu się nie wymknie. Ale potrwa jeszcze dobrych parę chwil, nim pani doktorowa przyprowadzi dziewczynę na umówione miejsce.

Pani Magda przywitała gości u podestu schodów prowadzących na werandę prosząc je, by się rozgościły na tarasie. Po czym wymieniła spojrzenie z Jane, na co ta rzekła do siostry:

— Chodź, Ellen, pokażę ci dom, znam tu każdy zakamarek. Pozwoli pani, pani doktorowo?

— Oczywiście, proszę pani; będę pani wdzięczna.

Jo nie została zaproszona na oględziny domu. Gdy zostały same na werandzie, pani Winter powiedziała z uśmiechem:

— A ja pokażę pani moje, ulubione miejsce, skąd roztacza się wspaniały widok na okolicę.

Jo, niczego nie podejrzewając, poszła potulnie za panią domu. Ale zaledwie usiadły na ławeczce, Magda uderzyła się w czoło:

— Zapomniałam zostawić wiadomość, by panie przyszły tu potem! Proszę zaczekać minutkę, zaraz wrócę.

Nim Jo zdążyła cokolwiek powiedzieć, już jej nie było. Jo niczego nie podejrzewała. Nasyciwszy oczy pięknem tropikalnego pejzażu, odchyliła się swobodnie na oparciu ławki i zamknęła oczy. Rzadko miewała ostatnio takie chwile zupełnej samotności. Zaraz też uśmiech zniknął z jej warg; ogarnął ją melancholijny nastrój, smutne przeświadczenie, że nigdy już nie zazna szczęścia.

Gerd przyglądał jej się z ukrycia. Dostrzegł zmianę w rysach jej twarzy, bolesny skurecz ust, i serce zabiło mu mocno. Ostrożnie wyszedł z kryjówki i podszedł do niej na palcach. Chciał, by zaskoczona jego widokiem uświadomiła sobie, kim dla niej był.

I stał tak przed nią z sercem przepelnionym miłością. Wreszcie westchnął głęboko.

A była wokół taka cisza, że Jo usłyszała gorące westchnienie Gerda. Otworzyła oczy z przestachem — i znieruchomiała, nie wierząc własnym oczom. Nie, to nie mogła być prawda, to jakiś senny majak,

myślała. Lecz w miarę jak patrzyła, wracała jej świadomość; zbladła jak ściana. Zerwała się z ławki, chcąc rzucić się do ucieczki. Ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Opadła bezsilnie na ławkę. Chciała coś powiedzieć: słowa nie przechodziły jej przez gardło. Wyciągnęła ręce jakby w obronie.

A on widząc, jak strasznie jest wzburzona, widząc cierpienie w jej oczach, postąpił krok naprzód. Przerazenie malujące się na jej twarzy zdradzało jej uczucia do niego. Ta myśl napełniła go błogim spokojem.

Wreszcie Jo udało się przemówić:

— Pan... Boże mój, to pan, doktorze? Na miłość boską, skąd pan się tu wziął?

A on odparł drżącym głosem:

— Jestem tu u siebie, Jolanta; Zorloga to moja własność.

Patrzyła na niego, jakby zobaczyła ducha. Przyciskając ręce do piersi, powiedziała cichym, drżącym głosem:

— Nie wiedziałam o tym. O nie... Boże... gdybym wiedziała...

— Gdyby pani wiedziała, nie przyjechałaby pani tutaj, prawda? — spytał, patrząc jej w oczy.

— Nigdy, za żadne skarby świata! — głos odmawiał jej posłuszeństwa.

— Wiedziałem o tym. Dlatego postarałem się, by nie zdradzono pani mego nazwiska.

— Czyż pan wiedział, że tu będę? — spytała, rumieniąc się pod wpływem jego gorących spojrzeń.

— Tak, wiedziałem! Pokładałem w tym całą nadzieję. Och, Jo, dlaczego chciała pani zniknąć z mego życia? Czyż nie wiedziała pani, co to dla mnie znaczy?

Jo odgarnęła włosy z czoła.

— Ja... ja wiedziałam tylko, że muszę przed panem uciekać, że nigdy więcej nie mogę spojrzeć panu w oczy — skarżyła się bliska płaczu.

— To dlatego, że pani mnie kocha, a ja kocham panią, Jo; dlatego, że pani czuła, że należymy do siebie, cokolwiek by nas chciało rozdzielić!

A ona znów wyciągnęła ręce jakby broniąc się przed czymś.

— Och, niech pan milczy... proszę... muszę stąd odejść, natychmiast.

Gerd potrząsnął energicznie głową.

— Sądzi pani, że pozwolę pani odejść, gdy wreszcie panią odnalazłem?

— Niech się pan nade mną ulituje — błagała — i zostawi mnie samą!

— Tylko wtedy, gdy panie powie, że mnie pani nie kocha.

Jo ukryła twarz w dłoniach.

— Nie mogę tego powiedzieć — jęknęła — nie mogę... Ale muszę stąd odejść, pan przecież nie wie, co mnie spotkało, co mnie od pana oddzieliło na zawsze.

A on podszedł do niej i odejmując jej ręce od twarzy, mówił:

— Wiem wszystko, Jo, wszystko. I cóż nas może teraz rozdzielić, gdy pani jest wolna?

— Wolna? — jęknęła Jo. — Tak, wolna od tego człowieka, lecz nie od hańby. Pan nie wie, co ja przeżyłam.

— Owszem, Jo, wiem wszystko; wuj pokazał mi twój list, gdyż wie, że cię kocham i pragnę pojąć cię za żonę.

— Ale to niemożliwe, Boże jedyny, jakże mogłabym po tym wszystkim oddać rękę uczciwemu człowiekowi? — szlochała dziewczyna.

— Jo, musi pani porzucić tę szaloną myśl, że jest pani splamiona. Dotknęło panią nieszczęście, tylko tyle; nieszczęście, które sprowadził na panią zły człowiek. Dla mnie jest pani niewinna i czysta jak łąza. Wiem, co pani przeżyła. Ach, Jo, nazajutrz po pani nieszczęsnych zaręczynach pojechałem nie do Holandii, lecz do Hiszpanii. Już wtedy wiedziałem, że jest pani kobietą mojego życia, że kocham panią. A gdy mi pani powiedziała, iż panią zmuszono do tych zaręczyn, wiedziałem jedno — że nie spocznę, póki pani nie uwolnię. Przypadek sprawił, iż od początku podejrzewałem, że ten człowiek jest oszustem podszywającym się pod cudze nazwisko. Nie znałem tylko celu tej maskarady. Chcąc zyskać pewność w tym względzie, pojechałem do Hiszpanii. Tam zaraz odkryłem prawdę, lecz zrządzenie losu — skreśliłem nogę — sprawiło, że nie zdążyłem przeszkodzić w zawarciu tego małżeństwa. Nie podejrzewałem, że ślub odbędzie się tak szybko. Przyjechałem do Berlina tego samego dnia, gdy pani wyjechała z tym oszustem do Szwajcarii. Proszę usiąść, Jo, opowiem pani wszystko po kolei.

Usiadła na brzeżku ławki, odsuwając się od niego lekko. Gerd nie przejmował się tym, był pewny zwycięstwa.

Opowiadał dziewczynie o tym, co przeżył, ile wycierpiał. O swej rozpacz, gdy dowiedział się, że jest wydana na łaskę i niełaskę tego drania; o podróży do Zurychu, poszukiwaniach w Lucernie i straszliwym rozczarowaniu, gdy się dowiedział, że wyjechała w nieznaną.

— A to czekanie — ciągnął — na zapowiadany list! To były straszne miesiące. Jedno mnie tylko pocieszało: wiedziałem, że pani uniknęła najgorszego, że uwolniła się pani od Respica, nie należąc do niego. Nawet się pani nie domyśla, Jo, co ja wycierpiałem. Aż wreszcie przyszedł list od pani i wiedziałem już, gdzie się pani podziewa.

Po czym opowiedział jej, dlaczego od razu za nią nie pojechał, chcąc dać jej czas na przyście do siebie; wiedział, że spotka się z nią na Jawie. O tym, czego dowiedział się w Hiszpanii, wspominał tylko mimochodem, nie chcąc jej denerwować. Z tego samego powodu nie mówił jej o Rosicie Respico. Zamiast tego zapewniał ją w kółko, że jest wolna i żadna nić nie wiąże jej z przeszłością.

— Wszystko, co najgorsze, ma pani już za sobą; przeszłość się nie liczy. Dzięki Bogu, zachowała pani godność i niewinność. Nie spada na panią nawet cień winy; stawiam panią na piedestale wyżej od jakiegokolwiek kobiety. Kocham panią i wiem, że tylko z panią mogę być szczęśliwy. Jeśli pani nie zechce być moja, ukarze pani nie tylko siebie, ale i mnie. Proszę o tym pamiętać. Dam pani czas do namysłu, by pani uwierzyła, że oddając mi rękę gotuje mi pani najwyższe szczęście na ziemi. Od pierwszej chwili, gdy panią ujrzałem, wiedziałem, że spotkałem wartościowego człowieka. Teraz ma pani okazję poznać mnie bliżej; jeśli, poznawszy mnie lepiej, nie odmówi mi pani swej miłości, jeśli dojdzie pani do wniosku, że może pani z pełnym zaufaniem złożyć swój los w moje ręce — wtedy ponownie spytam, czy zechce pani zostać moją żoną. Ustalmy miesięczny termin jako czas próby dla mnie.

W ciągu czterech tygodni będziemy się widywać codziennie, rozmawiać ze sobą, już ja to urządę. Nie musi pani o nic się kłopotać. Czy zgadza się pani na to?

Jo słuchała tych słów wzruszona do głębi. Gdy skończył, uniosła głowę i spojrzała na niego oczyma, w których szklily się łzy. Pobladła,

wargi jej drżały, ale nigdy chyba jeszcze nie była tak piękna. Wreszcie zaczęła mówić:

— Dziękuję panu za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Bardzo dziękuję! Każde pańskie słowo było jak balsam wylany na moje zboleiałe serce, każde podnosiło mnie odrobinę wyżej z upodlenia, jakie stało się moim udziałem za sprawą tamtego człowieka. Och, wiem, jak wielkie szczęście pragnie pan mi dać i jestem wstrząśnięta myślą, że pan się na to waży. To dowód, jak jestem panu bliska. Bóg widzi, jak bardzo jestem panu wdzięczna za to wszystko. Nie potrzebuję wcale poddawać pana próbie, gdyż to, co pan dla mnie uczynił, wystarczy, by wiedzieć, jak pan jest dobry i szlachetny. Mimo to pragnę skorzystać z pańskiej propozycji. Nie mogłabym teraz podjąć decyzji. Potrzebuję czasu do namysłu, ale próbie muszę poddać nie pana, lecz siebie. Muszę się zastanowić, czy mam prawo przyjąć pańską szlachetną propozycję.

I szlochając ukryła twarz w dłoniach.

Gerd łagodnie przytulił jej głowę do piersi, gładził ją delikatnie po włosach, po rękach. Wiedział, że nie może sobie pozwolić na nic więcej, by jej nie spłoszyć. A dla niej jego szlachetna powściągliwość była prawdziwym błogosławieństwem. Ufnie i z poczuciem niewysłowionego bezpieczeństwa przytulała głowę do jego piersi czując, jak serce bije mu mocno, spokojnie.

Czyż to możliwe, by po tym wszystkim, co przeszła, miała zaznać takiego szczęścia? Jakże dziękowała Bogu, że nie dane jej było złożyć najwyższej ofiary. Inaczej nie mogłaby należeć do Gerda.

I wtedy w jej sercu obudziła się iskierka nadziei, że może jeszcze nie wszystko stracone.

A Gerd milczał czekając, aż Jo się uspokoi.

Wreszcie Jo otarła łzy, odgarnęła włosy z czoła i nieśmiało uśmiechnęła się do niego.

— Przepraszam, że się rozkleiłam — powiedziała. — Ale gdyby pan wiedział, jaki ciężar leżał mi na sercu! Trzymałam się, póki zmuszona byłam sama go dźwigać. Teraz, gdy pan przyszedł mi z pomocą, zupełnie się rozsyłam.

Gerd patrzył na nią troskliwym, zakochanym spojrzeniem, wreszcie odparł:

— Podziwiałem panią, Jo. Była pani taka dzielna; wzięła pani swój los w swoje ręce i samodzielnie stanęła na nogach. Prócz miłości czuję także dla pani podziw. A teraz proszę się wreszcie uspokoić, moja droga, jedyna Jo. Będę się o panią bardzo, bardzo troszczył!

Te słowa znów wycisnęły jej łzy z oczu. Ale zaraz się opanowała widząc, że Gerd patrzy na nią niespokojnie.

Czas jakiś siedzieli tak obok siebie. Jo poprosiła, by jej opowiedział, jak wuj to wszystko zniósł, a Gerd nie ukrywał przed nią, że wuj martwił się o wiele bardziej niż ciotka.

Rozmawiali jak dwoje ludzi doskonale się rozumiejących, którzy nie mają przed sobą sekretów. Miłość rozpalala się coraz goręcej w sercu Gerda, ale zdołał opanować się na tyle, by spokojnie wysiedzieć obok swej ukochanej.

Wtem Jo przypomniała sobie o pozostałych paniach.

— Mój Boże — zawołała przerażona — gdzie się podziała pani Winter? Na śmierć zapomniałam, że miała zaraz wrócić.

— Och, na pewno nie przyjdzie, póki jej nie zawołam — roześmiał się Gerd. — Muszę pani wyznać, Jo, że ona i pani Booss to moje odwody. Obie wiedzą, że pragnąłem porozmawiać z panią na osobności i są wtajemniczone w moje perypetie sercowe, na ile można takie sprawy zawierzać obcym osobom. Nie ma pani pojęcia, ile wycierpiałem widząc, że pani jest w Szandzie i nie mogąc pani zobaczyć. Poprosiłem więc je o pomoc. Gdy panie przyjechały samochodem z Dżakarty, ukryłem się w zaroślach obok farmy pana Boossa, by choć z daleka panią zobaczyć. Pani uciezka sprowadziła na mnie tysiączne męki. Czy nie przyszło pani do głowy, jak bardzo będę cierpiał?

— Myślałam — odparła, patrząc mu nieśmiało w oczy — że będzie najlepiej dla pana, gdy mnie pan już nigdy nie ujrzy. Dlatego ucieszyłam się, że będę tak daleko od pana. Nie ośmieliłam się mieć nadziei, że po tym wszystkim pan chciałby mnie jeszcze pojąć za żonę.

— Ale teraz już pani wie, jak bardzo tego pragnę, prawda?

Jo skinęła głową. Miała wielką ochotę raz jeszcze oprzeć głowę na jego piersi i poczuć błogosławiony spokój. Ale wciąż nie miała pewności, czy nie postępuje źle, pozwalając Gerdowi starać się o nią. Próbowwała postawić się w jego położeniu, zastanawiając się, czy ona

by go mniej kochała, gdyby źli ludzie okryli go hańbą. I odpowiadała sobie: kochałabym go, nawet gdyby ciążyła na nim wina.

Zrobiło jej się lżej na duszy. Odważyła się spojrzeć w jego kochaną twarz, a jego czule spojrzenia przyprawiały ją o rozkoszne drżenia. I słodka pewność zakradła się do jej serca: jeśli się zdecyduje, dostąpi niewysłowionego szczęścia.

Pani Jane i jej siostra nie zaszły daleko. Posadziwszy panią Gley na fotelu, Jane wtajemniczyła ją w sytuację. Gdy padło nazwisko Gerda Rainsberga, pisarka przypomniała sobie, że gdzieś już je słyszała. Ależ tak, to przecież ten mężczyzna, w którym Jo zakochała się od pierwszego wejrzenia! Westchnąwszy, zauważyła zrezygnowana:

— Ach, coś mi się zdaje, że Jo nie pojedzie ze mną do Anglii. Żegnaj, piękny śnie!

— Musisz się z tym pogodzić, Ellen — perswadowała jej siostra. — Rozumiem twoją rozpacz; panna Jo to czarujące stworzenie. Ale myślę, że łatwiej będzie tobie znaleźć inną towarzyszkę podróży, niż tym dwojgu żyć bez siebie. Rainsberg musi bardzo kochać Jo!

— Nietrudno mi sobie to wyobrazić. I dlatego muszę się usunąć w cień. Nie zamierzam stać na drodze do jej szczęścia.

— Najpierw musimy się dowiedzieć, czy ona go kocha — zauważyła Jane.

— Mogę ci już w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie. Wyznała mi jakiś czas temu, że kocha doktora Rainsberga. Ma za sobą ciężkie przeżycia i sądzi, że nie ma prawa wyjść za mąż. Ale zmieni zdanie, gdy w grę wchodzi miłość. Bardzo bym tego pragnęła. Ale jeśli ty i pani Winter sądzicie, że już wszystko załatwione, to się mylicie. Z Jo nie pójdzie tak łatwo.

— Ależ, moja droga — obruszyła się Jane — chyba nie ma serca z kamienia. A taki mężczyzna jak doktor Rainsberg zdobędzie każdą kobietę.

— Nie znasz Jo tak dobrze jak ja, Jane — odparła pani Gley. — Ja też sądzę, że na dłuższą metę go nie odepchnie. Ale na pewno nie zdecyduje się od razu na taki krok. Najpierw musi się namyślić, czy aby na pewno da mu szczęście. Jest bardzo sumienna. Zrozumiesz to, gdy ci o niej opowiem.



Tu pani Gley opowiedziała siostrze przygody Jo. Pani Booss miała łzy w oczach. Po wysłuchaniu całej historii bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła przyczynić się do szczęścia Jo.

— Musisz jej przemówić do rozumu, Ellen — wołała rozgorączkowana. — Ciebie prędeej posłucha.

— Poczekajmy, może doktor Rainsberg sam sobie poradzi. Jeśli nie, przystępuję do spisku.

Siostry wyszły przed dom, gdzie czekała na nie pani Winter. Trzy kobiety siedziały na ławce niby trzej spiskowcy, patrząc ku laskowi, jakby ich spojrzenia mogły wpłynąć pomyślnie na losy Gerda i Jo.

Wreszcie zakochani ukazali się ich oczom, idąc ku domowi. Ellen Gley z przyjemnością patrzyła na smukłą postać pana na Zorlodze. Od razu jej się spodobał i nie dziwiła się już, że Jo zakochała się w nim bez pamięci.

— Boże! Jaka piękna z nich para! — powiedziała cicho.

Jej towarzyszki przytaknęły, a Jane wykrzyknęła wesoło:

— Oto wymarzeni bohaterowie powieści, Ellen!

— Nie musisz mi tego mówić — uśmiechnęła się pisarka. — Bądź pewna, że nie przepuszczę takiej okazji.

Jo czuła skrępowanie, zbliżając się do werandy u boku Rainsberga. Toteż ucieszyła się, gdy w tej chwili przed dom zajechał samochód; to doktor Winter wracał z plantacji. Chcąc pomóc Jo, Gerd oznajmił rycersko:

— Okazało się, że dobrze się znamy z panną Warren. Ucieszyłem się z tego spotkania.

Pozostali podjęli grę, gawędząc beztrósko, póki nie wezwano ich do stołu.

Błyszczące oczy doktora Rainsberga świadczyły wymownie, że nie usłyszał zdecydowanej odmowy, a Jo była tak spłoszona, że nietrudno było domyślić się jej uczuć.

Wszyscy byli więc zadowoleni, towarzystwo bawiło się świetnie i nawet Jo się rozweseliła, żartując i przekomarzając się. Gerd patrzył jej w oczy uszczęśliwiony i jego wzrok poruszył ją do głębi. Wtedy pomyślała, że nie ma prawa go unieszczęśliwiać odmową. Nie, nie ma prawa. Zresztą nie miałyby siły, kochała go tak bardzo, że nie mogłaby go już opuścić.

Nastał dla nich cudowny czas. Wszyscy byli zgodni co do tego, że trzeba młodych jak najczęściej pozostawiać samym sobie. I wszyscy starali się usilnie o to, by młodzi przypadkiem zostali sami. Te szczęśliwe „przypadki” mnożyły się, ale ani Gerd, ani Jo nie zauważyli, że ktoś tu pomaga losowi. Byli całkiem pochłonięci szczęściem przebywania razem.

Gerd dotrzymał słowa i nie nalegał, by Jo szybciej się zdecydowała, nie domyślając się, że dziewczyna nie miałaby nic przeciwko temu, by był bardziej natarczywy. I gdyby nie czytała prawdy w oczach Gerda, pomyślałaby, że jej się to szczęście przyśniło.

W kilka dni później Gerd, jak zwykle, zjawił się w Szandzie. Pani Jane wymówiła się pilnymi pracami domowymi. Ellen Gley zaś była pogrążona w pracy. Do tej pory ani słowem nie wspomniała o spotkaniu jej pupilki z ukochanym. Dziś było inaczej.

— Będzie pani musiała dotrzymać towarzystwa biednemu doktorowi Rainsbergowi — powiedziała do Jo. — Moja siostra jest zajęta, a ja muszę koniecznie skończyć rozdział.

— Wydaje mi się, że w ostatnich dniach zaniedbałam się w pracy — powiedziała niepewnie Jo, wierząc się niespokojnie na krześle. — Tłumaczenie nie posuwa się tak szybko jak przedtem.

— Nie szkodzi, później to pani nadrobi. To w tej chwili nie jest najważniejsze dla pani, mała Jo.

— Chętnie pani posłucham — szepnęła dziewczyna, całując dłoń pisarki.

— Wiem o tym! — odparła pani Gley, uśmiechając się filuternie.

A Jo już nie było. Zbiegła z werandy, czując wyrzuty sumienia, że opuszcza się w pracy, a zarazem nieprzytomnie szczęśliwa, że znów będzie sam na sam ze swym ukochanym.

Ileż mieli sobie do powiedzenia! Ile razy zaglądali sobie głęboko w oczy! Nie posiadali się wprost ze szczęścia.

W pewnej chwili doszli do miejsca, skąd widać było Zorlogę i Jo rzekła w zadumie.

— Jaką pan ma piękną posiadłość, panie doktorze! A ja sobie wyobrażałam, że pan jest biednym uczonym.

— Byłem nim, aż pewnego dnia, ku własnemu zdumieniu, zostałem spadkobiercą wuja. Był jedynym bratem mojej matki i aż do jego

śmierci niewiele o nim słyszałem. Prawie zapomniałem o jego istnieniu, do głowy by mi nie przyszło, że sobie o mnie przypomni. Jakieś sześć lat temu przyjechał do kraju; widzieliśmy się tylko raz. Zostawił list, który napisał do mnie przed śmiercią. Pisał w nim, że bardzo mu zaimponowałem tym, że go nie poprosiłem o pomoc, choć inflacja pożarła całkiem majątek, który odziedziczyłem po ojcu. Podobało mu się, że się uparłem i przebiłem przez życie o własnych siłach. Już wtedy postanowił, że wyznaczy mnie na swojego spadkobiercę. Zawstydzilem się, gdyż nigdy nie żywiłem dla niego głębszych uczuć, a trudno zwracać się o pomoc do człowieka, który jest nam obojętny. Może pani sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy podróżując po Nowej Gwinei w towarzystwie doktora Wintera otrzymałem wiadomość o śmierci wuja i o tym, że uczynił mnie swym generalnym spadkobiercą. Szczegrze mówiąc, pieniądze i posiadłość nigdy nie wydawały mi się zbyt ważne w życiu; zawsze potrafiłem zarobić tyle, by porządnie zjeść i ubrać się. Ale muszę przyznać, że spadek zrobił jednak na mnie pewne wrażenie. Staralem się ukrywać przed światem zmianę mojego statusu nie chcąc, by oceniano mnie na podstawie mojego majątku. Nie było w tym jednak żadnej mojej zasługi.

— Rozumiem to doskonale — mówiła Jo, patrząc na niego błyszczącym wzrokiem. — Ten majątek miałby dla pana wartość, gdyby pan go zdobył własną pracą.

— Właśnie. Ale teraz mimo wszystko nabrał dla mnie wartości, gdyż dzięki niemu mogę zapewnić spokojny byt kobiecie, którą pragnę mieć u swego boku.

Jo zarumieniła się i spuściła oczy. Po czym powiedziała cicho, siłając się na spokój:

— Kobieta, którą pan uzna za godną, by dzieliła z panem życie, będzie godna zazdrości, niezależnie od tego, czy będzie pławić się w bogactwie, czy klepać biedę z panem.

— Wiem, że takie są pani przekonania, Jo; mówiono mi, że pani odtrąciła rękę bogatego lorda Raleigha.

Jolanta odwróciła głowę zaskoczona.

— Pani Gley panu powiedziała? — spytała.

— Nie, pani Winter, która słyszała to od pani Gley.

— Po prostu go nie kochałam — powiedziała spokojnie Jo.

Poszli dalej, rozmawiając o tym i owym. I znów, jak tylekroć do tej pory, dziwili się, jak doskonale się rozumieją.

Gdy wrócili do domu, na werandzie łopotała czerwona chustka; siostry były razem rozmawiając. Gerd i Jo przyłączyli się do nich, wkrótce podano herbatę, jak zwykle z dodatkiem ciast.

Po podwieczorku zakochani znów zostali sami. Wreszcie Gerd musiał wyruszyć w drogę powrotną. Nim odjechał, przekazał zaproszenie od pani doktorowej. Jutro w Zorlodze wydaje się proszony obiad dla lokatorów Szandy.

Patrząc w oczy Jo, pani Gley przyjęła zaproszenie.

## XIX

Po wyjeździe Gerda Jo usiadła przy stoliku obok swej chlebobawczyni, chcąc zabrać się do pracy. Nagle pisarka podniosła głowę znad papierów.

— Czy doktor Rainsberg już pojechał? — spytała.

— Tak, proszę pani.

Pani Gley spojrzała na nią i powiedziała poważnie:

— Jo, proszę nie pozwolić umknąć szczęściu, bo ono zjawia się raz i nigdy więcej.

Jo zbladła, przyciskając ręce do piersi.

— Czyż ja mogę, czy wolno mi zatrzymać to szczęście? Ach, kochana, najlepsza pani, gdyby pani miała dla mnie godzinę czasu, jakże chętnie porozmawiałabym na ten temat.

— Czy to dlatego nie zwierzyła mi się pani do tej pory?

— Tylko dlatego; nie chciałam przeszkadzać w pracy, a gdy pani nie pracowała, nie była pani sama.

— W takim razie proszę odłożyć tę pisaninę i ja zrobię to samo. Nikt nam tu nie przeszkodzi, póki nie wywieszę czerwonej flagi.

Jo uknęła obok pani Gley podnosząc na nią niepewne spojrzenie.

— Pamięta pani nazwisko tego mężczyzny, o którym pani opowiadałam — zaczęła — i w którym zakochałam się od pierwszego wejścia?

— Oczywiście, chodziło o doktora Rainsberga!

— Pani wie o mnie wszystko; wie pani, że to właśnie przed nim uciekałam i przed moją miłością do niego. Domyśla się pani, co się ze mną działo, gdy nagle stanął przede mną? Nie miałam pojęcia, że Zorloga należy do niego; myślałam, że jest biednym uczonym. Ale nie o to chodzi. Nigdy bym tu nie przyjechała, gdybym przypuszczała, że go tu spotkam.

— Czasami dobrze jest, gdy los zmusi nas do czegoś, na co sami byśmy się nie zdobyli.

— Myśli pani, że to dobrze dla mnie? Miotają mną sprzeczne uczucia. Ja... ach, przecież pani wie, że go kocham. I nagle stanął przede mną i powiedział mi, kim dla niego jestem i że pragnie mnie pojąć za żonę. On wie o mnie wszystko. Proszę sobie wyobrazić, że to właśnie on od początku podejrzewał, że Respico jest oszustem.

I opowiedziała pani Gley o wszystkim, co zrobił Gerd, by ją uwolnić z rąk tego człowieka.

— Był taki delikatny i pełen zrozumienia — zakończyła swoją relację. — Powiedział, że nadal bardzo mnie szanuje, że to bzdura, co sobie wbiłam do głowy sądząc, że okryłam się hańbą. Po prostu przydarzyło mi się nieszczęście, mówił, a na to człowiek nic nie może poradzić.

— Czyż nie powiedziałam pani tego samego, Jo?

— Tak, powiedziała mi to pani, ale ja nie mogłam w to uwierzyć. A on prosił mnie, bym została jego żoną; mówił, że mnie kocha i że będzie nieszczęśliwy, gdy mu odmówię. Powiedział, że nie będzie mnie zmuszał, że da mi czas do namysłu. Dał mi miesiąc zaznaczając, że trzymam w ręku jego los.

— I pani się jeszcze waha, głupiutki dzieciaku? — zawołała pani Gley. — Czy pani nie rozumie, jak wielkie szczęście panią spotyka? O, tylko pozazdrościć!

— Ależ proszę mnie zrozumieć: czy ja mam prawo być szczęśliwa? A po drugie: musiałabym panią opuścić, a pani była dla mnie taka dobra. Czy mogę odplacić pani niewdzięcznością? Przecież

wiem, że pani się do mnie przyzwyczaiła, i jestem na tyle próżna, by sądzić, że pani mnie potrzebuje i niełatwo znajdzie kogoś, kto mógłby mnie zastąpić.

Ellen Gley schyliwszy się pocałowała Jo w zalęknione oczy.

— Mała, głupia Jo, niechże pani przestanie wreszcie pytać: czy wolno mi to? Czy wolno mi tamto? Wolno pani wszystko, czego pragnie pani serce. Jednego tylko pani nie wolno: unieszczęśliwić odmową tego wspaniałego człowieka, który panią tak kocha. To by była zbrodnia. Oto moja odpowiedź. Na mnie nie musi się pani oglądać. Powiem pani, że gdyby mnie w młodości spotkało takie szczęście, na nikogo bym się nie oglądała, tylko na tego, kogo kocham. Proszę wreszcie pozbyć się tych głupich skrupułów. Proszę się dłużej nie namyślać, proszę dać mu do zrozumienia, że nie musi czekać aż miesiąc na odpowiedź. Wystarczy drobna aluzja. Gdyby pani chciała czekać miesiąc, zadałaby mu pani cierpienie, na które nie zasłużył. Myśli pani, że łatwo mu czekać? Czyż mało się naczekał?

— Och, dziękuję pani! — wołała Jo, całując ręce pisarki. — Jest pani dla mnie tak dobra jak matka.

— No cóż, pokochałam panią, Jo, i rozumiem doktora Rainsberga. Czy to ważne, czy panią utracę kilka tygodni wcześniej, czy później? Będę się cieszyć pani szczęściem. Tu, w domu mojej siostry, najłatwiej przeżyję to rozstanie; gdyby mnie pani opuściła później, byłabym jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Ale to jedno pani powiem, Jo: nie wolno nam się rozstawać na zawsze. Musimy przynajmniej do siebie piśywać.

— Ależ to oczywiste, jeśli pani tylko pozwoli! Ach, mnie też żal będzie się rozstawać, nie chciałabym pani utracić na zawsze. Tak panią kocham! Ale rozumie pani, że Gerda Rainsberga kocham jeszcze bardziej?

— Wydaje mi się, że rozumiem — roześmiała się wesoło pani Gley. — Przypuszczam, że przestanie pani tłumaczyć książki?

— Ależ nie! — zawołała Jo, chwytając pisarkę za ręce. — Nadal będę tłumaczyła, przynajmniej pani książki. Wtedy będę tak, jakbym była razem z panią i słyszała pani głos. Czy będę miała czas tłumaczyć także co innego, to będzie zależało od tego, jak ułoży się moje życie. Polubiłam pracę tłumacza i brakowałoby mi jej. Praca twórcza wyzwala. Gerd Rainsberg na pewno pozwoli mi nadal tłumaczyć.

— Na ten temat niech on sam się wypowie. Młodzi mężowie są często zazdrośni nie tylko o innych mężczyzn, ale o wszelkie uboczne zainteresowania żony. Zobaczymy, co on na to. Zresztą praca posuwała się już tak daleko, że z łatwością skończy pani to tłumaczenie, nawet gdy będzie pani miała inne, ciekawsze zajęcia. A choćby dziś możemy jeszcze solidnie popracować. A więc do roboty, Jo! Proszę zapomnieć o przeszłości i patrzeć optymistycznie w przyszłość. Mam nadzieję, że jutro w Zorlodze znajdzie pani okazję, by dać do zrozumienia doktorowi Rainsbergowi, że się pani namyśliła.

Jo zarumieniała się, pocałowała panią Gley jeszcze raz w rękę i zabrała się do pracy.

Wieczorem, gdy siostry zostały same, pani Jane powiedziała:

— Nie wiem, co z tymi młodymi będzie. W kółko zostawiamy ich samych, mając nadzieję, że wreszcie coś z tego wyniknie, a ci za każdym razem wracają wciąż nie zaręczeni.

— I to się mojej szybkiej Jane nie podoba — roześmiała się pani Gley — że dwoje młodych tak długo się zastanawia, czy mają być szczęśliwi, czy nie, tak?

— Ach, Ellen, rozumiałabym, gdyby się nie cierpieli i ktoś ich na siłę chciał ożenić, ale tak? Jeśli się kochają, to już naprawdę nie rozumiem, o co chodzi. Jak on na nią patrzy, jak ona się rumieni, no, przecież człowiek nie jest ślepy! Więc dlaczego nie zrobią nam tej przyjemności i nie zaręczą się wreszcie?

— Poczekaj jeszcze kilka dni, Jane. Wszystko jest na dobrej drodze, trzeba było tylko wyjaśnić kilka kwestii. Nie sądzę Jo według siebie. To flegmatyczna natura, takie nie wychodzą za mąż bez namysłu jak ty czy ja. Z tym że ty kochałaś swojego chłopaka, a ja mojego nie.

Jane wzięła siostrę w ramiona.

— Ach, ty moje biedactwo — powiedziała współczująco — trzeba było poczekać na właściwego.

Ellen Gley uśmiechnęła się z rezygnacją.

— Ja po prostu nigdy się nie zakochałam, Jane. Za to los dał mi zawód, który zastępuje mi wszystko inne. Wiesz, myślę, że choćbym nie wiem jak bardzo kochała męża, nie miałabym dla niego czasu. Może to i lepiej, że tak wyszło?

— A więc mówisz, że między Jo i doktorem Rainsbergiem wszystko się ułoży? — Jane wróciła do poprzedniego tematu.

— Tak sądzę, i myślę, że nastąpi to niebawem.

A Jane zaraz zaczęła rozmyślać nad urządzeniem wieczoru panińskiego. Notowała przepisy na placki weselne, zapisywała, ile czego będzie potrzebowała, słowem, była w swoim żywiole.

Następnego ranka mieszkańcy Szandy szykowali się do odwiedzin u sąsiadów. Pani Jane zadzwoniła do córki; okazało się, że Katje z mężem też jest zaproszona do Zorlogi. Czuła matka ucieszyła się. Tym razem miał z nimi jechać również Evan Booss. Nie chcąc przynieść wstydu szwagierce, wbił się w surdut. Widząc jego nieszczęśliwą minę, Ellen obróciła go jak kukłę i śmiejąc się powiedziała żartobliwie:

— Kochany szwagrze, wcale mi się nie podobasz w tym rynsz-tunku; najlepiej wyglądasz w lnianej, świeżo wypranej kurtce.

Szwagier spojrział na nią uradowany.

— Jane mówi, że może się zdarzyć uroczystość — powiedział niepewnie.

— W płóciennej kurtce też można być uroczystym; ale przede wszystkim trzeba się swobodnie czuć.

— Ale co powie Jane?

— Zostaw to mnie, Evanie, będę walczyć o twoją kurtkę jak lwica.

— Jesteś rozsądną kobietą, Ellen! — powiedział Evan Booss, całując ją w policzek. I wszedł do domu, by się przebrać.

Po chwili zjawiała się Jane, odświętnie wystrojona i tak apetyczna, że chciałoby się ją schrupać.

— A gdzie to Evan — zdziwiła się — nie ma go jeszcze?

— Odesłałam go na górę, Jane; nie podobało mi się, jak jest ubrany.

— A ja mu kazałam specjalnie włożyć surdut! — załamała ręce Jane.

— Ależ, Jane! To ty mu kazałaś założyć ten ohydny surdut? Jak mogłaś? Evan Booss w surducie, to przecież błąd sztuki. W lnianej kurtce jest dopiero sobą; wygląda elegancko i solidnie.

— A jeśli dojdzie do zaręczyn, Ellen? — przeraziła się Jane.

— Przecież nie musieliśmy o tym wiedzieć. A poza tym, w kurtce też można świętować zaręczyny. Czy po to żyjecie w tropikach, żeby naśladować mieszczuchów?



- Myślałam, że tobie będzie to przeszkadzać, Ellen.
- Ależ skąd!
- W takim razie niepotrzebnie Evana denerwowałam. Jest wściekły, kiedy musi założyć surdut.
- Więc nie każ mu go nigdy zakładać. Patrz, jaki jest szczęśliwy, gdy go zrzucił!

Evan podszedł do nich niepewnie i wskazując palcem Ellen, powiedział:

- To ona chciała!

Siostry wybuchnęły śmiechem. Jane rzuciła się mężowi na szyję, całując go.

- Mnie też się tak bardziej podobasz, Evanie. Pomyślałam tylko...

Nie dokończyła, gdyż w tej chwili z domu wyszła Jo. Miała na sobie prostą białą sukienkę, podkreślającą jej wiotką figurę, a na kasztanowatych włosach kapelusz z szerokim rondem, ocieniającym delikatną twarzyczkę. Wyglądała uroczo i Ellen Gley pomyślała, że Gerd Rainsberg dziś już na pewno doczeka się „drobnej aluzji”. Boosowie również patrzyli z przyjemnością na młodą dziewczynę. Wszyscy byli więc gotowi do drogi. Evan siadł obok kierowcy, by panie miały więcej miejsca dla siebie, i ruszyli.

Po upływie pół godziny boczną drogą nadjechała Katje z mężem. Zaczęły się wesołe nawoływania, machanie rękami; matka i córka posyłały sobie całusy od ust. Po chwili dwa samochody jechały jeden za drugim.

Jo była dziś jeszcze bardziej milcząca niż zwykle, ale oczy jej błyszczały radosnym oczekiwaniem. Siedziała pogrążona w rozmyślaniach, a pani Gley patrzyła z radością na piękną dziewczynę, jakby to była naprawdę jej córka.

Gdy dojeżdżali do Zorlogi i samochód zaczął wspinać się po zboczu góry, ujrzeli na szczycie Gerda Rainsberga, niecierpliwie wyglądającego gości. Katje i pani Jane zaczęły wołać, śmiać się i machać do niego rękoma. Gerd machał także, roześmiany, lecz jego oczy widziały tylko Jo. Gdy podjechali do niego, wskoczył na stopień i trzymając się ramy nie spuszczał oczu z Jo. Serce waliło mu w piersi. Jo siedziała z brzegu, więc gdy dojechali pod dom, pomógł jej najpierw wysiąść, robiąc to w wielką czułość i ostrożność.

Pozostali panowie pomogli wsiąść swym żonom oraz pani Gley. W tej chwili w drzwiach domu stanęła pani Winter z mężem, witając serdecznie gości pana domu.

Powitanie było jak zwykle burzliwe, wszyscy byli weseli i beztroscy, o Jo i Gerdzie nikt nie myślał. Gerd z zachwytem przyglądał się Jo, gdy zdjawszy lekki płaszcz podróżny pozostała w swej prostej białej sukni. Jo zarumieniała się, tyle w jego oczach było namiętnego żaru. A gdy pod wpływem przemożnego uczucia Gerd chciwie ujął jej dłoń, Jo oddała uścisk mocno i wyraźnie. Gerd spojrział na nią zaskoczony, a ona nie odwróciła wzroku, rumieniąc się po uszy, a w jej oczach było tyle szczęśliwego uczucia, jak nigdy dotąd. I Gerd, tak jak przewidywała pani Gley, pojął aluzję.

Winterowie musieli przejąć rolę gospodarzy. Gerd widział i słyszał tylko Jo. Niestety nie mógł jej szepnąć czulego słówka na osobności; gdy tylko goście odświeżyli się, udano się do stołu. Podczas obiadu Gerd spoglądał wciąż niespokojnie w oczy Jo nie mogąc się doczekać, kiedy zostaną sami. Nie wiedział, co je i pije, niepewny, czy może rozumieć spojrzenia i zachowania Jo tak, jak sobie tego życzył.

Wreszcie obiad dobiegł końca. Po obiedzie doktor Winter poprosił Evana Boossa do gabinetu w sprawach gospodarczych, podczas gdy jego żona i obie siostry wdały się w ożywioną pogawędkę. Katję przeglądała magazyny mody, a jej mąż, wyciągnąwszy się wygodnie na leżaku palił cygaro dla poprawienia trawienia, pogrążając się w pół-sennej kontemplacji.

Znów nikt nie zwracał na nich uwagi, i Gerd spytał:

— Przejdziemy się, Jo, czy woli pani odpocząć?

Jo od razu dostała wypieków.

— Chciałabym pójść znów do tej ławeczki, skąd roztacza się taki piękny widok — odparła cicho.

Tłumiąc podniecenie, Gerd szedł bez słowa obok Jo, nieświadom, że panie odprowadzają ich wzrokiem pełnym nadziei.

Milcząc doszli do ławeczki. Jo usiadła błędząc wzrokiem po okolicy; serce tłukło jej się w piersi jak oszalałe. Schyliwszy się, Gerd ujął jej dłoń.

— Jo — zaczął głosem urywanym z podniecenia — zdawało mi się, że chce mi pani coś powiedzieć?

A ona patrząc mu prosto w oczy rzekła cicho:

— Pani Gley powiedziała mi wczoraj, że to nieuczciwe z mojej strony, że tak pana męczę. Ale ja... nie pomyślałam o tym, że zadaję panu ból. Nie chciałam tego. Pani Gley była dla mnie jak matka. Wiedziała, że kocham kogoś ponad wszystko w świecie, i że tym człowiekiem jest pan. Spytałam ją więc wczoraj, czy mam prawo być szczęśliwa. Na to powiedziała mi, że nie powinnam pana męczyć i że trzeba iść za głosem serca. I... ach, jakże chętnie bym to zrobiła, jeśli... jeśli pan uważa, że jestem pana godna po tym wszystkim, co się stało.

Gerd w mgnieniu oka porwał ją w ramiona. Jo przyjmowała i oddawała pocałunki z nieśmiałą żarliwością.

Upłynęła długa chwila nim oderwał się od jej ust i zajrzawszy jej w oczy rzekł z westchnieniem:

— Za dużo od siebie wymagałem, Jo. Nie wytrzymałbym ani dnia dłużej. Udawać obojętność, mając cię obok siebie, to było ponad moje siły. Dziękuję, że mnie wyzwoliłaś od tego przymusu. Wdzięczny jestem pani Gley, że dodała ci odwagi. Ach, ty moje wszystko, jak ja cię kocham! Jaki jestem szczęśliwy! Czy wreszcie przestałaś się martwić? Zdecydowałaś się wreszcie być moja na zawsze?

— Wiem tylko, że cię kocham. Gerdzie — mówiła Jo, a w jej oczach tańczyły złote iskierki — i że umarłabym, gdybyś mnie teraz porzucił. Jestem ci taka wdzięczna. Nigdy nie przypuszczałam, że mogę być tak szczęśliwa. Moje życie legło w gruzach, nie myślałam, że czeka mnie jeszcze szczęście.

Siedzieli tak długo, przytuleni do siebie, trzymając się za ręce, wynajując sobie miłość, mówiąc o swym szczęściu, całując się — zapomnieli o Bożym świecie.

Wreszcie Gerd powiedział, że powinni się szybko pobrać. Że wesele odbędzie się w Zorlodze. W Bogorze wezmą ślub, świadkami będą pani Winter i Evan Booss.

Opowiadał ze śmiechem, że Jane Booss urządzi wieczór panieński, a pani doktorowa przygotowuje uroczystość weselną. Jo zgadzała się na wszystko.

Potem Gerd spytał, czy chce z nim podróżować po świecie. Jeśli chodzi o niego, to na dłuższą metę nie wytrzyma w Zorlodze; jest mu tu za spokojnie. Wtedy Jo odparła cicho i żarliwie:

— Pójdę za tobą wszędzie, gdzie zechcesz. Tylko do Berlina nie chcę wracać.

— Jak sobie życzysz, Jo; a gdyby nawet tak się zdarzyło, to pojedziemy tam incognito. Na pewno nie osiadziemy w Berlinie na stałe. Pokażę ci świat, i tam, gdzie nam się spodoba, tam osiadziemy. Czasem będziemy przyjeżdżać na pewien czas do Zorlogi, by zmienić Winterów i dopilnować majątku. Chciałbym cię też zabrać do Hiszpanii, gdzie mam przyjaciół. Czy nie zmęczy cię takie życie, droga Jo?

— Przecież będziesz ze mną — odparła, jakby to rozwiązywało wszelkie problemy.

— Tak, nigdy się nie rozstaniemy, Jo. Wszystko będziemy przeżywać razem. Ale bez pracy nie potrafię żyć; będziesz mnie musiała trochę użyczyć naukowym celom.

A wtedy Jo powiedziała, że chciałaby dalej tłumaczyć powieści pani Gley, gdyż sprawia jej to wielką radość. Czy jej pozwoli?

— Oczywiście, Jo — odparł, całując ją czule. — Rozumiem dobrze, że tęsknisz do twórczej pracy. Nie mógłbym ci tego zabronić. Za to będziemy spędzać razem cały czas poza pracą.

Zaczęli snuć marzenia. Ani się obejrżeli, jak minęły dwie godziny. Nikt ich nie niepokoił. Wreszcie Jo odzyskała poczucie rzeczywistości.

— Co sobie inni o nas pomyślą? — wykrzyknęła.

Gerd znów wziął ją w ramiona, mówiąc swawolnie:

— Pewnie domyślili się prawdy. Szczerze mówiąc, nie tęsknię do innych, chcę być tylko z tobą. Musimy się szybko pobrać, Jo; nie wytrzymam długo w narzeczeńskim stanie pod sympatyczną kuratelą naszych przyjaciół, możesz być tego pewna.

Jo roześmiała się z całego serca.

— Po raz pierwszy słyszę, jak się śmiejesz, Jo — powiedział Gerd nabożnie.

— Myślałam, że już nie potrafię się śmiać, Gerdzie — odparła z westchnieniem.

— Nauczysz się — rzekł, obejmując ją czule. — I nigdy już nie zapomnisz — dodał.

Jo uśmiechała się szczęśliwa.

— A teraz musimy wracać, Gerdzie, nie ma rady.

— Więc chociaż mi powiedz, że tobie też to nie jest na rękę.

A ona wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha:

— Chciałabym być tylko z tobą.

Gerd wziął ją w ramiona i przyciągnawszy jej głowę do swych ust całował ją długo i namiętnie. Wreszcie ruszyli ku domowi. Przybrali sztucznie obojętną postawę, czym rozczarowali wszystkich zgromadzonych. Ale gdy znaleźli się na werandzie, Gerd wziął Jo w ramiona, pocałował i przemówił do zdumionego towarzystwa:

— Oznajmiamy wszem i wobec, że się zaręczyliśmy.

— Dzięki Bogu, nareszcie! — wykrzyknęła pani Jane i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Narzeczeni musieli teraz przetrzymać burzę gratulacji. Jo wędrowała z rąk do rąk; pieszczotom i gratulacjom nie było końca.

Gerd również nie mógł narzekać. A gdy fale emocji nieco opadły, pocałował w rękę panią Gley i powiedział wzruszony:

— Pani należy się szczególne podziękowanie. Jo zdradziła mi, że to pani pomogła jej się zdecydować. Dłużej bym tego nie wytrzymał!

— Zauważyłam to, panie doktorze! Ale teraz otrzyma pan sowitą nagrodę. Ja najlepiej wiem, jaki klejnot się panu dostał. Oddaję ją panu z ciężkim sercem. Ale wolę już to, niż gdyby ta wspaniała dziewczyna miała przekwitnąć bezproduktywnie, tak jak to sobie zaplanowała. Korzystając z okazji, pragnę wymusić na panu obietnicę, że będzie mi pan co jakiś czas odstępował na trochę Jo. Może pan przyjeżdżać razem z nią, mój dom jest obszerny, zawsze będzie pan w nim mile widzianym gościem.

— Obiecuję to tym chętniej, że Jo będzie nadal tłumaczyła pani książki. Nie mogę jej zabronić pracy, którą tak lubi, zwłaszcza, że i ja nie potrafię żyć bez pracy.

— Cieszę się, panie doktorze, i dziękuję panu — mówiła pisarka, potrząsając jego dłonią.

Wreszcie pani Jane zawładnęła Gerdem, pytając obcesowo, kiedy odbędzie się wesele.

— Niech mi pani pomoże, by odbyło się jak najszybciej — poprosił Gerd.

— Och, zrobię wszystko, co w mojej mocy — roześmiała się. — I proszę pamiętać: wieczór panieński ja organizuję!

— Obiecałem to pani.

— No, oko panu zbieleje! Wydałam córkę za męża, mam doświadczenie.

— Kochana pani, nikt nie może tego zrobić lepiej niż pani i pani doktorowa.

— Dlatego nie musi się pan tym zajmować. Ani Jo. Z Jo jestem już na ty. Traktujemy ją jak członka rodziny. Cieszę się, że będzie moją sąsiadką, nawet jeśli rzadko będziecie tu przyjeżdżać. Jak Bóg da, zobaczymy się znowu!

Wszyscy byli tak podnieceni, mieli tyle do powiedzenia, że narzeczonym nie udało się już ani na chwilę zostać samym.

Po długich naradach ustalono, że Gerd zaraz jutro pojedzie do Bogoru do urzędu stanu cywilnego. Panna młoda nie będzie miała kłopotów z wyprawą; Gerd postanowił, że zrobią zakupy w Paryżu i w Berlinie i przy okazji odwiedzą wuja i ciotkę. Przez Paryż pojedą do Hiszpanii, a potem do Anglii, bo do tego czasu pani Gley zdąży już wrócić do domu.

Wreszcie wszystko zostało ustalone. Przed podwieczorkiem Gerdowi udało się raz jeszcze porwać narzeczoną na ławeczkę, gdzie sobie wyznali miłość. Mieli sobie jeszcze tyle do powiedzenia, ale zaraz poczęto ich wołać do stołu. Gerd spojrzął na Jo z rozpaczą.

— Czy nie wydaje ci się, że nasi przyjaciele zrobili się nagle strasznie nieuprzejmi? Nie dają nam ani chwili spokoju.

Jo roześmiała się serdecznie i jej śmiech napełnił serce Gerda radością. Porwał ją w ramiona i całował. Wreszcie, pogodzeni z losem, wrócili na werandę. Towarzystwo przyjęło ich wesołymi okrzykami i żartobliwymi docinkami.

KONIEC